


KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

2006 nr 1(49)

ryszard
kapuściński

A dark silhouette of a person, possibly a dancer or athlete, in a dynamic, crouching pose. The figure is positioned on the right side of the cover, set against a light, textured background that resembles a wall or a canvas with faint, horizontal lines. The overall aesthetic is minimalist and artistic.

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

Zespół:

JAN BŁOŃSKI, STEFAN CHWIN, ALEKSANDER FIUT,
MICHAŁ GŁOWIŃSKI, MAREK KĘDZIERSKI,
JULIAN KORNHAUSER, LESZEK SZARUGA

Redakcja:

KRZYSZTOF MYSZKOWSKI – redaktor naczelny
GRZEGORZ KALINOWSKI – sekretarz redakcji
JANUSZ KRYSZAK

Wydawca:

Wojewódzki Ośrodek Kultury w Bydgoszczy, Pomorska Fundacja Artystyczna ART
przy finansowej pomocy Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Adres redakcji:

85-033 Bydgoszcz, plac Kościeleckich 6
tel. (0-52) 585 15 01, wew. 105; (0-52) 585 15 00, tel./fax (0-52) 585 15 06
e-mail: kwartalnik@wok.bydgoszcz.com; cik@wok.bydgoszcz.com,
www.wok.bydgoszcz.com
87-100 Toruń, ul. Podmurna 60
tel./fax (0-56) 622 20 65
www.kwartalnik.art.pl

Administracja, sprzedaż i prenumerata: Renata Triebwasser
Korekta: Barbara Laskowska

Projekt okładki: Ewa Bathelier

Redakcja „Kwartalnika Artystycznego” serdecznie dziękuje Urzędowi Marszałkowskiemu Województwa Kujawsko-Pomorskiego w Toruniu, Urzędowi Miasta Bydgoszczy i Urzędowi Miasta Torunia za pomoc finansową w wydaniu nr. 1/2006.

Nakład: 600 egz.

*Skład, łamanie, druk i oprawa: Zakład Poligraficzny FORM-DRUK,
85-654 Bydgoszcz, ul. Mierostawskiego 11-13, tel./fax (0 52) 341 32 38
e-mail: form-druk@vendor.pl*

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE
2006 nr 1(49)

Rok XIII

Spis rzeczy

- TADEUSZ RÓŻEWICZ Wrota śmierci / 5 Dnia 10 listopada 2005 r. / 7
- RYSZARD KAPUŚCIŃSKI Lapidarium VI / 9
Fotografował RYSZARD KAPUŚCIŃSKI / 25
Rozmowa
„Opisać we fragmentach” – z RYSZARDEM KAPUŚCIŃSKIM rozmawia Grzegorz
Kalinowski / 33
- JERZY JARZĘBSKI Reporter i milczenie / 53
- JANUSZ KRYSZAK W pogoni za znikającym punktem. O świecie poetyckim
Ryszarda Kapuścińskiego / 63
- KAZIMIERZ HOFFMAN Elegia / 73 N / 74
- JANUSZ SZUBER 49 / 76
- JÓZEF BARAN Dyptyk kosmiczny / 83 Święty Benedykt
na wprost skoczni w Einsiedeln / 85 Modlitwa poety / 85
*** (tak bez reszty...) / 86 Strony rodzinne / 87
- WACŁAW LEWANDOWSKI Tadeusz Nowakowski (Portret literacki
w 10. rocznicę śmierci) / 88
- LESZEK SZARUGA W milczeniu / 99 Okolicy / 99 Pomimo / 100
Kobiety / 100 Arka / 101 Się / 101
- ANDRZEJ SZUBA Postscripta (CCXVI–CCXVIII, CCXX, CCXXII,
CCXXXVI–CCXXXII) / 102
- Ks. JANUSZ A. KOBIERSKI Przypowieść o Don Kichocie / 105
Retoryka / 107 To wszystko / 107

- KRZYSZTOF LISOWSKI Zbiegi okoliczności? (O Henryku Wańku, paru obrazach, lekturach i koincydencjach) / 108
- JAKUB KORNHAUSER transakcja / 118 odbicie w witrynie, August Macke (1887–1914) / 119 cisza / 120

„Kwartalnik Artystyczny” w 2005 roku / 121

Varia

- MICHAŁ GŁOWIŃSKI Rusycysta Mordechaj / 122
- JULIA HARTWIG PEN Club (Na osiemdziesięciolecie PEN Clubu Polskiego. Uroczystość na Zamku Królewskim, 7 grudnia 2005) / 129
- ALEKSANDER JUREWICZ Samotnia (5) / 134
- KRZYSZTOF MYSZKOWSKI Addenda (2) / 141
- MIECZYŚLAW ORSKI Centrum: reaktywacja? / 147
- LESZEK SZARUGA Lekturnik (18) / 154
- PIOTR SZEWC Z powodu i bez powodu (4) / 159
- ZBIGNIEW ŻAKIEWICZ Ujrzane, w czasie zatrzymane (26) / 161

Recenzje

- JULIAN KORNHAUSER Siedemnaście mgnień wiosny / 165
- JACEK ŁUKASIEWICZ Intonacje / 169
- LESZEK SZARUGA Satyr / 176
- PIOTR MICHAŁOWSKI Osłepiające lustro święta / 178

Noty o książkach / 182

TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ STAŁE OTRZYMYWANIE „KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO”

Warunki prenumeraty:

Prenumerata roczna (z wysyłką):

– krajowa 35 PLN – zagraniczna 30 USD

Cena za egzemplarz archiwalny (z wysyłką)

– krajowa 9 PLN – zagraniczna 8 USD

Prenumeratę prosimy wpłacać na konto:

Wojewódzki Ośrodek Kultury PKO SA II Oddział Bydgoszcz
68 1240 3493 1111 0000 4305 7874 „Kwartalnik Artystyczny”

Dnia 18 stycznia 2006 roku umarł w Warszawie



ksiądz **Jan Twardowski**

R . I . P .

DATA 18 SYCZNIA 2006 ROKU UMIAH W WILNIE
WILNO, LITWA

WŁAŚCICIELEM
JAN TWARDOWSKI

WŁAŚCICIEL
TWA 18 SYCZNIA 2006 ROKU UMIAH W WILNIE
WILNO, LITWA

WŁAŚCICIELEM
JAN TWARDOWSKI
WŁAŚCICIEL
TWA 18 SYCZNIA 2006 ROKU UMIAH W WILNIE
WILNO, LITWA

WŁAŚCICIELEM
JAN TWARDOWSKI

**TAKO JAK I KRAJOWY ZAPISANIE STALE OTRZYMIWANIE
KRAJOWY NINA ARTYSTYCZNEGO**

WŁAŚCICIELEM
JAN TWARDOWSKI
WŁAŚCICIEL
TWA 18 SYCZNIA 2006 ROKU UMIAH W WILNIE
WILNO, LITWA



Fot. Elżbieta Lempp

Tadeusz Różewicz

Wrota śmierci

pamięci Henryka Bereski

kiedy zaczynałem pisać wiersze
jeszcze „wszyscy” żyli
potem zaczęli odchodzić

najtrudniejsze zadanie
przejąć przez wrota śmierci
bez pomocy Anioła

wierzący przechodzi
przez wrota śmierci
z zamkniętymi oczami
po przejściu
ma uśmiech na ustach

mam za sobą drogę
która wydłuża się
z godziny na godzinę
przed sobą mam drogę
coraz krótszą

wiara w to co istnieje
nie jest wiarą jest wiedzą
ale wiara w to co nie istnieje
jest prawdziwą wiarą

kto wierzy że Bóg istnieje
nie potrzebuje cudów
wiara jest cudem

ktos kto wie że istnieje miłość
ma obowiązek ją opisać
i udostępnić innym jej obraz

Wrota śmierci
Zagadka ich konstrukcji
polega na tym że tych wrót nie ma
ale równocześnie są
szeroko otwarte dla wszystkich
są tak ciasne
że człowiek przeciska się
przez nie w pocie czoła
w krwawym trudzie
całymi latami piszcząc
albo rycząc ze strachu

szczęśliwy kto umiera
we śnie
trzymany za rękę
przez Eurydykę
która jest nieśmiertelna
i płacze bo musi dalej
żyć sama

Dnia 10 listopada 2005 roku

für Tadeusz Różewicz
mit Grüßen aus Kolberg,
wo wir immer mal
hin wollten
in Alter Freundschaft

Henryk Bereska
Berlin 25.6.1996
beim Fürsten Oblomow

to chyba ostatnia dedykacja i książka wierszy jaką otrzymałem od Henryka – wiersze *Märkische Gedichte – Auf einem Berg aus Sand* wydane zostały przez Corvinus Presse. Wiersze Henryka. Kiedy je dzisiaj czytam, są oświetlone innym światłem niż za życia Henryka, mają też inne kolory, inną muzykę i inny ciężar. Czytam wiersz *Baum im November*:

Schön der Baum im November
unterm Mondhimmel,
wenn das Auge, vom Taumel
der Farbe ermüdet,
vorstoßt zur Klarheit der Form

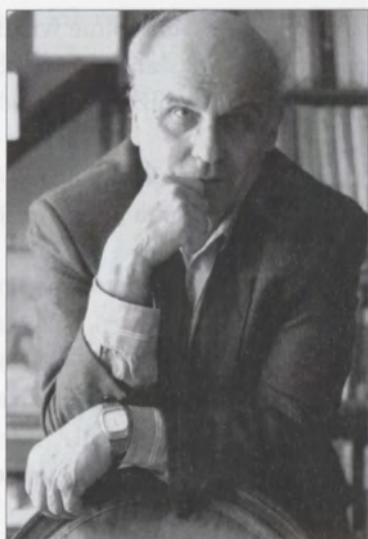
Całe lata planowaliśmy „podróż” do jego leśnego domu, ale... nigdy tam nie dojedziemy. Mówią – „nie mów nigdy” i „nie mów zawsze”... używaj tych słów bardzo oszczędnie albo nie używaj ich wcale. Ale teraz wiem, że nigdy nie będę z Henrykiem pił piwa i rozmawiał o wierszach. Nie widziałem Henryka w jego „Hütte”, jak pracuje, wypoczywa, patrzy na odchodzące lato... widziałem go zawsze „oczyma wyobraźni”, jak wędruje ulicami „wschodniego” Berlina – czasem chodziliśmy razem, z Scharnhorststraße w stronę Leipziger albo w stronę Alexanderplatz – ulice były zawsze szare, wieczory ciemnawe, Ostbahnhof przypominał dworzec w Koluszkach, czasem szliśmy w stronę Bramy Brandenburskiej... Pamiętam, że gdzieś na Unter den Linden był sklep z zegarkami, gdzie kupiłem kieszonkowy zegarek „Ruhla” za 15 marek – made in DDR – „zegarki Ruhla idą szybciej”... „gehen schneller”... za murem widać było światła „zachodniego” Berlina... później „drapacz chmur” Springera, na którym obracała się świetlna reklama... po-

tem świateł przybywało... przybywało też sklepów i samochodów... ale wszystko tonie w mroku. Czasem chodziłem do pani Jutty Janke – mądrej, energicznej redaktorki „Volks u. Welt Verlag”. A potem poznałem Hermlina, Kunerta, Kanta i wielu innych pisarzy, tłumaczy, ludzi teatru, ale ciągle chodziłem do Beresków, do Gildy – bardzo mi się podobało to imię, choć do tej pory nie wiem, czy jest to imię „prawdziwe”, czy też wymyślone przez Henryka, nie wiem, czy istnieje jakaś święta Gilda... może mi to kiedyś Gilda wyjaśni. Może. Coraz częściej używam słowa „może”... coraz rzadziej słów „zawsze” i „nigdy”. Nakręciłem „Ruhle”, patrzę na wskazówki – pokryte fosforem świecą w nocy – zegarek tyka, „idzie” szybciej, naprawdę! Muszę nastawić wskazówki... jest teraz godzina 12.50, patrzę na zegarek, słucham suchego cykania mechanizmu... czas upływa. To chyba wczoraj rozpadł się mur berliński, 9 listopada. Henryk przeszedł przez „wrota śmierci”, ale w tej chwili siedzi przy mnie i patrzy na kartkę papieru... a ja przestaję pisać i patrzę przez okno na czarną koronę klonu, na drżący złotorudy liść, który za chwilę opadnie... czas nie mija, to tylko idą nasze zegary i zegarki, czas nie umiera, to tylko my umieramy, mijamy, odchodzimy.

Tadeusz Różewicz



Różewicz w „Kwartalniku Artystycznym” 2006 nr 2 (50)



Fot. Elżbieta Lempp

Ryszard Kapuściński

Lapidarium VI*

Fragment jest przyrodzonym mi sposobem ekspresji, bycia. Urodziłem się dla fragmentu.

Emil Cioran

Fragment uczy nas zrozumienia płynnej struktury naszego świata, przejmując nas czarem tymczasowości.

Walter Hilsbecher

Żaden z naszych światów nie jest bardziej zróżnicowany i podzielony niż świat dzieci. Świat dorosłych jest też oczywiście podzielony, ale wielu dorosłych żyjąc potrafi z latami wyrobić sobie jakieś nisze i przyczółki, natomiast dziecko – nie, jest bezbronne, bezradne, słabe. Tym wyraźniej zaznacza się kontrast między sytuacją dziecka w świecie bogatych, w którym wszystko urządzone jest tak, aby maluchom dogadzać, obsypywać łakociami, rozpieszczać, a położeniem ich rówieśników w rodzinach i społeczeństwach biednych, w których odmawia się im wszystkiego, a żyją często w głodzie, na ulicy, w śmietnikach.

* *Lapidarium VI* ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik”.

A ponieważ dziecko z natury jest szczególnie wrażliwe, wyculone, delikatne, dostrzega ono nierówność położenia bardzo boleśnie i wyrasta już z utrwalonym poczuciem krzywdy, poniżenia, odtrącania.

Cywilizacja przetrwania, a obok – cywilizacja rozwoju, czyli inaczej: dusza butująca (chłop, wieś) i dusza rozbudzona (miasto, jego mieszkańcy). Czyje to? Kto to napisał? Tadeusz Zieliński?

Sztuka, literatura przestały tworzyć wzorce, przykłady.

Język. Piękno języka, jego kunszt, uroda – tracą znaczenie.

O komunizmie. Ludzie zniszczyli system, ale wiele substancji przez ten system zrodzonych krąży nadal.

Odnalazłem notatkę z podróży pociągiem z Krakowa do Wrocławia, 13 maja 2000. Pociąg ruszył z Krakowa o 9.05. Trasa: Kraków – Trzebinia – Jaworzno – Mysłowice – Szopienice – Katowice – Gliwice – Strzelce Opolskie – Opole – Brzeg – Olawa – Wrocław.

Wyjazd z Krakowa. Pochmurno, ale ciepło, nawet – parno, choć ta wilgotność nie ma ciężaru i gęstości tropiku. Domy po drodze – jednako szare, mizerne, liniejące, bez uroku.

Kraków – Trzebinia – Jaworzno. Hale fabryczne, budynki kopalń, metalowe wieże, magazyny – wszystko zamknięte, opuszczone, powybijane szyby, odrapane ściany, kikuty zardzewiałego, poskręcane żelastwa, porwane druty, postrzępione dachy. Nikt nie dba, aby oczyścić tę ziemię, uporządkować ją, uczynić znośną dla oka, ludzką. Kto próbowałby to zrobić, będzie uznany za dziwaka: Przecież są ważniejsze potrzeby! Argument „ważniejszych potrzeb” paraliżuje wszelkie działania. Zawsze będą „ważniejsze potrzeby”, które uniemożliwiają zrobienie rzeczy podstawowych, najbardziej oczywistych.

Napis na murze: JEBAĆ S.O.K.

Napis stary, wiekowy. Przez lata całe nie było grosza, aby go zamalować? Niedbalstwo. Brud, brud.

Pejzaże wymarłe, okaleczone, puste. Kopalnia MYSŁOWICE – porzucona. Ciemna. Czarne bryły, nieruchome koło zamachowe, liny oklapłe, zwisające w powietrzu.

Mijane dworce – puste, kilometry krzyżujących się torów, zardzewiałych szyn, pokładów zarośniętych zielskiem.

Śmiecie, sterty, wały śmieci i gruzu.

Porzucone wagony.

Rdzewiejące, czarne lokomotywy.

Dojeżdżamy do Katowic.

GKS BANDITEN!

Graffiti – ściany zranione, umęczone, torturowane.

LEGIA KURWA.

Gliwice. Makulatura, złom. Domy ciemnobrunatne, osmalone, mury przeżarte kurzem, pyłem, rdzą, sadzą. Zacieki, surrealistyczne liszaje.

Stacja Strzelce Opolskie. Ulga, bo dalej już tylko lasy i lasy. Zielono. Bujnie. Gęsto. Potem – pola rozległe, droga w dolinie, wieża kościoła na wzgórzu.

I znowu lasy.

Drzew nie wolno było ścinać. Drzewa były siedzibą bogów, zagrożeni mogli wpaść w gniew, cisnąć piorunem. Było coś ważnego, coś ocalającego w tych pradawnych wierzeniach, że bóg jest wszędzie – w innych ludziach, w ziemi, w roślinach, w całej naturze.

Kiedy bogowie zostali oderwani od ziemi i umieszczeni daleko, w niebie – rzeczom i ludziom została odebrana boskość. Odtąd można było ścinać drzewa, zatruwać rzeki.

Stacja Brzeg.

HOMOSEX GÓRĄ!

Na peronie pełno żołnierzy: wszyscy pijani.

Niskie domki, wyższe domy, całe ulice domów w słońcu: Wrocław.

Tekst Krzysztofa Czyżewskiego *Czas prowincji* („Znak”, 7/2002). Prowincja jako szansa, jako odkrywanie i budowanie od podstaw. To miejsce dla pionierów, romantyków, ludzi poszukujących z ich niezgodą na to, co wygodne i łatwe.

Friedrich Dürrenmatt mówi o swoim sposobie pisania: „wszystko ciągle zaczynam jeszcze raz od początku... każda przerwa w pisaniu zmusza mnie do rozpoczynania «pracy od nowa»” (w rozmowie z H.L. Arnoldem, tłumaczyła Małgorzata Łukasiewicz, „Literatura na Świecie”, 5/1978).

Słuchałem koncertu fortepianowego Roberta Schumanna. Potem czytałem o nim. Choroba rozwinęła się w nim, kiedy zbliżał się do czterdziestki. Wystąpiły trudności z mówieniem. Coraz słabiej rozróżniał dźwięki rzeczywiste, od tych, które rodziły się w jego głowie (majaki słuchowe?) z czasem wszystkie tempa wydają mu się zbyt szybkie. Mając 44 lata rzuca się w wody Renu. Ratuja go i zamykają w zakładzie dla obłąkanych, w którym, w momentach przytomności, nawet komponuje. Żyje tam jeszcze dwa lata, umiera w 1856 roku. Jego żona Clara przeżyła go o 40 lat, dając w całej Europie koncerty, w czasie których grała utwory swojego męża.

Malarz Jerzy Wolff, w tomie swoich szkiców *Wybrańcy sztuki*: „Dla samego artysty jego własne dzieło jest jakby niewiadomego pochodzenia”.

Później przeczytałem w *A Popular History of Music* Cartera Harmana, że Franz Schubert, jako krytyk chwalił w recenzjach pieśni, nieświadom, że to on był ich kompozytorem.

Co porusza najbardziej, kiedy czyta się Stary Testament? Dramatyzm, groza, poczucie ostateczności.

Nietzsche (w *Narodzinach tragedii*): „tragiczna jest sama natura – nieustanny ruch unicestwiania, doświadczenie przemijania, nieuchronne, nieustanne umieranie”.

Porządkowanie biurka. Głównie polega to na zdejmowaniu leżących na nim książek i układaniu ich na podłodze (bo na półkach nie ma już miejsca). Biurko wygląda teraz jak ogołocona, płaska wyżyna oblegana przez kolumny książek, które czekają momentu, żeby ponownie wdrzeć się na blat biurka.

Karty starożytnych eposów zaludniają bogowie, herosi, nadludzie, giganci, Gilgamesze. A człowiek kultury masowej, zwyczajny zjadacz mcdonaldów, może sam sobie stać się bohaterem opowieści. Oto różnica między literaturą wysoką a popularną.

Łatwość komunikacji ułatwia łączność, ale jednocześnie wykorzenia ludzi, bo mogąc swobodnie przenosić się z miejsca na miejsce, już nie czują się przywiązani do żadnego z nich.

Tam, gdzie ludzie często skazani są na przymusowe migracje, np. w Afryce, tam związki plemienne muszą być silne, bo inaczej człowiek – porzucony, zagubiony w obcym świecie – zginąłby. Dlatego gdziekolwiek się znajdą – szukają się, próbują mieszkać w pobliżu, zachowywać wspólne wierzenia i obyczaje, „wyczuwać swoim łokciem obecność łokcia sąsiada”. To zwiększa poczucie bezpieczeństwa potrzebne każdemu, kto znajdzie się w obcym świecie.

Do eseju – *Zmiany w Obrazie Świata*:

- religie ze struktury getta, przechodzą do struktury sieci;
- nowe dyktatury, w wyniku rewolucji informacyjnej, występują dziś często w formie mieszanej, zawierając w sobie np. formy demokracji i liberalizmu.

Pacyfik: kontakty na tym obszarze między regionami, kulturami są dużo starsze niż związki między Europą i Ameryką.

Chamstwo jest wieczne. Pod datą 28 sierpnia 1918 roku, Maria Dąbrowska notuje w swoim dzienniku: „Jak długo jeszcze chamstwo będzie się srożyć i panować nad pozorami demokratycznych idei?”.

30 sierpnia 2002

Dziesięć dni temu wyleciałem z Warszawy do Nowego Jorku. Tu na lotnisku czekał na mnie Ren Weschler – eseista, przyjaciel. Ren założył niedawno i kieruje nim, The New York Institute for Humanities. Teraz przez trzy tygodnie jestem gościem tego Instytutu. Pierwszą noc spędzam w ich domu z uroczym ogrodem (stare drzewa!) w miejscowości Penham pod Nowym Jorkiem. Nazajutrz jedziemy z Renem na Manhattan. Ren pokazuje mi jak korzystać z Public Library.

Krótką noc, bo o czwartej rano jedziemy na lotnisko. Lecimy do Salt Lake City, przesiadamy się na inny samolot, potem jeszcze na inny i dolatujemy do Sun Valley. To górską miejscowość w stanie Idaho – kurort dla bogatych i sławnych ludzi. Piękne wille, wspaniałe trawniki i rosłe drzewa – najwięcej świerków różnych odmian, sosen i klonów. Atrakcją Sun Valley jest dom, w którym przez trzy ostatnie lata żył, a potem popełnił samobójstwo Ernest Hemingway.

Zaraz pierwszego dnia pobytu jedziemy do tego domu położonego pięknie, na łagodnym stoku, w otoczeniu gór nagich i samotnych. Atmosfera samotności zupełnej, izolacji i odosobnienia. Sarah pokazuje mi miejsce, w którym zastrzelił się z myśliwskiego karabinu: wąski, mroczny przedpokój prowadzący od drzwi wejściowych do dużego salonu, z którego przez olbrzymie okna jest widok na wyniosłe, ciemnoszare góry, teraz rozświetlone popołudniowym słońcem.

Jest nas kilkadziesiąt osób – uczestników Konferencji Pisarzy Amerykańskich, na której jestem jedynym zaproszonym gościem zagranicznym. W domu Hemingway'a jemy kolację, w czasie której jeden z miejscowych organizatorów wspomina, że miał jakieś pięć-sześć lat, kiedy sąsiadka wpadła do ich mieszkania, wołając do jego matki, że „z panem Hemingway'em stało się coś strasznego!”.

Niewiele już rzeczy zostało po Hemingway'u, ale na piętrze jest biurko i jego maszyna do pisania – mały metalowy Royal.

Jakaś nauczycielka amerykańska mówi z oburzeniem, że w jej klasie uczniowie nie wiedzą kto to był Hemingway, i ta jej relacja jest może najciekawszą rzeczą, jaką usłyszałem w czasie kolacji. Nazajutrz zaczynają się trzydniowe obrady konferencji.

Z pisarzy znanych mi jest David Halberstad. William Styron odwołał przyjazd z powodu choroby żony. Są poeci William Mervin i Robert Pinsky. Jest młody Mark Schwartzman, jest Ren Weschler i inni.

Z tej okazji zwraca moją uwagę kilka rzeczy:

– ta konferencja odbywa się co roku od ośmiu lat. Powstała z inicjatywy grona ludzi dobrej woli i jest finansowana przez grupę amerykańskich milionerów, których ambicją jest popieranie literatury, jej promocja;

– widownia to ludzie, którzy przyjeżdżają ze wszystkich stanów, żeby zobaczyć, spotkać i posłuchać pisarzy, „dotknąć ich”. Chętnych są tysiące, ale organizatorzy przyjmują tylko osiemset osób, aby zachować pewną intymność imprezy, nie przekształcić jej w masowy wiec.

Spotkania te mają swój rytuał: pisarze przedstawiają publiczności jedni drugich, zachowując z tej okazji ton najwyższych wzajemnych pochwał, komplementów, zachwytów. Tu nie można zrobić ani jednej uwagi, która miała by letnią temperaturę, a już – Boże broń! – jakąkolwiek sugestią krytyczną. Pinsky wychwala Melvina, Halberstad McCoulou'a itd.

Przemawiający musi zacząć wystąpienie od spraw lekkich, od dowcipów lub uwag komicznych – słowem musi wprowadzić nastrój żartobliwy, po-

godny, choćby kilka zdań później mówił o rzeczach straszliwych, budzących grozę. Ten rytuał wesołego wstępu (i ewentualnie zakończenia) jest przestrzegany z żelazną konsekwencją. Wszyscy pisarze, których tu wysłuchałem, to jednocześnie świetni mówcy, obyci ze sceną i widownią, żaden nie przypominał pustelnika zamkniętego w swojej samotnej pracowni, w ciszy i z dala od ludzi. Widać zresztą, że pisarze ci bardzo się do tych wystąpień przygotowują, że są one dla nich ważne.

Zdumiewające, że impreza ta, skupiająca kwiat literatury amerykańskiej, nie wywołuje żadnego, ale to żadnego zainteresowania mediów. Nie było tu ani telewizji ani radia, nie było nawet wzmianki w lokalnej prasie, która skądinąd odnotowuje skrupulatnie zupełne drobiazgi i głupstwa.

Odniosłem wrażenie, że media – zwłaszcza telewizja i radio – stanowią w tej kulturze świat całkowicie odrębny, niedostępny i nikt nawet nie oczekuje z jego strony najmniejszego zainteresowania (byli zdumieni kiedy o to pytałem – ależ dlaczego mieliby się tym interesować? Ich zajmuje tylko dwór waszyngtoński i popularna rozrywka – mówili).

Takiej imprezie towarzyszy natomiast bogata, suta oprawa przyjęciowa. Milionerzy wydają w swoich rezydencjach przyjęcia, wydają je okoliczne hotele i instytucje charytatywne. Zabawy trwają do późnej nocy.

A meritum? Słabnący głos literatury pięknej. Natomiast rozkwit biografiki, historii, antropologii. Dużo aktualnego eseju politycznego – tu traktowanego jako gatunek literacki.

Konferencja skończyła się w poniedziałek w południe. Na resztę tygodnia Ren zaplanował dla mnie samotną jazdę na południe Stanów, a więc z Idaho przez Utah do Arizony i jeszcze dużą część Colorado. W praktyce plan, który mi wyznaczył, okazał się niewykonalny. Byłem w stanie pokonać maksimum pięćset kilometrów dziennie, a w tym tempie przebycie proponowanej mi trasy zajęłoby nie pięć, a co najmniej dziesięć dni. Plusem tego planu była wizyta w ciekawych krajobrazowo miejscach, minusem zaś, że w tak dzikim tempie nie można było z nikim spotkać się, z nikim porozmawiać. Na domiar panowały zabójcze upały sierpnia i po przejechaniu półtora tysiąca kilometrów byłem zupełnie wyczerpany, ledwie żywy. W połowie drogi przez pustynię Navaho – siedziba Indian Hopi – zorientowałem się, że jadąc dalej nie wrócę na sobotę do Salt Lake City, więc pojechałem z powrotem na autostradę 15, aby jak najszybciej dotrzeć do Salt Lake City skąd miałem samolot do Nowego Jorku.

Jakie są moje doświadczenia z tej wynoszącej ponad dwa tysiące kilometrów podróży?

– Przestrzeń amerykańska i drogi ją przecinające są przede wszystkim ponumerowane, a dopiero wtórnie nazwane (o ile w ogóle). Orientujemy się po numerach dróg i dodawanych do tych numerów kierunkach (stronach świata). To wymaga od Europejczyka innej wyobraźni przestrzennej, innego sposobu oceny odległości. Pozbawiając drogi nazwy, czyni się ją bezprzedmiotową abstrakcją. Tę abstrakcyjność zwiększa struktura autostrad, które biegną jak gdyby oderwane od ziemi i od pejzażu i bardziej przypominają doświadczenie latania samolotem, niż doznania wędrowca, nomada. Ilość dróg w Stanach jest ogromna, ich ponumerowanie bardzo szczegółowe, podróżowanie więc w pojedynkę, bez pilota, w dodatku jeżeli się komuś śpieszy, a znajduje w nieznaney mu okolicy – jest niezmiernie uciążliwe i stresujące. Mała ilość nawrotów na autostradzie sprawia, że jeżeli popełnimy błąd w wyborze drogi (a zdarza się to często), żeby błąd ten naprawić, trzeba wracać się, bywa, dziesiątki kilometrów! I zaczynać od nowa – co może również okazać się błędnym wyborem – i tak można cały dzień kręcić się w kółko, ponieważ wysokie tempo jazdy na autostradzie, która jest cała zajęta poruszającymi się samochodami, nie pozwala na zatrzymanie się i namysł. Dlatego po doświadczeniach własnych na pytanie: ile trzeba czasu, żeby dojechać z St. George do Shiprock, odpowiem: z przewodnikiem jeden dzień, a bez przewodnika – dwa dni.

System dróg w Ameryce: nie ma mowy, żeby bezpośrednio przy autostradzie pojawił się jakiś zajazd, hotel czy restauracja. W takim wypadku trzeba zjechać z autostrady do miejsca (często położonego na odludziu), gdzie jest stacja benzynowa, motel, sklep, restauracja czy bar. Takie punkty są do siebie podobne, jedzenie w nich – takie samo, standard moteli – identyczny. Pomyślane jest to tak, żeby nic nas nie zaskoczyło – żebyśmy wszędzie spotykali dokładnie to, czegośmy oczekiwali. W ogóle standardyzacja komunikacyjna jest ogromna.

Amerykanie jeżdżą doskonale, samochód jest ich drugą naturą, przy czym jeżdżą uprzejmie, są pobłażliwi wobec kogoś, kto jest obcy, uśmiechają się z wyrozumiałością jeżeli popełni się błąd, z chęcią pomagają w czym mogą. Podróżowanie samochodem jest dzięki temu przyjemnością.

Banalną jest obserwacja, że jest wiele Ameryk, ale na pewno są, bardzo wyraźnie – dwie. Ameryka wielkich miast i Ameryka prowincji. Są to

dwa różne światy. Przekonałem się o tym wielokrotnie, a ostatnio, kiedy jechałem do Salt Lake City. Miałem zamiar zatrzymać się na noc na przedmieściach w motelu, żeby nie płacić drogo za hotel w mieście. Do centrum było jeszcze około osiemdziesięciu kilometrów. Zatrzymałem się w miasteczku o nazwie Santaquin. W pustym barze siedziała znudzona sprzedawczyni. Wziąłem kanapkę i kawę. Dzieci bawiły się na pustych ulicach, małe domki tonęły w zieleni. Było cicho, nie widziałem żadnego samochodu, w ogóle żadnego ruchu. Postanowiłem, że pojedę jeszcze dwadzieścia – trzydzieści kilometrów i zatrzymam się w motelu, a dopiero jutro wjadę do miasta. Gdzie tam! Nie ujechałem dziesięciu kilometrów od Santaquin, aż tu nagle – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – dwupasmowa jezdnia rozrosła się w trzypasmową, trzypasmowa nagle w czteropasmową, ta w pięcio- i sześciopasmową – wokół mnie pojawiły się dziesiątki i setki samochodów, sunących, pędzących, wyprzedzających się, w kilka sekund byłem otoczony tą rozpędzoną maszynerią, tym dygocącym, rwącym do przodu tabunem, migwały mi przez szybę jakieś twarze, nieznane, wpatrzone w przednią szybę, bo tu trzeba się wpatrywać uważnie, nie ma sekundy, żeby się obejrzeć. Co robić? – myślałem gorączkowo, w panice, bo znajdowałem się na jakiejś ogromnej taśmie, która poruszała się szybko do przodu, niosąc mnie ze sobą, bezradnego, nie wiadomo dokąd i po co, więc żeby się jakoś ratować zacząłem się ostrożnie, ostrożnie przesuwając na zewnętrzny pas, tak, żeby przy najbliższym zjeździe z autostrady uskoczyć w bok i rozeznaczyć swoje położenie. Gdzie jestem? Co mam dalej robić? Po wielu ryzykownych manewrach, z duszą na ramieniu zjechałem w bok w jakąś ulicę, patrzę – przy ulicy hotel. Zmartwiło mnie to, że nie był to jakiś przydrożny prowincjonalny motel za czterdzieści dolarów, ale luksusowy wypieszczony Marriott z kwietnikami, dzikim winem i fontanną. Nawet nie ma co wchodzić, pomyślałem – dwieście dolarów jak nic! Patrzę, Meksykanin strzyże trawę przed hotelem. *Hermano!* – powiedziałem po hiszpańsku – gdzie jest jakiś tańszy hotel? Zamyślił się. – Nie wiem, *señor* – odpowiedział i poradził mi: szukaj dalej!

Ruszyłem i wyjechałem na ulicę – po cztery rzędy samochodów w każdą stronę – ta ulica niosła mnie przez miasto – aż nagle skończyły się domy, domki i ogródki i zaczęła brązowa pustynia. Tu był koniec miasta. Zawróciłem i zacząłem jechać w przeciwną stronę, tę, z której przyjechałem,

w kierunku jednego znanego mi punktu oparcia i ratunku w całej wielkiej Ameryce – w kierunku autostrady nr 15. Jechałem, jechałem, już nawet byłem zdaje się blisko celu, kiedy znalazłem się na skrzyżowaniu tak ruchliwym, że pomyślałem – oto ona! Ona, moja 15., no, już jestem w domu i skręciłem w prawo, aby po chwili stwierdzić, że nie – skręciłem za wcześnie na jakąś 800 West i dopiero teraz, jadąc ową 800 West zobaczyłem moją 15., ale była w górze, na betonowym moście, a ja tu pod nią na ziemi. Jak się tam wdrapać na górę, myślałem zrozpaczony, bo byłem pewien, jak powiedziałem, że jeżeli znajdę się znowu na 15., to jestem uratowany. Długo kluczyłem po tym mieście, którego nazwy nie znam do dzisiaj, aż wreszcie znalazłem wjazd na 15. Jednakże nawet nie mogłem nacieszyć się tym sukcesem, bo, poganiany przez inne samochody, musiałem pędzić do przodu. Spocony, skonany, mając usta pękające z pragnienia, bo upał był nie-ludzki, postanowiłem zatrzymać się w pierwszym napotkanym hotelu, choćby kosztował 1000 dolarów albo i więcej. Trudno, zapożyczę się do końca życia, ale już nie mam siły jechać dalej.

I tak trafiłem do hoteliku, w którym to piszę. Nazywa się Quality Inn & Suites, 712 S. Utah Valley Drive. American Fork, UT 84003. Tel. (801) 763-8383. Ciągle jestem 30 mil od Salt Lake City i z trwogą myślę, że czeka mnie jutro wjazd do miasta. Ale przez okno mam mały trawnik, trochę kwiatów, jakieś krzewy i drzewko. Obok trawnika jest altanka. W tej altance na ławeczce usiadł starszy pan i zaczął czytać książkę. Widok tego człowieka, który spokojnie siedział i czytał, kiedy o dwieście metrów dalej zmotoryzowana Ameryka pędziła z hukiem po betonowych autostradach, przywrócił mnie życiu, i gdyby mężczyzna ten podniósł głowę i spojrział w górę, zobaczyłby jak stoję w oknie i jak się uśmiecham.

Dalej spisuję z taśmy nagranej w czasie jazdy do Salt Lake City:

– pola zroszone po obu stronach autostrady – bez przerwy strumienie wody spadają na zielone płaszczyny otoczone brunatną pustynią;

– ruch na autostradzie duży. Jadę nr. 84. na wschód. Kraj płaski, bezludny, gdzieś daleko zarysy niewielkich gór. Napis na poboczu *Dust Storm Area*. Dalej droga prosta i płaska, bez żadnych znaków. Łatwo zasnąć. *Next services: 38 miles*. Pusta, spalona ziemia jak w Afryce. Różnica z Afryką: tu nie ma po drodze żadnych miejscowości, żadnych ludzi, tylko samochody przemykają się w pośpiechu, jakby uciekały przed nadciągają-

cą nawałnicą. W Afryce wystarczy zatrzymać się na, zdawałoby się, zupełnie pustkowiu – od razu pojawiają się ludzie. Tu miejscowi, Indianie, dawno już wyginęli, a ci, którzy przybyli po nich z Europy, ciągną do miast;

– dalekie sylwetki samotnych traków;

– tyle masz ziemi ile jej nawodnisz. Znowu *Next services: 35 miles*. Cały czas Sahel – powierzchnia szara, brązowa, ochra, rdzawy popiół;

– góry, góry bezdrzewne. Śladu życia. Pojawił się napis 15 South. Cały czas płaska równina, ale nagle po lewej stronie piękny łańcuch gór – wyrasta stromo, prosto z równiny;

– wjeżdżam w Salt Lake City – sześć pasów. Gigantyczny korek;

– Ameryka. Jestem w Beaver. Ameryka to pokonywanie przestrzeni. Żeby pokonać przestrzeń, żeby nawiązać kontakt między a między – tę kwestię rozwiązała tylko Ameryka. Europa nie miała tego problemu, mogła się skupić na opanowaniu krajobrazu, ziemi. Natomiast Ameryka to walka człowieka z przestrzenią – w tym inność tej cywilizacji;

– rano wyjechałem z Beaver o ósmej na E95. Wjeżdżam na 20. – boczna. Znak, że krowy, że sarny. Jadę na wschód pod ostre słońce. Tu już drogi jednopasmowe, polskie. Naokoło góry, lasy, głęboka ciemna zieleń. Doskonałe oznakowanie tych dróg;

– widać jaki to bezludny kraj. Jaka ziemia zupełnie pusta;

– wszędzie w miasteczkach ogromnie dużo bardzo grubych ludzi. Zwłaszcza młode dziewczyny. Drobna, ładna twarz, a reszta – potworna otyłość;

– stada krów, ale nigdzie żadnego pastucha. Żywego ducha. Pastuchy – to elektryczne druty;

– drogi puste. Raz w drodze do Zion Park zobaczyłem idącego skrajem człowieka, było to tak niezwykle, że aż zwolniłem, aby mu się przyjrzeć. Po ubiorze, skudłaconej głowie, dziwacznej minie, zorientowałem się, że to idzie ktoś umysłowo chory. Obładowany, udekorowany, kapelusz damski na głowie;

– Zion: polega on na niezwyklej geologii. Wielopiętrowe góry, podniebne, pionowe, kamienne, Manhattan w tej pustyni. Wąwozy, szczeliny, przepaście. Jakieś jakby piramidy, wśród tych formacji niezwyklej widać jak stworzenie świata było wspaniałym dziełem sztuki, jaką Stwórca miał szaloną wyobraźnię plastyczną;

– kolor – jasnobrązowy, różowawy. Każda taka skała wprawia w nastrój boży. W takim otoczeniu mogło rodzić się wiele legend, mitów, wierzeń – tu była siedziba prabogów, ich świątynia. Kiedy z wyżyn spadały kamienie i skały, mogły być odbierane jak wysłannicy nieba;

– monumentalne kaniony;

– potęga, piękno, niedostępność kamienia. Niezdobytość. Tu kamień tworzy jakiś odrębny, tajemniczy świat;

– czasem strumyk w cieniu, wśród krzewów;

– jak tu się poruszać – wiedzieli tylko kapłani – to była ich sekretna wiedza;

– Kanap – w drodze do Arizony. Upał. Wszędzie puste sklepy – otwarte, nikogo. Nie mam kogo spytać o drogę do Page. Droga przez pustynię, miedziany, różowy lateryt. Płasko, gdzieniegdzie – kamienie;

– jestem szczęśliwy, że mogłem spędzić wieczór w Page. Cudowny tropikalny wieczór. Miasteczko puste, żywego ducha na ulicy. Wspaniały zapach tropiku. Motel. Mój pokój 113. Mam przed sobą bananowce. Ogrodnik polewa suchą trawę.

Atrakcja Salt Lake City to Family Search Center. Obliczyli w nim, że na świecie żyło dotąd 70 miliardów ludzi, ale historii rodzinnych można podobno ustalić ok. sześć miliardów. W departamencie The Church's Family mają już około dwa miliardy historii rodzinnych, ale w dalszym ciągu gromadzą następne.

Sobota, 31 sierpnia 2002

Rano wyjechałem z American Fork na lotnisko. Śniadanie – niejadalne. To, co nazywają jajecznicą, robione jest z proszku. Wszystko sproszkowane, zapakowane, zapuszkowane. Wszędzie przy stolikach szeleści plastik, sreberka, przezroczysty papier, tektura. Jedzą ogromne ilości, ogromne!, klasy społeczne poznaje się tu po rozmiarach brzucha, po figurze. Szczupli – to arystokracja, brzuchaci – niższe warstwy, plebs. W American Fork w barze Danny's była jedna szczupła kelnerka. Powiedziałem, że przyjemnie jest na nią popatrzeć, że jest taka smukła i zgrabna – och – odparła zawstydzona – pracuję tu *part-time*, bo moje główne zajęcie to balet i dlatego nie wolno mi jeść – dodała z żalem w głosie.

Ponieważ je się wszędzie to samo, reklamy zachęcają nie różnorodnością, nie innością, ale ilością, promują porcje kopiaste i ultrakopiaste. *Eat! Food! Perfect food!* – wszędzie reklamy jedzenia. W telewizji bez przerwy – steki, kurcze nóżki, kacze udka, indyjskie piersi, sosy, polewy, lukry, syropy, keczupy itd.

Czas dnia też tak obliczają – o której zjeść i gdzie. Co można zjeść – to już nie tak ważne, bo wszędzie je się to samo. Planują – czy zdołamy przejechać drogą 89 żeby zdążyć na *lunch*? Na *dinner*? Jedzenie jest wszędzie – tanie, a porcje są olbrzymie. Szokujące są zwłaszcza góry, góry! zjadane na śniadanie. Metodycznie, uważnie, powoli, z celebracją.

Następuje globalizacja jedzenia. Globalizacja smaku, czy raczej – zaniżu smaku. McDonald's został już zdystansowany, mało gdzie go widać, bo wyprzedziły go już inne sieci i firmy gastronomiczne, pozostał jednak jako symbol, jako nazwa kultury traktującej człowieka nie jako istotę zindywidualizowaną o własnym, odrębnym, niepowtarzalnym smaku – ale jako anonimowy żołądek, zachłanny worek w gigantycznej maszynie konsumpcji.

No, w każdym razie wyjechałem o ósmej rano z hotelu w American Fork, aby dojechać do lotniska w Salt Lake City. I oczywiście stało się to, co miało się stać, co musiało się stać, a mianowicie – pomyliłem drogę. Jazda w wielkich miastach wpędza mnie zawsze w panikę, nie mam bowiem żadnego zmysłu orientacji wielkomiejskiej, myślę ulice, place i kierunki. Zawsze po godzinie błędzenia i szukania ugrzęzną gdzieś w miejscu, z którego już nie mam pojęcia jak się dalej ruszyć.

W przeczuciu tego czekającego mnie nieszczęścia już od dwóch dni wypytywałem, kogo mogłem, jak dojechać do lotniska w Salt Lake City. Pytałem kolejnych dyżurnych w recepcji, sprzątaczkę – Meksykankę Cecilie, pracowników pobliskiej stacji benzynowej, sąsiadów przy stole w restauracji, kierowcę, który parkował samochód obok mojego.

Och – to bardzo proste – odpowiadali wszyscy – i z całą życzliwością mówili mi którąś jechać.

Każdy mówił co innego.

Co prawda panowała zgoda, żeby wjechać na 15. North, ale potem zaczęły się już zasadnicze różnice. Jedni radzili 215., inni – 102., jeszcze inni 68. Dzisiaj, po odbyciu gehenny, jaką był dla mnie dojazd do lotniska, wiem,

że po prostu istnieje wiele dróg na to lotnisko. I tu od razu stykamy się z jednym z problemów Ameryki, którym jest – nadmiar. Który wybrać hotel? Którą restaurację? Którą trasę? Dziesiątki, dziesiątki. W dodatku zarządy miast, aby stronniczo nie wyróżniać jednych, a dyskredytować inne drogi, nie sugerują żadnej, w ten sposób wprawiając pytających w kłopot – jak wskazać drogę do lotniska, skoro tych możliwości jest nieskończona ilość.

Widziałem w przeddzień wyjazdu, że czeka mnie bezsenna noc, więc wziąłem proszek, a rano obudziłem się z bólem głowy, cały w nerwach. Ludzie w recepcji spoglądali na mnie dziwnym wzrokiem, widocznie musiałem się zachowywać jakoś podejrzliwie, ale jak to Amerykanie – odnosili się do mnie bardzo dyskretnie i życzliwie. Zapakowałem bagaże i umyłem przednią szybę. Chłopak z recepcji – Curtis, wydrukował mi na komputerze szczegółową instrukcję, po czym uściśnął mi rękę, życzył szczęśliwej drogi i pocieszał, że na pewno nie będzie żadnych problemów.

W istocie dość łatwo znalazłem 15. North, którą miałem jechać pół godziny do Exit 302. Zjechałem, najpierw, jak mi mówiono, do 215. I tu zaczęła się historia. Bo na 215. nie było żadnego drogowskazu na lotnisko, w dodatku zaraz musiałem zjechać na 80., po czym był rozjazd na 102. East i West, a ja nie wiedziałem, którą wybrać, w dodatku potężny trak deptał mi po piętach, a był tak olbrzymi i tak blisko, że czekałem tylko kiedy mnie zmiażdży, więc odruchowo skręciłem w prawo i wjechałem w jakąś małą uliczkę – domki, ogródki, cisza, żywego ducha. Oczywiście nie wiedziałem gdzie jestem, ale po jakimś czasie zacząłem się rozglądać i widzę – stacja benzynowa. Odetchnąłem z ulgą. Wewnątrz była tęga, sympatyczna dziewczyna. Żeby się wkupić nabrałem do pełna benzyny, zapłaciłem i dopiero wtedy spytałem o drogę. Uprzejmie wyjaśniła mi którądy jechać – to łatwe – powiedziała – nie będziesz miał problemów. Pożegnałem się, ale kiedy wsiadałem do samochodu na sąsiednie stanowisko zajęchał mężczyzna, więc pomyślałem, nie zaszkodzi spytać się o drogę! Spytałem. Grzecznie odpowiedział mi, ale takim slangiem, że nic nie zrozumiałem. Na szczęście zaraz podjechała jakaś pani, może nauczycielka, bo kiedy ją z kolei spytałem, wolno i dokładnie, jak małemu dziecku wytłumaczyła mi jak dojechać na lotnisko. Którą drogę wybrać? Wybrałem wskazaną przez nauczycielkę, i okazało się, że popełniłem błąd. Zgodnie z tym, co mi powiedziała, miałem jechać ulicą o na-

zwie Bloomberry, na światłach skręcić w prawo, a potem, po ośmiu kolejnych światłach, znowu na prawo, ale kiedy tak postąpiłem, wyniosło mnie na jakąś ulicę, która zagłębiała się coraz bardziej w niekończące się ciągi magazynów i składów. Nigdzie żywego ducha. Nie jechał nawet żaden samochód. Poczulem się zupełnie zagubiony.

W skrajnej już rozpaczycy zawróciłem i zacząłem jechać w przeciwną stronę. Skręcałem, kluczyłem, błądziłem cały czas, już bliski nerwowego załamania i płaczu, kiedy nagle w tym czarnym tunelu pojawiło się małe światełko: oto zobaczyłem jak w niebo unosi się samolot. Aha! Uradowałem się. To znaczy, że gdzieś tutaj, w tej okolicy, w tych stronach musi być lotnisko! To dodało mi takiej otuchy, że nacisnąłem pedał gazu i zacząłem pędzić przed siebie. Ale samolot zniknął. A po jakimś czasie pojawił się inny, ale tym razem z tyłu – zobaczyłem go w lusterku wstecznym.

Dojechałem do skrzyżowania i stanąłem na czerwonym świetle. Obok mnie zatrzymał się samochód, więc zawołałem do kierowcy – którędy jechać na lotnisko. Pomyślał przez moment, a potem powiedział – skręć w lewo i cały czas jedź prosto. Już mi było wszystko jedno – w lewo, w prawo, do przodu, do tyłu – wszystko jedno. Skręciłem, nie myśląc, nie czując, właściwie nie patrząc. Jechałem i jechałem przez pustą i bezludną okolicę. Słońce już świeciło wysoko, zaczynała się godzina upału. Przypomniały mi się saharyjskie fatamorgany – złudne widziadła, które migocą i pobłyskują na horyzoncie. W takiej właśnie chwili zobaczyłem przydrożną tabliczkę. Na zielonym tle było napisane niewielkimi literami – *airport*. Zacząłem przecierać oczy, czy to aby nie zdradliwe widmo fatamorgany, ale za chwilę pojawił się nowy napis, większy, a potem kolejne i dopiero wtedy uspokoilem się, że jednak nie śnię.

Nie ma tu miast w pojęciu europejskim, są tylko zabudowane obszary, konstelacje, często złożone i pogmatwane, nieczytelne w pierwszym kontakcie, składające się z dziesiątków miasteczek, dzielnic, osiedli, centrów handlowych, parkingów, skwerów i placów, a wszystko to razem tworzy sieć z małym centrum bankowo-administracyjnym, które wyludnia się i pustoszeje po godzinach pracy. Zresztą cechą charakterystyczną tych miejskich aglomeracji jest brak ludzi na ulicach, obszary te wyglądają na wyludnione, pytamy ciągle gdzie są te miliony w nich zamieszkujące.

11 września 2002, Nowy Jork

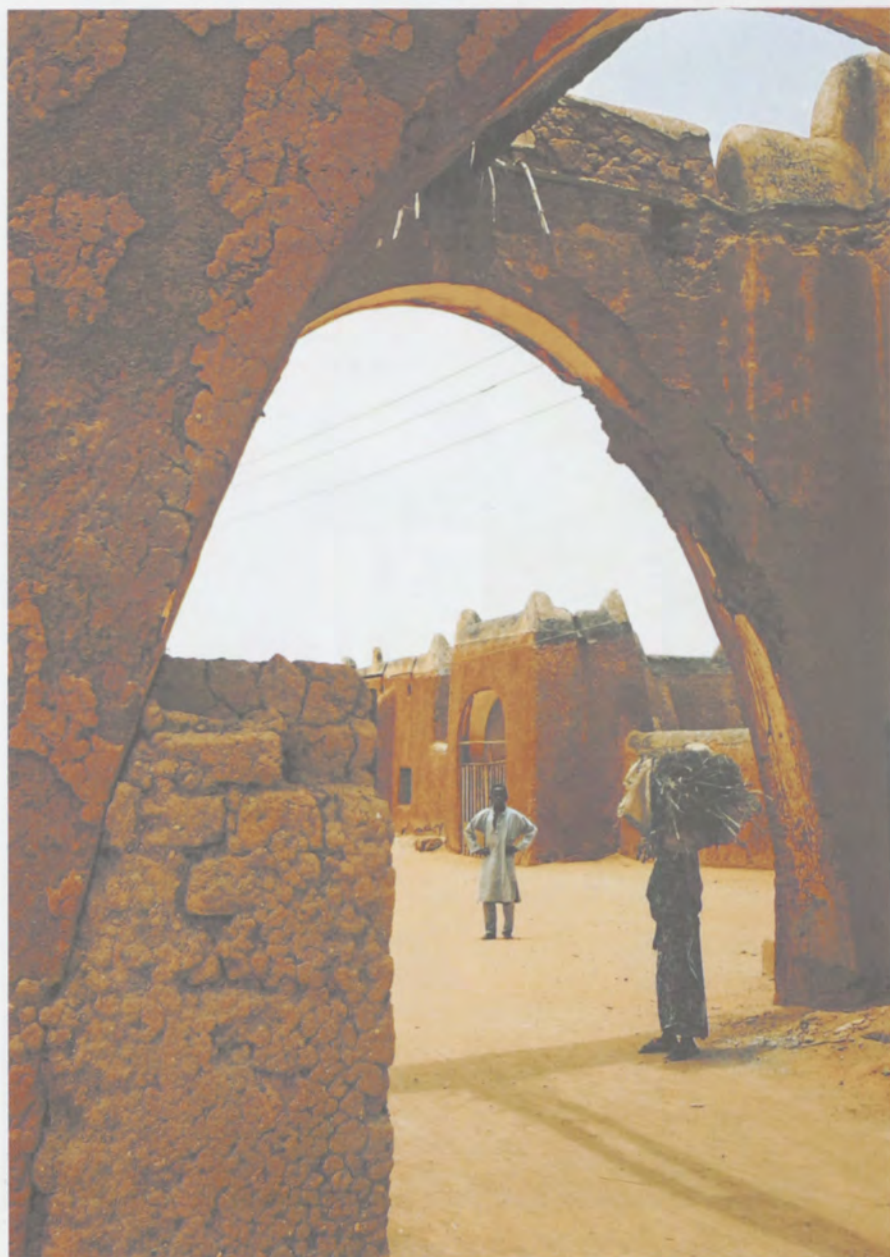
Słonecznie, gorąco. Dzwoni Krysia N. Pyta, czy oglądam rocznicę w telewizji. Nie oglądam, ponieważ nie mam telewizora. Jak wszędzie, również i tu, istnieje coś takiego jak oficjalna Ameryka i Ameryka codziennego życia zwykłych obywateli.

Rozgłos robi Ameryka oficjalna – administracja i media. Ulica żyje życiem codziennym – zapracowanym, pośpiesznym, bez żadnych oznak celebracji.

W dzisiejszym „New York Times” mówi się o XXI wieku: *An Age of Terror*. Ale czy to prawda?

Ryszard Kapuściński

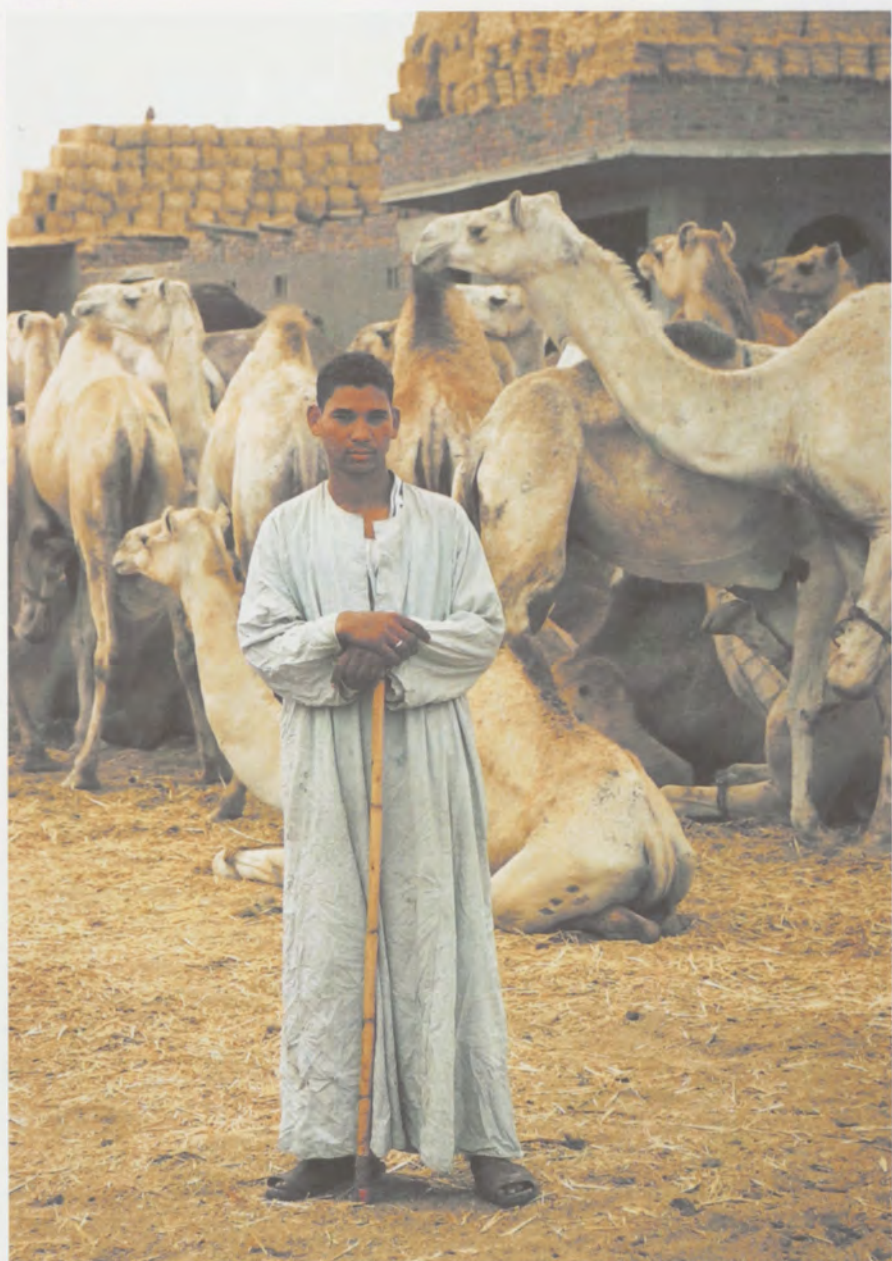
Fotografował RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

















„Opisać we fragmentach”

Z Ryszardem Kapuścińskim

rozmawia Grzegorz Kalinowski

Grzegorz Kalinowski: Żyjemy w czasach ogromnych zagrożeń i szans dla ludzkości i świata, pisze w swej ostatniej książce Benedykt XVI, w czasach za które wszyscy ponosimy ogromną odpowiedzialność. Możliwości człowieka są niebywale – podobnie umiejętności (degradacja bytu, odczytanie kodów genetycznych, budowa nowego człowieka). Jak wygląda to z Pańskiej perspektywy, wielopłaszczyznowego i naocznego oglądu świata? Czy dostrzega Pan to, co jest w istocie przekroczeniem jakiejś granicy, może uzurpacją człowieka?

Ryszard Kapuściński: Myślę, że w tym pytaniu, w przytoczonych przez pana sądach, właściwie odczytany jest stan dzisiejszej rzeczywistości. To oczywiście moment wielkiego przełomu. Jest to przełom wielopłaszczyznowy i właściwie bardzo trudno posłużyć się jedną definicją. Kiedyś Octavio Paz napisał książkę o Indiach, w których był ambasadorem. Na począt-

ku, w przedmowie, stwierdzał, że Indie łatwiej opisać we fragmentach niż w całości. I tak jest dzisiaj z całym światem, łatwiej go opisać we fragmentach niż w całości. Wszelkie próby, jakie czynimy, wszelkie zabiegi i usiłowania mające na celu nadanie jakiejś jednej spójnej definicji temu co się dzieje na świecie, są szalenie trudne albo wręcz niemożliwe, bo musimy albo wejść na taki poziom uogólnienia czy ogólników, że traci się w nich konkret, który jest przecież bardzo istotny. Albo znowu rozdrabniamy się na takie fragmenty, na takie regiony spraw czy problemów, poprzez które nie możemy ogarnąć całości. Musimy więc szukać, jak radzili i później starali się tę zasadę stosować w życiu starożytni Grecy, złotego środka. Tu nie mamy ani pełnej definicji, ani nie możemy zbyt daleko posunąć się we fragmentaryzacji, bo wtedy zagubi się obraz całości. Na tym polega kryzys współczesnej refleksji o świecie, że mamy do czynienia z taką myślą, która zbyt się fragmentaryzuje i jest zbyt, jak można by powiedzieć, parafialna, prowincjonalna czy regionalna, i nie daje obrazu całości. To jest jedna ze sprzeczności współczesnego myślenia. Niemożność znalezienia złotego środka. Z tej sytuacji nie ma wyjścia, ale trzeba po prostu próbować, mając tego świadomość. Od zawsze świat borykał się z wieloma problemami, z których nie ma wyjścia. Tak wiele jest pytań, na które brak odpowiedzi. Musimy się z tym pogodzić. Jednym z grzechów racjonalistycznego myślenia było przekonanie, że na wszystko jest odpowiedź, wszystko można określić, wszystko można rozstrzygnąć. To dopiero dzisiaj widzimy jak wiele było w tym elementów pychy, a jak mało pokory myślącego człowieka, jak mało było zgody na ten prosty fakt, że niestety nie jesteśmy w stanie znaleźć na wszystko odpowiedzi. Żyjemy w okresie wielkiej przemiany cywilizacyjnej, którą bardzo trudno zdefiniować, ale możemy ją mniej więcej z wielkimi zastrzeżeniami rozpoznać. Można ją określić jako okres przechodzenia od społeczeństwa masowego, które powstało na przełomie XIX i XX wieku, do społeczeństwa planetarnego, którym stajemy się teraz, na przełomie XX i XXI wieku. Co się stało? W połowie XX wieku nastąpiło wyzwolenie wielkich mas w skolonizowanej części świata. Ruch w kierunku niepodległości, przynajmniej politycznej, przynajmniej prawnej. Trzy czwarte ludzkości zyskuje raptem niepodległy byt państwowy i staje się obywatelami. Temu towarzyszy drugi wielki ruch, którego skutki zaczynamy odczuwać coraz bardziej w skali światowej – ruch ze wsi do miasta. Bowiern na początku XX wieku społeczność świata jest przede wszystkim społecznością chłopską.

Tak też było w Polsce.

Taka była Europa Wschodnia, ale taka była przede wszystkim Azja, Afryka, Ameryka Łacińska. Tak zaczęliśmy wiek XX. Dzisiaj opuściliśmy wiek XX już jako społeczność w swojej większości miejska, bo przeżywamy ogromny kryzys wsi jako kultury, również jako tożsamości. Przechodzimy wszyscy do społeczności nie tylko nawet miejskiej czy wielkomiejskiej, ale takiej, w której zaciera się problem tożsamości, w której mamy po prostu do czynienia z ogromną masą ludzką, która już nie jest chłopstwem tradycyjnym, nie jest również tradycyjnym proletariatem, tylko powstaje zupełnie nowa kategoria socjologiczna, psychologiczna i kulturowa mieszkańca wielkiej metropolii. Ma on już trudności w zdefiniowaniu swojej tożsamości, ma trudności w zdefiniowaniu kim jest i skąd pochodzi. Wszyscy jesteśmy przybyszami do nowych przestrzeni, wszyscy jesteśmy przybyszami do nowych środowisk.

W *Podróżach z Herodotem* jest ten motyw, motyw wędrowki – np. ciągnące się nieustannie w Indiach nocą i dniem korowody ludzi, wędrowców. Dokąd?

To bardzo trudno odpowiedzieć. Możemy sobie wyobrazić skąd przychodzą ci wędrowcy, przybysze, ale to też tylko w pewnym przybliżeniu. Trzeba zdefiniować tę kulturę w całym jej bogactwie, złożoności i zróżnicowaniu. Zawsze będzie to tylko zewnętrzne rozpoznanie. Ale co jest pod tą powłoką? Dokąd idą? I trzeba mieć jeszcze świadomość, że to wszystko staje się coraz bardziej ruchome, cała rzeczywistość jest w ciągłym, gwałtownym i niespokojnym ruchu. Towarzyszy temu wielka rewolucja, która dokonała się w ostatnich dwudziestu latach, wielka rewolucja w dziedzinie komunikacji. Mamy polityczny koniec zimnej wojny, co otworzyło granice, ale mamy równocześnie wielką ruchliwość wynikającą z rewolucji komunikacyjnej: tańsze lotnictwo, budowę nowych dróg, samochód, który staje się powszechną własnością człowieka, a także rewolucję elektroniczną, która powoduje, że zniesione zostają dwie przeszkody, które utrudniały tę komunikację: bariera przestrzeni i bariera czasu. Zaczynamy żyć coraz bardziej w jednej przestrzeni, która jest równocześnie przestrzenią ruchomą.

To są te najistotniejsze procesy, które zdecydowały o obrazie współczesnego świata?

Z pewnością tak. Mnie się wydaje, że stajemy wobec rzeczywistości, z którą dotąd myśl ludzka nie miała do czynienia.

I teraz te działania – ogromne możliwości, umiejętności, przekraczanie barier przestrzennych, ograniczeń czasowych, czy one powodują, że istota ludzka staje się uzurpatorem?

Staje się w jakimś sensie uzurpatorem, tyle, że to poczucie możliwości znacznie przekracza, można by powiedzieć, realne granice ludzkich możliwości.

Przekracza ludzkie siły?

Z jednej strony tak. Z drugiej maleją zasoby, które stają się niewystarczające, na skutek ogromnego wzrostu komunikacji, ruchliwości człowieka i jego oczekiwań. On więcej wymaga aniżeli rzeczywistość może te wymagania zaspokoić. Mamy tu więc do czynienia z dwiema rewolucjami. Pierwsza to rewolucja zagubionych nadziei. Ludzie oczekują i na tym polega siła populizmu, że on obiecuje, że wychodzi naprzeciw wszelkim tęsknotom i oczekiwaniom, że wyczuwa te oczekiwania społeczne, ludzkie tęsknoty i mając tę wiedzę, obiecuje wszystko. Nic z obietnic nie wynika, ale chodzi o to, że populiści niesłuchanie trafnie odczytują te uzurpatorskie żądania, jeśli użyć tego słowa. Po prostu żyjemy w epoce, którą moglibyśmy nazwać epoką zawiedzionych nadziei. I to jest ta różnica między człowiekiem, który oczekuje, i który nawet żąda a światem, który nie jest w stanie po prostu *ex definitione* spełnić tych żądań. To jest pierwsza sprzeczność, w jakiej znalazł się człowiek współczesny i równocześnie bardzo ważny moment kulturowy. Wielki proces dekolonizacji, który charakteryzuje drugą połowę XX wieku spowodował, że człowiek poczuł się wolny od tej zależności, szeroko mówiąc kolonialnej, nie tylko w sensie politycznym, w sensie ekonomicznym, ale również w sensie kulturowym. Mamy tu jakąś formę uzurpacji. Choć właściwie uzurpacja jest słowem zbyt negatywnym, ale mamy poczucie narodzin u ogromnej większości postkolonialnej ludzkości własnej tożsamości, narodzin związanej z tym dumy, pewnego poczucia godności i przekonania, że się jest równym wśród równych. I na tym tle rodzą się te wszystkie problemy związane z konfliktami międzynarodowymi, z terroryzmem w swojej formie bardzo zniekształconej i fałszywej. Świat był dotąd zbudowany strukturalnie jako nierówność, natomiast

dzisiaj mamy wielki pęd, wielkie oczekiwanie w kierunku świata jako demokracji i równości. Wszyscy chcą być równi. I wobec tego cała tradycyjna struktura świata chwieje się.

Ta hierarchiczna struktura, w której ludzkość kompletnie nie potrafi się odnaleźć?

Tak. Ludzkość nie może poradzić sobie w tej nowej sytuacji. I tu mamy źródło wszystkich nacjonalizmów, wszystkich fal fundamentalizmu i wszystkich fanatyzmów, które żądają dla siebie miejsca przy stole świata. To jest istota rzeczy. I to jest następna sprzeczność, w jakiej tkwimy.

W Pańskiej diagnozie tym podstawowym elementem rzeczywistości, którą próbuje opisać współczesna literatura w całym jej bogactwie, jest kłębowisko rozmaitych sprzeczności. Benedykt XVI uważa, że największym niebezpieczeństwem naszych czasów jest sprzeczność między możliwościami technicznymi a siłą moralną. Idąc tym tropem można by stwierdzić, że człowiek staje się w jakimś sensie olbrzymem, jeśli chodzi o techniczne możliwości z jednej strony, z drugiej – moralnym karłem. Czy jest to rzeczywiście najpoważniejsza sprzeczność, najbardziej dramatyczna?

To bardzo trafna obserwacja, którą konstatuje papież i którą konstatuje współczesna myśl ludzka, humanistyczna i antropologiczna, ale która niestety ujawnia naszą dramatyczną sytuację, podkreśla naszą bezradność. Ludzką bezradność.

Co wobec tego robić w takiej sytuacji?

Nie ma żadnej spójnej i jednoznacznej odpowiedzi na to pytanie. Konstatuję tylko problem różnicy między siłą techniczną a siłą etyczną, pomiędzy żywotnością techniczną a żywotnością etyczną: problem, który jest z nami od początku ludzkości w ogóle, który stanowi o kondycji człowieka w świecie od zawsze. Jednakże występuje on we współczesnym świecie, jak wiele zjawisk, w formie niesłychanie zaostrojonej.

Ale z drugiej strony musimy mieć wielką pokorę wobec faktu, że nie ma zadowalających rozwiązań. Zaś rozwiązania, które nam proponują głośno,

hałaśliwie, to rozwiązania typu fundamentalistycznego. Prawda, że niby jesteśmy posiadaczami prawdy, że wiemy co i jak załatwić. To na tym oparte są wszelkie współczesne ruchy sekciarskie, wszelka retoryka fundamentalistyczna, populistyczna, fanatyczna. To są bardzo niebezpieczne kierunki. Myślę natomiast, że paradoksalnie, współczesna mądrość ludzka polega nie na tym, że ma odpowiedzi na wszystko. Myślę, że mądrość ludzka w świecie współczesnym polega na przyznaniu się do tego, że umysł ma swoje ograniczenia. Na pokornym uznaniu faktu, że żyjemy w świecie pełnym tajemnic, problemów nierozwiązywalnych. I że będziemy czynić to wszystko, co jest naszym ludzkim i humanistycznym obowiązkiem, którym jest próba szukania rozwiązań, nie całościowych, bo takie nie są możliwe w świecie sfragmentaryzowanym, tylko próba poszukiwania i znalezienia rozwiązań kolejnych problemów.

Czy słuszne jest stwierdzenie, odwołuję się raz jeszcze do papieża, że Europa rozwinęła kulturę, która pozostaje w absolutnej sprzeczności z chrześcijaństwem, ale i z religijnymi i moralnymi systemami ludzkości w ogóle? Oczywiście nie ma tutaj negacji pozytywnych aspektów oświecenia takich jak wolność, demokracja, spotkanie kultur dzięki naukowemu racjonalizmowi.

Współcześnie nie możemy sobie wyobrazić stanu myśli ludzkiej bez doświadczenia racjonalizmu.

A problem wykluczenia Boga z ludzkiej świadomości?

Nie powiedziałbym, że coś takiego na świecie istnieje. Chodzi o to, że tu trzeba szalenie rozróżnić. Religijność instytucjonalną należy oddzielić od religijności jako części natury ludzkiej. Człowiek jest istotą bardzo religijną. Każdy człowiek. Tylko teraz chodzi o to, że nie każdy czuje się organizacyjnie przynależny do jakiejś religii. Tymczasem religię często utożsamia się z praktyką, z liturgią, z rytuałem, podczas kiedy stwierdzam, na podstawie znajomości świata, podróżowania po świecie, we wszystkich jego częściach, że człowiek z wnętrza jest naturą bardzo religijną, nie należąc do żadnego kościoła, nie poczuwając się do jedności organizacyjnej z jakimkolwiek kościołem.

Homo religiosus.

To jest w ogóle istota człowieczeństwa. Człowiek ma poczucie przynależenia do jakiegoś wyższego porządku, nie tylko do ziemskiego. Często nawet poczucie zupełnie instynktowne, podświadome. Istnieje przekonanie, że boska częśćka jest częśćką, z którą się rodzi. To poczucie przynależne każdej kulturze i każdemu człowiekowi. Uważam, że religijność jest wszechogarniająca. Natomiast utożsamianie tego z przynależnością do jakiegokolwiek kościoła jest, moim zdaniem, zbyt daleko posuniętym uproszczeniem.

A sprzeczność z systemami moralnymi ludzkości?

Ja myślę, że tutaj jest tak samo. Systemy wartości w skali planety, w skali systemu społeczeństwa planetarnego, o którym mówimy, w podstawowym wymiarze istnieją i są tożsame. Jeżeli mówimy o takich skalach, musimy zawsze pamiętać o zasadzie proporcjonalności. Media narzucają nam nieproporcjonalny obraz świata. Musimy pamiętać, że te wszystkie wojny, o których się tyle mówi, obejmują mniej niż jeden procent ludzkości. Świat przestałby istnieć, gdyby nie było tych wartości moralnych, które nadają dyscypliny naszym zachowaniom, określają nasz stosunek do Innego. I teraz nie możemy utożsamiać poszczególnych sytuacji, czy poszczególnych punktów naszej planety z globalną sytuacją ludzkości, bo to jest bardzo myląca perspektywa, bardzo szkodliwa. Żyjemy w świecie tak ogromnym, tak olbrzymim, że ustalenie na początku każdej dysputy kwestii proporcji jest niesłychanie ważne. Ponieważ, jeśli tego nie czynimy, degradujemy ludzkość w ogóle i bardzo ją, że tak powiem, poniżamy. Mówiąc, że to są terroryści albo, że to są ludzie ciemni. To uogólnienia arogancje, które nie uwzględniają tego, co jest istotą współczesności, to znaczy ogromnej różnorodności, wielkiego zróżnicowania. I tutaj, kiedy nad tym dyskutujemy, to dyscyplina myślenia, dyscyplina języka jest szalenie ważna, ponieważ siedzimy na beczce prochu. Jeżeli będziemy nieostrożni, nierozważni możemy doprowadzić do bardzo niebezpiecznych konsekwencji.

Świat jest po prostu inny, niż się nam wydaje, a rzeczywistość, jak pisał Miłosz, jest za trudna. W każdym razie dla języka, by ją mógł udźwignąć.

Właśnie. Stąd mamy ucieczkę większości literatów, ucieczkę w takie niszowe, modne to dzisiaj słowo, tematy na przykład trójkąt małżeński czy

kazirodztwo. Niewielu jest takich, którzy rozumieją powagę i grozę, napięcia i problemy tego świata. Tymczasem, ale to też, że tak powiem, piękne za nadobne, dlatego, że te książki nie są czytane. Czytelnik, inteligent świata, odrzuca tę literaturę. Nie sięgając po nią, daje odpowiedź, daje swoją ocenę. Dzisiaj potrzebna jest literatura i jest niesłychanie ważna, dlatego że świat zrobił się bardzo chaotyczny, bardzo trudny do zrozumienia. Ludzie czują się zagubieni. To poczucie jest olbrzymie. I stąd poszukują czegoś, co by im dawało odpowiedź na ich niepokoje. Niestety tego w literaturze nie ma. I to jest ważne, żeby przyznać się do tego.

Nie ma odpowiedzi – to tytuł tomu poetyckiego Julii Hartwig, wzięty chyba z opowiadania Tołstoja Śmierć Iwana Ilicza.

To jest ważne, żeby to przyznać i podkreślać, i jednocześnie, aby stwierdzając i uświadamiając, że nie ma odpowiedzi, zaostrzać wrażliwość człowieka na to wszystko, co się dzieje, ograniczać jego pychę i ograniczać jego bezmyślność, zarozumialstwo i to wszystko, co wynika z jego egoistycznej natury. Dlatego uważam po prostu, że nie wszystko rozwija się zgodnie z tym oczekiwaniem człowieka. Człowiek jest dzisiaj tak bardzo zajęty, tyle ma pracy, obowiązków, trosk i obaw. Ale równocześnie szuka, często naiwnie, wierząc, że jeżeli sięga po książkę, to ona mu w czymś pomoże. Często potrzebuje pomocy, różnego typu pomocy, sam sobie nie jest w stanie poradzić ze światem, który zbudował, ale który jednocześnie go po prostu przeraża.

I potrzebuje nadziei. Czy literatura jest w stanie sprostać tym oczekiwaniom?

Szuka nadziei, szuka wszelkiego typu wsparcia, wszelkiego objaśnienia, bo literatura świat opisuje, objaśnia, a to już wiele, nie dając, co już wcześniej mówiłem, odpowiedzi. Czy jest w stanie sprostać tym oczekiwaniom? To trudno powiedzieć. Jeśli jednak współczesny człowiek sięga po literaturę, to czyni to z myślą, że tam znajdzie jakieś objaśnienia dla swojej sytuacji. Jakieś światło.

Świat nie składa się z samych czytelników książek.

Właśnie. Człowiek współczesny żyje w świecie w sytuacji, w której poczucie walki o to, żeby mieć pracę, utrzymać rodzinę, żeby się w ogóle na tym

świecie utrzymać, są podstawowymi troskami jego istnienia. I właśnie ta sytuacja rodzi poczucie niepokoju i niepewności. On po prostu kieruje się też bardzo pragmatycznymi wyborami.

A dokąd prowadzą Pańskie poszukiwania? One wydają się nieograniczone: w przestrzeni i w czasie. Zna Pan cały świat, nie z opisów, opowiadań, książek, ale poznał go Pan naocznie. Z drugiej strony jest Pańskie piarstwo ciągłą dyskusją prowadzoną z dystansu z ważnymi autorami. Z jednej więc strony jest to piarstwo niesłuchanie otwarte na świat, przekraczanie granic, z drugiej, szczególnie tak wyraźne w *Lapidariach*, izolowanie siebie, zamykanie się w celi. Medytacja.

Ja po prostu dużo podróżowałem po świecie i to, co mnie zawsze fascynowało w tych podróżach, to niesłuchane bogactwo świata i jego ogromna różnorodność. Dziś, gdy młodzi ludzie opowiadają o swoich podróżach, ma się wrażenie, że mówią tak, jakby przemieszczali się w ramach jednego regionu czy jednego miasta. Oni myślą już zupełnie innymi kategoriami. Mnie się wydaje, że tu jesteśmy u progu narodzin jakiegoś nowego sposobu myślenia, czy może nawet jakiejś nowej cywilizacji, która dawniej była jedynie przynależnością jednostek albo bardzo małych grup ludzi. Taką jednostką był na przykład Herodot w starożytnej Grecji, czy w średniowieczu małe grupy, kupcy szlaku jedwabnego, albo ci wielcy podróżnicy typu Marco Polo. Dzisiaj to już całe warstwy społeczne, które są w ruchu, nawet jako turyści. Trzeba pamiętać o tym, że w zeszłym roku na skutek taniości poruszania się i otwarcia granic liczba samych turystów przekroczyła osiemset milionów. To są już skale ogromne. I jeżeli weźmie się pod uwagę, że ruszą dwa największe narody świata, to znaczy Chińczycy, którzy stanowią półtora miliarda ludności i Hindusi, którzy stanowią ponad miliard, to wytworzy się nowy obraz kultury świata, w którą wpisany będzie potężny ruch. Istnieje na przykład wśród ekonomistów obawa, że kiedy uwolnią się te ogromne masy ludzi, to sytuacja ta zdestabilizuje cały rynek pracy na świecie.

Powstanie wielki chaos.

Wszelkie migracje mają w swej istocie chaos, ponieważ wszelkie migracje na dużą skalę są w dużym stopniu właśnie spontaniczne, bo są poszukiwaniem lepszej pracy albo są skutkiem wygnania z powodu wojny, suszy czy

zarazy. Świat prezentuje się nam więc jako bardzo trudny nie tylko do opamiętania, ale przede wszystkim do zdefiniowania.

Istnieją różne próby zdefiniowania tej rzeczywistości.

Właściwie nie dysponujemy nawet językiem, który by mógł to wszystko nazwać. Używamy *cliché* różnego typu, czy pojęć, które nam dzisiaj nic nie mówią, na przykład postmodernizm. Właściwie jednym z najważniejszych zadań intelektualistów jest próba ich nazwania, zdefiniowania i określenia. I w związku z tym mnie się wydaje, że wychodzenie czy też próba wychodzenia poza doświadczenia zachodnioeuropejskie, czy cywilizacje zachodnie, które są oczywiście i wielkie, i ważne, i żywotne, jest wielkim zadaniem dla ludzi myślących i jednocześnie wielką odpowiedzialnością.

Wędrownica pojęta jako poruszanie się w przestrzeni wpisana jest w istnienie?

Jest ważna, żebyśmy mogli zastanowić się nad naszym miejscem w rodzinie, w społeczeństwie, w cywilizacji, którą reprezentujemy, pamiętając o tym, że są ludzie, którzy mają inną rodzinę, żyją w innej cywilizacji, wyznają inną religię czy reprezentują inną rasę, ludzi, którzy mają coraz większe poczucie własnej tożsamości i żądają coraz bardziej donośnym głosem uznania dla tej tożsamości. To jest wielkie odkrycie Bronisława Malinowskiego, który ośmielił się napisać, że nie ma cywilizacji lepszych czy gorszych, tylko że są cywilizacje różne. Podkreślanie różnorodności świata jest podkreślanie tego, co uznajemy, że jest różnorodnością człowieka, że każdy człowiek jest inny. Równocześnie każda cywilizacja jest inna i każdy region jest inny. Uznanie tej różnorodności, tego szalonego bogactwa i tej szalonej niejednorodności, tej szalonej fragmentaryzacji świata jest niesłychanie ważne. Stąd też w literaturze bardzo ważna rola fragmentu.

To obecne jest w Pańskim piarstwie. Szczególnie w *Lapidariach*.

Bo tylko tak można ten świat ująć. Nie da się go ująć jako jednolitą całość.

Filozofia dialogu znakomicie koresponduje z Pańskim sposobem widzenia i rozumienia napotykanego człowieka. Wielkość i powagę ludzkiego

istnienia pokazuje Pan począwszy już od swoich pierwszych reportaży. Ten wątek ujawniają także *Lapidaria*, a ostatnio *Podróże z Herodotem*.

Dla mnie to jest szalenie ważny temat XXI wieku. I taki był właśnie tytuł mojego wykładu, który wygłosiłem w ubiegłym roku na Uniwersytecie Jagiellońskim, kiedy dostałem doktorat honoris causa. To był tytuł *Spotkanie z Innym jako wyzwanie XXI wieku*. Musimy wyciągnąć konsekwencje z tego faktu, który dzieje się na naszych oczach, że cywilizacja planetarna ma różnorodne oblicza. Jest wielością i różnorodnością albo różnorodnością i wielością. To jest synonimiczne. I dlatego musimy znaleźć odpowiedź na ten fakt. Przecież ten świat taki będzie, on nie będzie inny. Będzie się różnicował, w miarę jak coraz większe grupy ludzkie będą uzyskiwały świadomość własnej tożsamości, własnej inności. Najbardziej liberalną formułą jest mówienie, że trzeba być tolerancyjnym. Jednak tolerancyjność jest odpowiedzią ograniczoną, bo tolerancja oznacza akceptowanie innego, a musimy iść krok dalej, od tolerancyjności musimy przejść do dialogiczności. Tolerancja jest sytuacją bycia biernym w stosunku do Innego. Nie tylko tolerujemy istnienie Innego. Musimy z nim nawiązać kontakt, rozmawiać, dowiedzieć, co on myśli, nawiązać dialog, właśnie dialog, poznać jego racje, zacząć poznawać jego sposób myślenia. I stąd filozoficzny dyskurs nabierający w tej chwili znaczenia, zwłaszcza w postaci rozwijającej się bardzo intensywnie w humanistyce, współczesnej antropologii kulturowej – owa dialogiczność. Ona stwarza perspektywę wzbogacenia się, wzajemnej dyfuzji, tzn. wzajemnego wymieniania wartości, wzajemnego wymieniania poglądów. I tu jest przyszłość. Także przyszłość szansy przeżycia i szansy tworzenia nowej światowej kultury. Tolerancja jest zbyt pasywna. Chodzi o sytuację dynamiczną, o sytuację wzajemnego wzbogacania się. Stąd wielka przyszłość dialogu świata. Współczesna antropologia kulturowa stoi na gruncie nie tylko poznania Innego, ale uznania sytuacji partnerskiej, tzn. nie tylko ja coś daję Innemu, co było ideologią człowieka kolonialnego, ale również i sytuację, że on mi też coś daje. Wzajemnie tworzymy nowe wartości, nowe jakości i nowe byty. Stąd także wielka rola filozofii dialogiczności. Martin Buber analizował relację Ja – Ty, Lévinas stwierdzał, że spotkanie z Innym jest sytuacją boską, że otwiera wielką szansę. Niezwykła w *Odysei*, o czym pisze Norwid w swoim komentarzu i przedmowie, była gościnność. Ona istnieje do dziś w wielu kulturach. W *Iliadzie* czy w *Odysei* wynikała ona z tego faktu, że w dawnym świecie antropologicznym u starożytnych Greków bogowie czy herosi przy-

bierali ludzką postać i wobec tego nie było wiadomo czy ten, który się zbliżał to człowiek, czy też bóg. I wobec tego należało mu okazywać szacunek i gościnność, bo a nuż to jest bóg. Ta sytuacja stwarzała szczególny stosunek wobec Innego nacechowany elementami *sacrum*. Wytwarzała zupełnie odmienny od współczesnego typ percepcji drugiego człowieka. I mnie się wydaje, że w tak pojętej dialogiczności zawarty jest element poszukiwania i uznania *sacrum*, które jest możliwe w stosunkach nie tylko człowiek – bóg, ale także w stosunkach człowiek – człowiek. I to jest niesłychanie ważne dla dalszego istnienia ludzkości.

Chciałbym przywołać raz jeszcze metaforę „białego wieloryba” z powieści Melvilla jako uosobienia okrucieństwa i zła tego świata i Lewiatana – istotę symbolizującą mistyczny związek ze złem, ta postać pojawia się w wierszu Czesława Miłosza *Tak mało*. Miłosz pisze: „Tak mało powiedziałem,/nie zdążyłem./Serce moje zmęczyło się/Zachwytem/Rozpaczą/Gorliwością/Nadzieją/Paszczą Lewiatana/Zamykała się na mnie/Nagi leżałem na brzegach/bezлюдnych wysp./Porwał mnie w otchłani za sobą/Białe wieloryb świata”. Mnie kojarzą się te fragmenty z Pańskim pisarstwem. Jest w Pańskim pisarstwie i zachwyty, i rozpacz, i gorliwość, i nadzieja. I ciągle w tej otchłani świata ściga Pan „białego wieloryba”.

Myślę, że istota rzeczy jest w jedności tych czterech elementów, tych doznań rodzajnych różne uczucia. To wszystko jest dane razem, jako jedność. Te doznania przenikają się w ogóle, ale i w różnych proporcjach w zależności od czasu i sytuacji. Więc w pewnych sytuacjach będzie się przejawiać, powiedzmy, myślenie optymistyczne wtedy, gdy podróżując po świecie widzimy, że mimo wszelkiego dziś zła ta planeta trwa, istnieje. Na ogół nie ma masowych epidemii czy masowych śmierci, czy wielkich wojen, pomimo głodu i nędzy. Cała ludzkość, której jest obecnie około sześć i pół miliarda, nie ma w tej chwili żadnego centralnego rządu, ani żadnej centralnej religii, ani nie jest to jedna rasa. Ludzkość istnieje w tej całej różnorodności. Więc to napawa optymizmem. Jeśli polecisz się na jeden koniec planety i widzisz, że rolnik uprawia ziemię i tym samym samolotem polecisz się na drugi koniec planety i tam jest dokładnie ten sam obraz. Więc to jest optymistyczne. Równocześnie widzimy jednak, ile istnieje na świecie zła, podłości, nikczemności i okrucieństwa, co też wchodzi w skład obrazu ludzkiego świata, obrazu

człowieczeństwa. To przecież też jest ludzkie życie. Równocześnie więc wi-
dać ogrom cierpienia, rozpacz.

Nadzieja miesza się z rozpaczą.

Bo wszystko istnieje jednocześnie. Wyjście z sytuacji rozpacz, bólu i cier-
pienia jest tylko wtedy, kiedy mamy nadzieję, że to jest możliwe. Inaczej
człowiek pogrąża się w skrajnej depresji i często kończy się ten stan samobój-
stwem, bo w chwili, kiedy przestaje widzieć on jakiegokolwiek promyki na-
dziei, w tym momencie chce rozstać się z życiem. Nadzieja jest elementem
życia i po prostu jest jego częścią najważniejszą, bo najbardziej światłą, naj-
bardziej jasną. Jeśli więc tracimy nadzieję, tracimy możliwość czy szansę
życia. Myślę, że te przywołane przez pana doznania z wiersza Miłosa, trak-
towałbym jako różne oblicza życia, jako jego różne elementy.

I te doznania są wpisane w ten pościg, wieczną gonitwę?

Tak. Ścigamy rzecz nieosiągalną. To znaczy, że właściwą sytuacją egzysten-
cjalną człowieka, jego bytowania, jego wysiłku i jego pracy, jest, można by tu
użyć tego słowa, co po francusku nazywa się *l'approximation*, zbliżenie. Nigdy
nie możemy osiągnąć celu, ale możemy starać się do niego zbliżyć. Zaś różnica
między ludźmi, ich sukcesu, czy ich przegranej, polegać będzie na stopniu
osiągnięcia przez nich tego zbliżenia, na ile zdołali zbliżyć się do celu.

„I wszelkie rozświetlenia otwierają nowe otchłanie”, cytował Pan w *La-
pidariach Heideggera*.

Bez końca. Każdy uczony to wie w swojej dziedzinie. Im dogłębniej pozna-
je się rzeczywistość, tym bardziej poznanie rodzi kolejną listę pytań, na które
trzeba odpowiedzieć. I tak w nieskończoność. Nie wiadomo gdzie jest kres.
Proces poznawczy ma w sobie wpisana nieskończoność. Nieskończony cha-
rakter mają także sytuacje zbliżania się do celu. Myślę, że bardzo ważne
w poszukiwaniu odpowiedzi jest niezapominanie o najważniejszej cesze ży-
cia, jaką jest dynamiczność. Wszystko jest w ciągłym ruchu, może się w każ-
dej chwili zmienić, może wyglądać zupełnie inaczej. Groźbą każdej nauki,
każdego myślenia jest zatrzymać się na jakiejś jednej definicji. Pamiętać, że
te wszystkie elementy rzeczywistości są jak gdyby jednoczesne, z tym że

różne akcenty pojawiają się w danym momencie. Te wszystkie elementy ulegają ciąglej ewolucji, ciąglej przemianie. Są w ciągłym ruchu.

Jak głęboko dotrzeć może słowo?

To jest pytanie bardzo piękne, ale szalenie abstrakcyjne. Doświadczenie każdego z nas i całej ludzkości uczy, że słowo może i zabić, i może coś nowego zrodzić. Nie da się odpowiedzieć na to pytanie w sposób zamknięty. Pozostanie ono zawsze otwarte.

A słowo w literaturze, w Pańskim pisarstwie?

Nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że każdy z nas piszących stara się robić to najlepiej. To jest zrozumiałe. Tak jak malarz stara się namalować najlepszy obraz, czy kompozytor skomponować najdoskonalszy utwór muzyczny.

Czy słowo jest szczególnie uprzywilejowane w poznaniu?

Poznać i coś wyrazić można bez słowa. Myślę, że każdy powinien o tym pamiętać, że człowiek nie tylko ma język, ale jest językiem. I to jest bardzo ważne. Bo wiemy ile można wyrazić gestem, ile można wyrazić mimiką. Kiedyś spędziłem miesiąc z plemieniem koczowników arabskich żyjących na Saharze. Nie znałem wtedy ani jednego słowa z języka arabskiego, oni zaś nie znali żadnego języka europejskiego. Wspaniale jednak ten miesiąc spędziliśmy. To było dla mnie wielkie doświadczenie. Nie wymieniając ze sobą ani jednego słowa, ale sposobem bycia, zachowania, mimiką, intonacją głosu, tyle tych rzeczy wchodzi przecież w kontakt międzyludzki, bezsłowny, porozumiewaliśmy się. Więc w wielu sytuacjach komunikacyjnych słowo nie jest konieczne, ale z drugiej strony oczywiście jest podstawą komunikacji międzyludzkiej.

W Lapidarium V przytacza Pan Marguerite Duras z PISAĆ: „pisać to żyć samotnie, w stałej izolacji od ludzi; pisać znaczy także nie mówić. Zamilknąć; jedynie pisanie przyniesie ocalenie”. Jak to pogodzić z Pańskim pisarstwem?

Wielka pisarka. Myślę, że to, na co cierpi współczesna cywilizacja, to nadmiar słów. Za dużo książek, ich mechanicznej produkcji, za dużo słów

w mediach zwłaszcza. Współczesne techniki sprzyjają nadmiarowi produkcji słów, ułatwiają ich transmisję. To jest wielkie zagrożenie, wielka słabość. Wiele ważnych i fundamentalnych problemów tonie w powodzi słownej. Słowo traci swoją wielką wartość i moc, zagubione zostaje to, co zawsze było istotą słowa, to znaczy słowo przestaje być sygnałem, znakiem. Dziś nadaje się takie ilości słów, że już po prostu umysł ludzki nie jest w stanie ich przyjąć. Słowo zamienia się w dane, których umysł ludzki nie jest w stanie absorbować w ogóle, nie jest w stanie ich przetworzyć. To powoduje wielką dewaluację słowa, dotyczy wszelkiej twórczości słownej, ale również mediów, wielkich i małych, dotyczy także dobrych mediów. Wszyscy narzekają na media, że są tandetne. W dziewięćdziesięciu procentach są takie. Ale jest, powiedzmy, dziesięć procent dobrych mediów, nawet i one produkują taką ilość słów, że nie jesteśmy ich w stanie przyjąć i przetrawić. W związku z tym powódź słów, ten zalew informacji, ogłuszenie słowem, zaczynając być nadmiarem, działa na wrażliwość w ten sposób, że przestaje być znakiem komunikacyjnym, przekształca się w dysjunkcję, w sytuację rozdzielania. Tego nadmiaru nasz umysł już nie przyjmuje. Został on przecież sformowany, utworzony przez dziesiątki tysięcy lat na dosyć ograniczoną ilość słów, na dość ograniczone słownictwo, a tymczasem te współczesne języki, nie tylko narodowe, ale sztuczne, zawodowe, profesjonalne, rosnąca warstwowość tych języków tworzy tak nieprzebrane w swym bogactwie słownictwo, tak nieprzebrane obszary słowotwórstwa, słowomówienia i słowopisania, że zamiast być sygnałem, przekształca się w jakiś mechanizm ogłuszający, zabijający wrażliwość na słowo. Dostaję mnóstwo różnych miesięczników, kwartalników, książek z całego świata, bardzo wartościowych, ale oczywiście nie jestem w stanie tego wszystkiego przeczytać. Trzeba także pamiętać o nowej proporcji pomiędzy ludźmi, którzy mają te problemy z nadmiernym czytaniem a całą resztą. Ci czytający stanowią małą część ludzkości. Moja koleżanka, pisarka amerykańska, Mary Gordon powiedziała mi kiedyś, że zawsze tak było i tak będzie, że książki czyta nie więcej niż jeden procent społeczeństwa.

Czy istnieją jakieś hierarchie, którymi Pan w swych wyborach się kieruje?

W moim przypadku to szczególna sytuacja, dlatego że ja sam piszę i wybieram literaturę do swojej kolejnej książki. Więc tego uogólniać nie mogę.

Czasem czytam książki, które nie mają wielkiej wartości obiektywnej, ale dla mnie, dla mojego tematu są ważne. Jeżeli teraz zajmuję się Pacyfikiem, to czytam na ten temat, choć duża część tej literatury nie ma żadnej wartości, ale dla mnie ma. Czytam książki, których bym normalnie nie czytał z tego względu, że wolę czytać Szekspira czy Tomasza Manna. Mój przykład nie jest dobry, nie jest adekwatny... Na każdy temat powstaje taki ogrom literatury, że tego nie można wszystkiego przeczytać, ale trzeba się orientować i to jest bardzo trudne. Dlatego nie umiem obiektywnie odpowiedzieć na to pytanie.

Komentując Pańską twórczość zwraca się uwagę na związki z wieloma pisarzami polskimi i europejskimi, widząc różne inspiracje, np. Dostojewskim, Volterem, Dos Passosem, Swiftem, Kafką...

Tak. Ale tutaj nie ma nic oryginalnego. To autorzy, których każdy inteligentny człowiek stara się czytać. Pochodzę z niezamożnej rodziny, która w dodatku cały czas w okresie II wojny światowej wędrowała. To był dom, w którym nie było dostępu do książek. Zacząłem czytać bardzo późno. Mam kolegów, którzy całe życie mieszkali w jednym mieszkaniu, w jednym domu i zawsze zdumiewało mnie jak oni byli czytani, już jako dzieci. W okresie okupacji nam Polakom wolno było chodzić najwyżej do siódmej klasy.

Pańskie czytanie jest imponujące.

To wszystko są późniejsze lata. Ciągle, o ile to tylko możliwe, czytam klasyków. Teraz zachwykam się Balzakiem, żeby, w cudzysłowie mówiąc, podpatrzeć jego warsztat. Czasem potrafię jedną stronę czytać wielokrotnie. Moje czytanie jest zawsze bardzo powolne, bo wracam, zastanawiam się i rozważam, ponawiam lekturę. Za największy absurd uważam tzw. szybkie czytanie, konkursy szybkiego czytania. To kompletny nonsens. Czasem dzwonią do mnie z różnych redakcji przed wakacjami z pytaniem, co bym polecił do czytania. Odpowiadam, że Heideggera, Jaspersa. Zapada cisza, a przecież tylko wtedy ma się czas, żeby usiąść do takiej książki, żeby ją przeczytać, bo w normalnym życiu nie ma czasu, żeby czytać teksty, gdzie jedna strona wymaga wielokrotnej lektury. Czytam nie tylko dla przeżycia tego, co daje przeczytanie pięknej strony, ale również żeby zobaczyć jak mistrz dochodził do takiego efektu, że to wywarło na mnie takie wrażenie? Jakie to były

mechanizmy, jakie środki, jakie narzędzia. Więc moje czytanie jest zawsze czytaniem bardzo powolnym. Najpierw czytam tekst, wypisuję sobie streszczenia, to streszczenie raz jeszcze czytam, żeby utrwalić. To specyficzny rodzaj czytania, to nie jest czytanie czytelnicze, że tak powiem, tylko bardziej profesjonalne.

Kolejny problem polega w tej chwili na tym, że na skutek dokonującej się rewolucji komunikacyjnej, potworzyła się ogromna ilość mediów, które każdy chce mieć na wyłączność. Kiedyś, jak jechało się do Sztokholmu, to była jedna radiostacja, jedna gazeta, telewizji w ogóle nie było. Teraz zaś jest dwadzieścia gazet, trzydzieści radiostacji i jeszcze do tego dziesięć stacji telewizyjnych. I wszystkie chcą rozmowy, wywiadów. Wydawcy są pod strasznym naciskiem, bo im zależy na tym, żeby popularyzować jakąś książkę. Teraz *Podróże z Herodotem* wychodzą w szesnastu językach równolegle w ciągu trzech miesięcy. Każdy chce, żebym tam był.

I kolejna sprawa polega na tym, że się wytworzyła ogromna konferencyjność świata. W świecie toczy się wielka dyskusja, właśnie o istotę świata, o kierunek przemian, o zdefiniowanie tego świata, o istotę tego, co się dzieje na świecie. Dziesiątki, dziesiątki konferencji.

Wielkie konferencje, pytania, które im towarzyszą, bohaterowie tych imprez świadczą także o potrzebie teatralizacji, nadania odpowiedniej oprawy i rangi tym dociekaniom i jednocześnie świadczą o poszukiwaniu aurytetytów.

Istnieje wielka potrzeba autentyczności, potrzeba prawdziwości. Ludzie z jednej strony mają kontakt z mediami, oglądają w ich przekazach ten świat, a z drugiej im nie ufają, nie wierzą. Czują się oszukiwani, wobec tego poszukują kogoś, komu mogliby uwierzyć. Po prostu zwykła obecność takiego człowieka wystarcza.

Rozpacz i nadzieja.

To poszukiwanie jest ogromne. Ta potrzeba. Ciągłe jest masa ludzi np. wśród młodzieży – poszukujących. Takich ofiarnych ludzi, którzy gotowi są pojechać na drugi koniec świata, żeby posłuchać, zobaczyć. Stąd popularność ludzi Kościoła. Przejmująca autentyczność papieża Jana Pawła II uświadamiająca prawdę o człowieku w sposób naoczny, autentyczny, starzenie się,

choroba, umieranie. Tu ujawnia się głęboka prawda, która stoi w sprzeczności z tym, co na ogół pokazują media. Jest naprawdę wielki głód autorytetu, autentyczności. I to się odczuwa.

Jest Pan także autorem utworów poetyckich.

Czasem pisuję wiersze. Wyjdzie teraz tomik w Wydawnictwie Literackim. We Francji i we Włoszech, gdzie dostałem nagrodę Premio Napoli, ukażą się tomy mojej poezji. Ona jest dla mnie bardzo ważna, ciągle czytam poezje.

Dla Pana ważniejsza jest proza?

Na naszej krytyce literackiej ciąży nieświadomie nawet koncepcja, że literatura jest dziełem natchnienia, że to, co naprawdę powstaje z natchnienia to tylko jest literaturą. Stąd tak wysoka ranga, jaką ma w dziejach i równocześnie tak niska ranga eseju czy reportażu. One nie są dziełem natchnienia poety tylko wynikiem żmudnej, ciężkiej, katorżniczej pracy myślowej. Tego brakuje w naszym literaturoznawstwie – historii eseju polskiego, nie ma też historii reportażu polskiego. W ogóle to nie istnieje. W historii literatury wskazuje się na epoki np. romantyzm, gdzie przeważa poezja, pozytywizm proza z kolei, a eseistyki w ogóle nie ma.

Kiedy pisałem *Imperium* wziąłem Mickiewicza *Wykłady paryskie*. Wspaniała eseistyka! Mądra, myśląca, jakie to było głębokie wszystko. A tu ciągle *Romantyczność*. Ręce opadają. I tego się uczy w szkołach. To samo jeśli chodzi o reportaż. Jakich mieliśmy wspaniałych autorów.

Listy z Ameryki Sienkiewicza na przykład.

On był wielkim reportażystą. Każdy z pisarzy XIX i XX wieku w jakimś stopniu był wielkim reportażystą, i Reymont, Kuncewiczowa, Nałkowska. Obok swej znakomitej prozy.

Michał Głowiński jednoznacznie określił rangę reportażu w literaturze. Funkcjonują nazwiska: Wańkowicz, Kąkolewski, Krall, Kapuściński. I na tym się kończy.

Mnie się wydaje, że to również wynika z tradycji ciężącej nad refleksją o literaturze, z myślenia epoki romantyzmu, który tak zaważył na naszej literaturze, że wszystko, co nie dorównywało randze Wielkiej Improwizacji, literaturą nie jest lub że to jest literatura drugorzędna.

To, co wspólne wielkiej literaturze, bez względu na to, jaka jest konwencja, to, jak określał to Miłosz: „namiętna pogoń za Rzeczywistością”.

Tak. Ale także próba zdefiniowania tej Rzeczywistości. Człowiek żyje w świecie, w którym jest coraz więcej nowych zjawisk, które nie zostały nazwane w ogóle. On je odczuwa, ale nie potrafi ich nazwać. Równocześnie żyjemy w świecie zjawisk, które już trzeba na nowo zdefiniować. No i to jest wielkie zadanie myśli współczesnej. Umożliwić i sobie, i odbiorcy bytowanie w tej rzeczywistości, a to będzie tylko wtedy możliwe w świecie, który rozpoznamy. I to jest wielkie zadanie. Myślę, że wielka rola literatury na tym właśnie polega, uczynić świat rozpoznawalnym. Słabość literatury w tym się przejawia, że ona po prostu tego unika albo nie jest w stanie tego zadania podjąć.

Ale czy kiedykolwiek była w stanie sprostać rzeczywistości?

Rzeczywistość jest naprawdę za trudna. A jeżeli chodzi o jej obraz, o opisanie świata, myślę, że polegać ono powinno na eseizacji tego piśmiennictwa, bo to przetrwa, co będzie próbą uczenia nas nowej wrażliwości, uczenia nas nowej wyobraźni. I to wszystko jest niesłychanie trudne. Z góry trzeba być świadomym, że się nie uzyska optymalnych wyników, być może, że nawet jest się skazanym na klęskę, ale taki jest obowiązek. To jest warte podjęcia tej próby.

W Pańskim pisarstwie, w *Lapidariach* z jednej strony ujawniona jest metafizyczność świata, te rozbłyski, chwile intensywnego widzenia i z drugiej strony ogląd świata, precyzyjne jego opisanie. Jak to współistnieje?

Trudno mi o tym mówić. Najważniejsze, aby powstał tekst. W nowojorskich księgarniach znalazłem swoje książki w siedmiu działach np. w dziale o świecie, reportażu, w dziale o Afryce, *new fiction*. Najbardziej odpowiada mi formuła Clifforda Geertza, który napisał esej pt. *O gatunkach*

zmąconych. On tam przytacza cały szereg książek, które do tej kategorii zalicza, w tym *Smutek tropików* Levi-Straussa. Według Geertza to książka, w której znajduje się pięć gatunków. Jak ją zakwalifikować? Bo to jest i antropologia, i reportaż, i historia współczesna, i pamiętnik. Taka hybrydyczna proza, to, co Amerykanie nazywają *mix* albo coraz częściej amerykańscy krytycy określają jako *creative non fiction literature*, czyli literatura jest *non fiction*, czy u nas przełożone jako twórcza literatura faktu, ale to oczywiście uproszczenie. W Ameryce powstaje coraz więcej książek w tym gatunku. Teraz właśnie ukazała się książka hinduskiego pisarza, który nazywa się Pankaj Mishra pt. *The end of suffering* (*Koniec cierpienia*). To książka o Buddzie, o buddyzmie, ale pisana w konwencji książki śladami Buddy, jego biografii, co o nim wiemy, a czego nie, ale także książka o współczesnych krajach, gdzie jest buddyzm, co stanowi istotę szkół buddyjskich – równocześnie reportaż i książka autobiograficzna. Nie wiadomo jak to zakwalifikować. Coraz więcej na świecie takiej literatury, z którą jest problem ze zdefiniowaniem jej gatunku. Coraz częściej poruszamy się w takich sferach literatury, którą trudno zdefiniować. I to są także nowe zjawiska rosnące, bo one będą narastać, bo świat się będzie coraz bardziej mieszał. Obserwacje tych zjawisk w literaturze, tych przemian, tych ewolucji, które się dokonują są i bardzo ważne, płodne i potrzebne.

I pomimo wszystko nastrojają optymistycznie?

O tak, bo to są zupełnie nowe zjawiska i dynamika tego, co się dzieje, jest naprawdę imponująca i niezwykła.

Listopad 2005

Jerzy Jarzębski

Reporter i milczenie

Jakaż to dziwna książka! Właściwie nie wiadomo, co jest jej głównym tematem: terminowanie w zawodzie reporterskim samego autora? Portret pierwszego w historii reportera? *Podróże z Herodotem* tok mają kapryśny i nigdy nie wiadomo, który z dwu równoległych wątków wydobędzie się na powierzchnię i zdominuje narrację. Czytane powierzchownie, zdadzą się tekstem dokumentującym po prostu specyficzny tok lektury dzieła starożytnego Greka, z którego książką młody adept polskiej szkoły reportażu jeździł w swoje pierwsze zagraniczne podróże; poszczególne fragmenty czytał więc w drodze, w przypadkowych miejscach, nakładając na siebie doświadczenia lekturowe i to, z czym stykał się bezpośrednio. To, co widać na pierwszy rzut oka, to również refleksje nad warsztatem reportera, jego pożądanymi w zawodzie (jak otwartość na innych ludzi) cechami charakteru, techniką zdobywania materiału i sprawdzania uzyskanych wiadomości. *Podróże z Herodotem* to zatem wielka szkoła praktycznych umiejętności, jakich potrzebuje w pracy reporter.

Kolejna oczywistość, jaka przychodzi na myśl, kiedy się czyta książkę Kałuścińskiego, to potrzeba zestawiania: historii starożytnej ze współczesną,

dziejów wielkich satrapów perskich z biografiami tyranów dwudziestego wieku: Hitlera, Stalina czy pomniejszych, afrykańskich samowładców. Dlatego Herodot, jak wspomina reporter, był pisarzem źle widzianym w latach stalinizmu w Polsce: opisani w jego *Dziejach* perscy królowie, żądni władzy nad całym ówczesnym światem, zbyt mocno i niebezpiecznie kojarzyli się z włodarzem Kremla, a podzieleni, skłócenii, ale silni swym umiłowaniem wolności Grecy zanadto przypominali Polaków, którzy z kremlowską satrapią nigdy się nie pogodzili. I gdyby na tym poprzestać, *Podróże z Herodotem* stałyby się dla nas książką wprawdzie niezachwianie słuszną, ale może niekoniecznie rewelacyjną, pociągającą raczej pięknosciami stylu niż odkrywczością myśli.

Ciekawe: w książce Kapuścińskiego bardziej porusza mnie do refleksji sam proceder porównywania niż to, co porównaniu podlega, może więc trzeba, aby ją poznać dobrze, raczej zwrócić się do jej treści „warsztatowych” niż do tego, co jest humanistycznym przesłaniem – nie budzącym raczej wątpliwości?

To, co uderza terminującego w zawodzie młodego reportera, to przede wszystkim wielość i różnorodność światów:

Indie były moim pierwszym spotkaniem z innością, odkryciem nowego świata. To spotkanie nadzwyczajne, fascynujące, było jednocześnie wielką lekcją pokory. Tak, świat uczy pokory. Bo wróciłem z tej podróży zawstydzony swoją niewiedzą, nieoczytaniem, ignorancją. Przekonałem się, że inna kultura nie odsłoni nam swoich tajemnic na proste skinienie ręki i że do spotkania z nią trzeba się długo i solidnie przygotowywać¹.

Na pozór prosta to i oczywista wskazówka: „ucz się, młody reporterze!”, ale tej oczywistości Kapuściński poświęca jak gdyby trochę zbyt wiele uwagi. Za chwilę zauważy na temat hinduskiej religii, że obejmuje

nieskończoną ilość bogów, mitów i wierzeń, setki najróżniejszych szkół, orientacji i tendencji, dziesiątki dróg zbawienia, ścieżek cnoty, praktyk czystości i reguł ascezy. Świat hinduizmu jest tak wielki, że jest w nim miejsce dla wszystkich i wszystkiego, dla wzajemnej akceptacji, tolerancji, zgody i jedności².

Pierwszym doświadczeniem Kapuścińskiego jest zatem doświadczenie różnorodności świata i trudności, jakie on sprawia w próbach opisanego. Dlaczego to takie ważne? Pewnie dlatego, że w Polsce tamtych czasów dostęp do doświadczenia inności i różności był bardzo trudny, wręcz politycznie

¹ Ryszard Kapuściński, *Podróże z Herodotem*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2004

² Tamże

reglamentowany, zawsze bowiem stał w sprzeczności z historiozoficzną doktryną, wyrażaną w prostych terminach i jednowymiarowych modelach. Co ciekawe, ignorancja młodego reportera, jego nieznamość obcych języków i kultur, zdawała się nie przeszkadzać redakcji, która go wydelegowała. Redaktorzy tamtej epoki myśleli bowiem w specyficzny sposób: reporter nie jedzie w świat po to, by rozkoszować się jego barwnością, ale po to, by swymi tekstami dowieść, iż wszędzie przydarzają się zjawiska łatwe do opisanie i zinterpretowania przez marksistowsko-leninowską doktrynę. Założona przez teorię powtarzalność politycznych i kulturowych zjawisk sprawia, że ich opis jest zadaniem łatwym, wręcz banalnym. Już w następnej zagranicznej podróży – do Chin – Kapuściński zauważa przepaść dzielącą pewność, jaka tchnie z myśli przewodniczącego Mao, od niepewności i wahań mędrca Czuang-tsy³. Kolejnym istotnym doświadczeniem będzie wycieczka do Wielkiego Muru, który reporter interpretuje przede wszystkim jako materializację strachu przed tym co Inne, Różne. Strach ten trwa do czasów Mao, kiedy uniformizacja świata dochodzi do ekstremum:

Miasto jest żółto-granatowe. Żółte są ściany biegnące wśród ulic, a granatowe drelichy, w które ubrani są ludzie. Te drelichy to zdobycz rewolucji – tłumaczy kolega Li. Dawniej ludzie nie mieli się w co ubrać i umierali z zimna. Mężczyźni są ostrzyżeni na rekruta, pleć żeńska, od dziewczynek po staruszki – na Piasta: krótkie grzywki i włosy z tyłu też krótkie. Trzeba się dobrze przypatrzeć, żeby rozróżnić twarze, ale z kolei natarczywe przypatrywanie się nie jest grzeczne⁴.

Oto cywilizacja – produkt ubóstwienia Tego Samego i jednej, prostackiej myśli porządkującej świat. Powrót z Chin, dokonany w imię solidarności z kolegami z redakcji „Sztandaru Młodych”, walczącymi o wolność myślenia w Polsce, poprzedza bezpośrednio lektura pism Konfucjusza i Lao-tse – dokumentujących dwie różne, choć podobnie defensywne postawy zajmowane wobec przemocy: posłuszeństwo lub wycofanie ze świata. Początki terminowania w zawodzie naznacza zatem u Kapuścińskiego potrzeba wyboru pomiędzy wiedzą o świecie prostą i zależną od ideologicznego centrum, a z drugiej strony przyjęciem do wiadomości, że świat jest czymś więcej, jest domeną różnic, nie da się zatem uchwycić i poddać łatwo językowi pojęć. Od tego momentu dopiero w książce Kapuścińskiego pojawia się na dobre Herodot jako stały towarzysz podróży i ktoś, kto uczy wędrowca patrzeć.

³ Tamże

⁴ Tamże

Co jest zasadniczym problemem, jaki stoi przed reporterem? Zapewne bardzo tradycyjnie rozumiany problem *mimesis*. Reporter wszak opisuje świat i żąda, abyśmy w jego opis wierzyli. Nie chce, by zdanie to rozumiane było naiwnie – jako postulat „dokładnego odwzorowania” (co by to zresztą miało znaczyć, nie wiadomo). Reporter jest oczywiście kreatorem swojej wizji świata, nie reprodukuje tego, na co patrzy, bez zniekształceń wynikających z jego osobistej perspektywy i językowego tworzywa, w którym pracuje, nie może wszelako odżegnać się całkowicie od problematyki *mimesis*, ona bowiem jest niejako częścią konstytutywną definicji uprawianego przezeń gatunku. W jaki sposób jednak reporter ma przedstawiać świat? Relacjonować zjawiska? Ale czy udając obiektywizm „oka kamery”, czy raczej angażując siebie i własne emocje w proces zapisywania? A może oddając głos innym, których głos miałby jedynie zapisywać? A opowiadać jak? Metodą „scenicznego przedstawienia”, czy ze sprzyjającego refleksji dystansu? Z użyciem magnetofonowej taśmy, czy notatnika i własnej pamięci? Narzucając zdarzeniom rys fabularny i emocjonalną wymowę wzorowane na literaturze, czy raczej z maksymalnym obiektywizmem, sucho i beznamiętnie? Z użyciem języka „przezroczywego”, sprawozdawczego, czy naśladowując język bohaterów zaangażowanych w wydarzenie?

To nie są czysto teoretyczne rozważania. Każdy, kto zna reportaże Kapuścińskiego, rozpozna w zadanych przeze mnie pytaniach kwestie obchodzące również autora *Szachinszacha*. One się jednak w jego tekstach odsłoniły nie od razu, a wraz z narastaniem doświadczeń pisarskich i wzbogacaniem warsztatu reportera. Gdzieś u początków pojawia się wspomniana już kwestia tożsamości i różnicy, która wykracza znacznie poza sprawy czysto techniczne i ma wyraźnie filozoficzny podkład. Otóż reporter, który chce zrozumieć obcy kraj i odmiennych od siebie ludzi, może jechać za granicę z nastawieniem, że spotka tam jakąś szczególną wersję zjawisk i procesów, które się rozgrywają na całym świecie w sposób określony przez jakieś ogólne teoretyczne prawidła, ale może też tam jechać, po to, aby zrozumieć to, co inne, to, co zasadniczo różni jego własny świat od świata poznawanego. Pierwsza postawa charakteryzować będzie reportera wychowanego w standardach sowieckiej wersji marksizmu, zgodnie z którą wszędzie na świecie rozgrywają się zdarzenia łatwe do uchwycenia i opisanego przy pomocy marksistowskiej teorii. Reporter, jak się rzekło, jedzie niby to zobaczyć Inność, Różnicę, w rzeczywistości jednak ogląda wciąż To Samo. Najwyrazistszy przykład takiego pojmowania zadań reportera znajdziemy w *Obywatelach* Kazi-

mierza Brandysa, gdzie młody reporter, Paweł, wybiera się z Warszawy na Śląsk, aby opisać stosunki w jakimś zakładzie pracy, po czym jego reportaż zostaje odrzucony przez szefa, dlatego że autor nie dostrzegł w fabryce przewidzianej przez Stalina „zaostrożającej się walki klasowej”. Paweł wraca i za drugim podejściem dostrzega już to, co trzeba. Świat podług stalinisty nie-strudzenie powtarza te same, nieomylnie uprzednio przez teorię rozpoznane, procesy. Ich swoistość nie ma żadnego znaczenia: liczy się wyłącznie to, co w każdym z nich zachodzi identycznie: według ideologicznego wzorca.

Kapuściński rozpoczynał swoją karierę reportera w ramach tak właśnie rozumianego dziennikarstwa, które musiało zostać od wewnątrz rozsadzone, aby reporter miał prawo dostrzec w tym, co oglądane, Różnicę. Dekonstrukcję wzorca możemy obserwować na bardzo jeszcze niewielką skalę w reportażach z cyklu *Kirgiz schodzi z konia*. Te reportaże miały dokumentować coś, co we wszystkich – kaukaskich czy azjatyckich republikach ZSRR powinno było zachodzić tak samo: rozwój nowej gospodarki i tworzenie się nowego społeczeństwa radzieckiego. Ale autor, nader dyskretnie, zgłasza swoje *votum separatum*. Najlepiej ono widoczne w scenie z czajchany przed meczetem w Bucharze. Meczet – zgodnie z duchem przemian – zajęty został na świetlicę, z której donosi się stukot piłeczek pingpongowych, ale siedzący w czajchaniu i pijący swoją herbatę Uzbegy nadal zwracają się z uszanowaniem w kierunku sprofanowanej świątyni: sowieckie To Samo zakłócone zostało przez Różnicę.

Na pierwszy rzut oka dostrzeżemy tu problematykę bliską filozofom połowy XX wieku, szczególnie Deleuze'owi, który – za Kierkegaardem i Nietzschem, a przeciw Heglowi i jego spadkobiercom – deklaruje, że w samej istocie powtórzenia zawarta jest różnica pomiędzy nim a oryginałem, pozwalająca w powtórzeniu dostrzec zdarzenie konkretne i rzeczywiste, nie zaś abstrakcję repetycji zredukowanej do idealnego odtworzenia pojęciowego wzorca⁵. Pierwszym przykazaniem reportera jest więc tutaj – otworzenie się na różnicę, miast na monotonię identyczności. Co jest tu jednak owym powtórzeniem? Nie tyle samo istnienie świata, do którego jedzie reporter, ale raczej, jak sądzę – jego objawienie się w doświadczeniu osobistym reportera. Reportaż jest przede wszystkim zapisem tego doświadczenia – w całej jego, nieco po Nietzscheańsku rozumianej teatralności. Reporter powtarza to doświadczenie wielokrotnie, jest w nim coś w rodzaju nienasyceńcia wciąż nowymi spotkaniami

⁵ Por. Gilles Deleuze, *Różnica i powtórzenie*, przełożyli Bogdan Banasiak i Krzysztof Matuszewski, Wydawnictwo KR, Warszawa 1997

ze światem. W tych powtórzeniach spotyka ów świat po trosze rozpoznawalny w tym, co wspólne dla wielu jego odmian i wersji, po trosze jednakowoż niepodobny i w swoim zróżnicowaniu nieredukowalny.

Jak jednak zapisać różnicę, nie wikłając się jednocześnie w mimetyczne powtórzenie wzorca? Autor reportażu musi przecież porównywać to, z czym się styka, a co jest odbiorcy z założenia obce i nieznanne, z tym, co znajome i rozpoznawalne. Z drugiej strony musi używać języka pojęć, który z zasady upraszcza różnice i przechodzi do porządku nad indywidualnymi przypadkami. Mamy tu, jak widać, do czynienia z dwoma rodzajami różnicy: tej, która wynika z odmienności świata oglądanego od rzeczywistości, z której przychodzi reporter, oraz tej, która się wywodzi z niepodobieństwa tworzywa, w którym zachodzi przedstawienie, do materii doświadczenia, które ma być w nim odtworzone. Obydwa te aspekty odgrywają wielką rolę u Kapuścińskiego. Zacznijmy od drugiej kwestii. Otóż przedstawienie świata zawsze u autora *Cesarza* prowokuje pytania ontologiczne, bo przecie niepodobna wyobrazić sobie identycznego odbicia tego, co doznawane przez reportera, w materii reportażu. Dysponuje on tworzywem opowieści dokonywanej z dystansu, scenicznym przedstawieniem zdarzeń, opisem obrazu, przytoczeniem cudzego tekstu, wreszcie szczególną rolę w jego strategii odgrywają literackie wzorce i środki stylistyczne.

Najważniejsze jednak zdaje się być dostrzeżenie, że świat inaczej załamuje się w oczach i umysłach różnych ludzi, że – jednym słowem – nie ma jakiegось jednego, kanonicznego obrazu tego, co oglądamy, ale ich wielość i różnorodność. Różnica więc jest już obecna w najbardziej elementarnym doświadczeniu świata, obecna również tam, gdzie ten sam człowiek w różnym czasie spogląda na ten sam krajobraz albo nawet: dwa lub więcej razy próbuje przypomnieć sobie tę samą historię. Powiada Kapuściński:

W świecie Herodota niemal jedynym depozytariuszem pamięci jest człowiek. Żeby więc dotrzeć do tego, co zapamiętane, trzeba dojść do człowieka, a jeżeli mieszka on daleko od nas, musimy do niego pójść, wyruszyć w drogę, a kiedy już się spotkamy – usiąść razem i wysłuchać, co nam powie, wysłuchać, zapamiętać, może zapisać. Tak zaczyna się reportaż, z takiej rodzi się sytuacji.

Więc Herodot wędruje po świecie, spotyka ludzi i słucha tego, co opowiadają. Mówią mu, kim są, opowiadają swoją historię. Ale skąd wiedzą, kim są, skąd się wzięli? A, odpowiadają, słyszeli to od innych, przede wszystkim od swoich przodków. Ci przekazali im swoją wiedzę, tak jak teraz oni czynią to wobec innych. Ta wiedza ma formę różnych opowieści. Ludzie siedzą przy ognisku i opowiadają. Potem będzie to nazwane legendami i mitami, ale w chwili kiedy tamci to mówią lub słyszą, wierzą, że jest to najświętsza prawda, najbardziej rzeczywista rzeczywistość.

Słuchają, ognisko płonie, ktoś dokłada drewnien, światło i ciepło ognia ożywia myśli, pobudza wyobraźnię. (...) Światło ognia przyciąga, spaja grupę, wyzwala w niej dobre energie. Płomień

a wspólnota. Płomień a historia. Płomień a pamięć. Starszy od Herodota Heraklit uważał ogień za prapoczątek wszelkiej materii, za najpierwotniejszą substancję: wszystko, mówił, podobnie jak ogień jest w wiecznym ruchu, wszystko gaśnie, żeby znowu zapłonąć. Wszystko płynie, ale płynąc, podlega przemianie. Tak samo jest z pamięcią. Jedne jej obrazy gasną, na ich miejsce pojawiają się nowe. Tylko że te nowe nie są identyczne z poprzednimi, są inne – tak jak nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki, tak nie sposób, aby nowy obraz był dokładnie taki jak poprzedni⁶.

To zapewne jeden z najważniejszych cytatów z *Podróży z Herodotem*. Mówi się w nim bowiem o najważniejszych dla reportera sprawach i dostarcza wskazówek prowadzących do konkretnych poglądów filozoficznych. Pierwszy z nich wiąże się rolą rozmowy i bezpośredniego, pełnego empatii kontaktu osób. O Kapuścińskim-reporterze mówi się bodaj najłatwiej w kategoriach filozofii dialogu, i taką też zasadę przyjęła autorka szkicu na temat filozoficznych źródeł fenomenu podróżowania Kapuścińskiego, wygłoszonego na konferencji naukowej *Dziedzictwo Odyseusza*, zorganizowanej na Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie⁷. Już wtedy, słuchając tego referatu, doszedłem jednak do wniosku, że filozoficzne problemy, z jakimi boryka się Kapuściński, można umieścić także w nieco innej sferze.

Autor *Cesarza* jest w samej rzeczy zafascynowany światem jako sceną wiecznego powrotu – zjawisk, losów ludzi i narodów – ale w nie mniejszym stopniu fascynuje go ciągła przemiana, ewolucja obrazów rzeczywistości, pojawienie się na scenie dziejów indywidualnej osoby, dla której potrzeb lub cierpienie ideolodzy lub władcy nie mają zrozumienia. Domeną tedy jego doświadczenia jest powtórzenie, ale w dwu odmiennych rodzajach: najpierw powtórzenie jako powrót do tego, co podobne: tych samych lub analogicznych miejsc i krajobrazów, które wszelako poznającemu człowiekowi jawią się wciąż inne, następnie powtórzenie jako nałożenie na siebie w palimpsestowym trybie wielu relacji na podobny temat. Arcydziełem takiej konstrukcji był *Cesarz*, gdzie autor oddawał głos wielu dworakom opisującym cesarski pałac i panujące w nim zwyczaje. Każdy z mówiących oglądał siedzibę władcy z nieco innej perspektywy i dopiero ta wiązka relacji tworzyła obraz, którego autor ze swej strony właściwie nie komentował, nawet wtedy, gdy wypowiedzi zawierały oczywiste sprzeczności. Nic dziwnego: Kapuścińskiego fascynują sytuacje, w których świat załamuje się rozmaicie w różnych

⁶ Tamże

⁷ Maria Horodecka, *Ryszard Kapuściński – instynkt i filozofia podróżowania*, referat wygłoszony na sesji *Dziedzictwo Odyseusza. Podróż, obcość i tożsamość, identyfikacja, przestrzeń*, Uniwersytet Jagielloński, Wydział Polonistyki, Katedra Komparatystyki Literackiej, Kraków, 23-26 listopada 2005

świadomościach, taka jest bowiem norma. Obrazów świata „obiektywnych” po prostu nie ma, są swego rodzaju modelem idealnym, który nie istnieje w rzeczywistości. Dlatego tak ważna dla reportera jest (jak dawniej dla Herodota) rozmowa ze świadkami i uczestnikami wydarzeń. To oni dostarczają mu relacji, które coś naprawdę znaczą, są bowiem produktem zderzenia świata materialnych zajęć ze świadomością ludzką, która je scala i interpretuje.

Podobnie scalająco-interpretujący charakter ma spojrzenie samego autora. Ale ten widzi świat w nieco innej perspektywie: ogląda go na różnych etapach własnej historii: w dzieciństwie, w młodości, w trakcie wielu kolejnych podróży w to samo miejsce. Pisząc kiedyś o *Imperium*⁸, zauważyłem, że ta książka jest nie tylko opisem sowieckiego państwa, ale również – autobiografią, bo autor w rzeczywistość sowiecką wchodził kilkakrotnie w swym życiu, i to w momentach dla siebie ważnych: we wczesnym dzieciństwie, w czasach, gdy rozpoczynał swą międzynarodową karierę reportera, wreszcie wtedy, gdy – jako pisarz i człowiek w pełni dojrzały – podsumowywał historię upadku wielkich satrapii i raz jeszcze wybrał się w podróż po bezmiarach Rosji i państw od niej zależnych. *Imperium* jawi się w tych wglądach za każdym razem inaczej. Po pierwsze dlatego, że widzi go za każdym razem ktoś inny, osoba o jaskrawo odmiennej wiedzy i doświadczeniach, po drugie dlatego, że w międzyczasie zmienia się sama sowiecka czy postsowiecka rzeczywistość, po trzecie wreszcie dlatego, że kolejne wglądy zawierają w sobie niejako pamięć o wglądach poprzednich, każdy więc jest bogatszy o to, co zawierały tamte.

Podobnie skonstruowany był *Heban*, a także *Podróże z Herodotem*. Powtórzenie, jak z tego wynika, staje się jedną z najważniejszych figur w tekstach Kapuścińskiego. Wynika to nie tylko z kilkakrotnych wyjazdów w to samo miejsce lub do tego samego kraju, ale też – z różnego trybu „zwiedzania”. W *Podróżach z Herodotem* autor podkreśla, że obce kraje odwiedza na różne sposoby, także przez oglądanie map i czytanie książek:

W wolnych chwilach siedzę wśród słowników (nareszcie wydano angielski!) i różnych książek o Indiach (właśnie ukazało się imponujące dzieło Jawaharlala Nehru – *Odkrycie Indii*, wielka *Autobiografia* Mahatmy Ghandiego i piękna *Pańczatantra*, czyli *mądrości Indii ksiąg pięcioro*).

Z każdym kolejnym tytułem odbywałem jak gdyby nową podróż do Indii, przypominając sobie miejsca, w których byłem, i odkrywając coraz to nowe głębie i strony, coraz to inny sens

⁸ Jerzy Jarzębski, *Wędrownika po „Imperium”*, „Tygodnik Powszechny” 1993, nr 20

rzeczy, które zdawało mi się wcześniej, że już znam. Tym razem były to podróże znacznie bardziej wielowymiarowe niż ta pierwotnie odbyta. A jednocześnie odkryłem, że wyprawy takie można przedłużać, powtarzać, zwielokrotnić przez lektury książek, studiowanie map, oglądanie obrazów i fotografii⁹.

Podkreślmy raz jeszcze: powtórzenia u Kapuścińskiego są za każdym razem odkrywaniem Różnicy, ich ideą jest wzbogacenie obrazu, a nie jego redukcja. Ale jest tu jeszcze inny aspekt, na który nie zwraca się zazwyczaj uwagi, a na który naprowadził mnie Kierkegaard. Autor filozoficznych rozważań o powtórzeniu dopiero w komentarzach do swego dzieła umieszczonych w *Dzienniku*, a napisanych w formie polemiki z artykułem filozofa-heglisty Johana Ludviga Heiberga, zaznaczył, iż nie wszystkie opisane przezeń w pracy powtórzenia są tymi, do których przywiązuje rzeczywistą wagę. Za właściwe w filozoficznym i psychologicznym sensie tego słowa ma on powtórzenia jako spotęgowane w swej treści w porównaniu z pierwszym, zewnętrznym doświadczeniem przeżycia wewnętrzne¹⁰. Jeśli przyjrzymy się powtórzeniom w reportażach Kapuścińskiego, ujrzymy, jak one z wolna dojrzewają i zmieniają swój status. Początkowo chodzi o maksymalną ilość zmysłowych doświadczeń, nakładających się na siebie, wchodzących w korespondencję, podatnych na procedury porównania. Te doświadczenia jednakowoż, im dalej, tym bardziej stają się przeżyciami wewnętrznymi, uruchamianymi przez cudze teksty, opisy miejsc, osób i wydarzeń znanych reporterowi z autopsji.

Można powiedzieć, że autor *Cesarza* nigdy nie zaprzestaje swego proceduru podróżowania i doznawania rzeczywistości, ona w nim nieustannie pulsuje i dojrzewa, a jej doświadczenie odnawia się, choćby autor nie wychodził z domu, odnawia się wciąż inaczej, w innym kontekście. Można rzec, iż Kapuściński nie przestaje ani na moment słuchać, szeregować cudzych wypowiedzi (świadczeń bezpośrednich, komentarzy) na dany temat. Jest w tym pewien paradoks: autor *Cesarza* jest bowiem jednym z najchętniej słuchanych pisarzy, proszonych o wypowiedzi na temat współczesnego świata, prognozy na przyszłość lub przestrogi. A jednak Kapuściński jest też reporterem milczącym, pozwalającym mówić światu – jak ów reporter idealny, o którym przy okazji Kierkegarda pisał Bronisław Świdorski:

⁹ Ryszard Kapuściński, *Podróże z Herodotem*, dz. cyt.

¹⁰ Por. Søren Kierkegaard, *List otwarty Constantina Constantiusa do Pana Profesora Heiberga, kawalera orderu Dannebrog*, w: *Powtórzenie. Przedmowy*, przełożył i opracował Bronisław Świdorski, Wydawnictwo W.A.B., Warszawa 2000. O problemie powtórzenia u Kierkegarda por. także: Arne Melberg, *Teorie mimesis: Repetycja*, przekład Jan Balbierz, Universitas, Kraków 2002

Kierkegaard bierze „prawnie i literacko odpowiedzialność za swe prace”, choć „ani słowo nie jest jego”. Czy zatem on – milczy? Jak się wydaje, tylko jeden gatunek potrafi pogodzić oba stwierdzenia, rodzaj wypowiedzi, której nadajemy miano reportażu. Pozwala ona reporterowi, a mówimy, rzecz jasna, o reporterze idealnym, sumiennie cytować wypowiedzi innych, choć to on odpowiada (wobec redaktora, cenzora, prawa...) za wydrukowany tekst. Dla nas jest teraz istotne, że gdy inni mówią, reporter *m i l c z y*. Szczególnie gdy mowa o centralnych dla *Dopisku* tematach, jak Bóg czy przeznaczenie. Kierkegaardowi bliska chyba była myśl, że pewien rodzaj doświadczenia konstytuuje granice naszego medium – języka, i że przekroczenie tej granicy język powinien odpowiednio zaznaczyć. Choćby milczeniem. Albo cytatem – „słowem” milczenia (skoro autor nic nie mówi „od siebie”)¹¹.

Dość niezwykle to sąsiedztwo – tych dwu reporterów: antycznego Herodota, który oddaje głos swoim rozmówcom przy ognisku – i „reportera idealnego”, o którym pisze Świderski. Między ich świadectwami jednak, jak sądzę, można usytuować ideę reportażu Kapuścińskiego. Używa on oczywiście języka pojęć, porównuje podobne sobie zdarzenia historyczne i ich bohaterów, wydobywa podobieństwa indywidualnych losów, pragnie rozumieć, czyli porównywać, ale ten proceder ujmowania zjawisk w kategorii napotyka zawsze na swe granice tam, gdzie pojawia się jednostka ludzka domagająca się sprawiedliwości, uznania czy tylko uwagi dla własnej, nieredukowalnej prawdy, wobec której milknie skłonny zawsze do ujęć sumarycznych język. Bliski Kierkegaardowi biblijny Hiob, cierpiący młodzieniec z *Powtórzenia*, prosty człowiek z reportażu Kapuścińskiego, próbujący na własną rękę, koślawo, opisać i zrozumieć to, co się z nim i wokół niego dzieje, w końcu również ten bezimienny człowiek „zbędny”, niepotrzebny nikomu, siedzący w kucki na skraju drogi – oni po prostu tkwią naprzeciw siebie w tej sferze międzyludzkiego napięcia, w której ustaje wszechwiedzący, sterowany ogólnymi ideami i pojęciami, mędrkowaty komentarz. Reporter zdobywa dojrzałość, kiedy w toku swych opisów świata znajdzie miejsce dla obszarów takiego milczenia.

Jerzy Jarzębski

¹¹ Bronisław Świderski, *Dar*, w: Søren Kierkegaard, *Powtórzenie. Przedmowy*, op. cit.

Janusz Kryszak

W pogoni za znikającym punktem

O świecie poetyckim Ryszarda Kapuścińskiego

Gdyby zawierzyć bez reszty wyznaniom pisarza – a wiadomo, że w czytelniku zawsze powinna czuć pewna doza sceptycyzmu i nieufności – to należałoby przyjąć, że dla Ryszarda Kapuścińskiego poezja jest li tylko laboratorium, przygotowującym i pobudzającym operatywność językową ważniejszych dlań opowieści prozą. Czymś na kształt pomocniczego warsztatu, w którym pisarz znajduje właściwe narzędzia, dzięki którym może sprawniej rozwijać tok swoich opowieści. „Potrzebuję poezji jako ćwiczenia językowego – czytamy w *Lapidariach* – nie mogę z poezji zrezygnować. Wymaga ona głębokiego skupienia nad językiem, i to wychodzi na dobre prozie. Proza musi mieć muzykę, a poezja to rytm. Gdy zaczynam pisać, muszę znaleźć rytm. On poniesie mnie jak rzeka.”

Poezja pełni tu, jak sugeruje autor, rolę służebną, zgoda że wysokiej próby, jako że jest nosicielką skumulowanej energii języka, wielkim magazynem, z którego można czerpać siłę twórczą, ale zawsze to funkcja pomocnicza. I jakkolwiek by nie oceniać wysoko także takiej funkcji poezji, to

przecież pozostaje ona w jakimś stopniu upodrządniona względem tekstu docelowego, jakim ma być wielotomowa opowieść o ludziach, kontynentach i cywilizacjach, ta opowieść bowiem stanowi rdzeń pisarstwa Kapuścińskiego.

Używam tu na określenie typu pisarstwa autora *Cesarza* terminu „opowieść”, bo on zdaje się być najbliższy temu gatunkowi, który uprawia Kapuściński. Jest w tym terminie też nawiązanie do jednego z mistrzów-nauczycieli pisarza – do Ksawerego Pruszyńskiego, jakkolwiek sam pisarz, świadom genologicznej otwartości i niejednoznaczności swego pisarstwa, rozważając możliwą trafność terminów „reportaż”, „non-fiction writing”, „travel literature” czy „New Journalism”, na stawiane sobie pytanie „Co ja zatem piszę?” odpowiada nader ostrożnie „Piszę teksty”. Formuła „tekstu” kryje bowiem w sobie wszystkie możliwości, w niczym nie ogranicza decyzji autorskich, nie podporządkowuje ich wymogom jednego gatunku czy rodzaju.

Wróćmy jednak do punktu wyjścia czyli pytania o funkcję poezji w pisarstwie Ryszarda Kapuścińskiego. Czy istotnie można funkcję tę, jak sugeruje to autor, zredukować li tylko do przygotowawczego laboratorium ekspresji językowej, ćwiczeń w szkole mowy?

Nawet gdybyśmy nie wiedzieli, że Kapuściński pisze i drukuje wiersze (i to już od kilkudziesięciu lat, bo pierwsze publikacje datują się z wczesnych lat 50.), to i tak musielibyśmy uznać w nim poetę. Już po lekturze pierwszych tylko zdań każdej z jego książek, ich rytm, sposób obrazowania, łączenia słów wskazuje na utajoną *d y s p o z y c j ę p o e t y c k ą* ich autora. Zawiera się ona między innymi w eksponowaniu podmiotowości narracji, gdzie przywoływane obrazy świata wyraźnie są zawsze filtrowane przez autorskie „ja” („Pytano mnie – mówił w jednym z wywiadów – dlaczego *Imperium!* nie ma bohatera. Jak to – odpowiadam – *j a* jestem bohaterem *Imperium!* Tak jak jestem bohaterem wszystkich swoich tekstów, które zaświadczam sobą.”), kryje się w naturalnej potrzebie syntetyzowania urywkowych widzeń w jeden sugestywny kompleks intelektualno-obrazowy, którego semantyczna nośność zdecydowanie wykracza poza zwykły komunikat, wreszcie obecna jest w takiej ekspresji językowej, która wskazuje sama na siebie, a nie tylko na zawarty w niej przekaz treściowy. Można by też powiedzieć, że dyspozycja owa ujawnia się również w zauważalnej dążności autora do takiego budowania kolejnych epizodów opowieści, gdzie ich wewnętrzny rytm, dramaturgia obrazów zmierza zawsze do syntezy, emblematycznego odbicia w tym, co widzialne i wiadome tego, co ukryte i nie-

wiadome, a w czym – być może – zawiera się sens pojemniejszy, niż wynikałoby to z gromadzonych sekwencji zdarzeń.

Oto początek *Hebanu*: „Przede wszystkim rzuca się w oczy światło. Wszędzie – światło. Wszędzie – słońce. Jeszcze wczoraj, ociekający deszczem, jesienny Londyn. Ociekający deszczem samolot. Zimny wiatr i ciemność. A tu, od rana całe lotnisko w słońcu, my wszyscy – w słońcu”. Krótkie zdania złożone tylko z skontrastowanych z sobą powtórzeń (światło – ciemność, słońce – deszcz), ich ekstatyczny, dobitnie wybijany rytm („Wszędzie – światło. Wszędzie – słońce.”), instrumentacja wykorzystująca jasne, otwarte samogłoski, ma zawrzeć w sobie elementarny wystrój tropików. Nie opis zatem, nie dyskurs, dłuższy czy krótszy wywód na temat specyfiki tamtych rejonów świata wprowadza czytelnika w klimat opowieści, ale tak ukształtowana fraza obrazowo-muzyczna, że ona sama w sobie jest wystarczającym przekazem, obywającym się bez dodatkowych erudycyjnych informacji.

A oto początek *Imperium*: „Moje pierwsze spotkanie z Imperium odbywa się przy moście łączącym miasteczko Pińsk z Południem świata. Jest koniec września 1939. Wszędzie wojna. (...) Wojna zastała nas koło Rejowca, na wakacjach u wujka, więc teraz musimy wrócić do domu. *Tutti a casa!*”. Skąd nagle ów włoski wykrzyknik, dlaczego, co on ma oznaczać w porządku opowieści o grozie wojennego świata? To przecież słowa z innego, słonecznego świata, z „Południa świata”, z którym „miasteczko Pińsk” łączy most. Wyrwywiają się one z ust narratora jakby mimochodem, jakby wbrew jego woli, tak brzmią szokująco w zestawieniu z wcześniejszymi obrazami płonących wiossek, ludzi kryjących się przed nalotami, obrazem zabitych koni, że nabierają one zabarwienia magicznego. Są niczym tajemnicze zaklęcie mające zneutralizować i odwrócić idącą grozę, przywrócić utracony ład świata. Wszyscy do domu, to jakby wołanie z głębi nieszczęścia o powrót normalności zwykłego życia. Ale by wołanie to miało moc sprawczą, musi być wypowiedziane w języku innym, niż język strachu i bólu, w języku pochodzącym z innego, słonecznego świata. Czyż nie zawiera się w tym, spontanicznie dający znać o sobie, g e s t poetycki Ryszarda Kapuścińskiego?

Ta wrażliwość na magiczne brzmienie słów i ukrytą w nich potencję twórczą ujawni się także w otwarciu drugiej sekwencji *Imperium*: „Miejsce drugiego spotkania z Imperium: daleko, w zaspach i śniegach Azji, w trudno dostępnej krainie, której cała geografia nosi obce i przedziwne imiona, rzeki nazywają się – Argun, Unda, Czajchar, góry – Czingan, Ilczuri, Dżag-

dy, a miasta – Kilkok, Tungir i Bukaczacza. Z samych tych nazw można by układać dźwięczne, egzotyczne poematy”.

Istotnie, zawarta w sekwencji tej osobliwa i nowa dla ucha dźwięczność nazw, za którymi kryje się równie nowa fizyczna przestrzeń innego świata, barwa emocjonalna i sensualność egzotycznych słów zdają się być sugestią jakiegoś możliwego projektu poetyckiego, za którym chciałaby podążyć pobudzona wyobraźnia pisarza. Ale też już następne zdania tej rozwijającej się w rytm podróży kolejną transsyberyjską opowieści o realnym wyglądzie świata i jego regułach, projekt taki bez reszty unicestwią. Refleksje pisarza o wyznaczonych od zarania przez człowieka i naturę granicach, stresie i lęku towarzyszącym ich przekraczaniu, kolczastych zasiekach, jakimi człowiek otacza świat, zwierzęcej niemal czujności, by pod okiem strażników granic nie ściągnąć na siebie jakiegoś nieszczęścia – wszystko to jest zaprzeczeniem „dźwięcznych, egzotycznych poematów”. Jediną frazą poetycką mogłoby tu być dochodzące zewsząd powiedzenie: „ot, takie jest życie”. W nim wyraża się całe wtajemniczenie mieszkańców tej ziemi w naturę ich świata i własny los.

Tak konfrontując możliwość projektu poetyckiego sugerowaną samą materią języka (dźwięczność, barwność, nowość) z doświadczeniem tego, co widzialne poza językiem, dotyka Kapuściński trwałej esencji pisarskiego trudu, którą jest nieuchronnie dająca o sobie znać podejrzliwość wobec natury języka. Nieufność w jego prawdomówność. Tę wiedzę zapisze Kapuściński bezpośrednio w jednym z wierszy opublikowanych na łamach „Nowej Okolicy Poetów” (nr 16):

słowo
to pozór?
próba uchwycenia
nieuchwyconego?

podejrzliwość wobec słów
że stawiają fałszywe drogowskazy
prowadzą w ślepe zaułki
wodzą na pokuszenie

*** (Może to największe...)

I wiedza ta będzie szkołą powściągliwości, która nakazuje przedkładać konkret, fakt, zwięzły zapis realnej sytuacji nad pokusy nadto swobodnej wyobraźni. Jak i będzie ćwiczeniem w cierpliwości, że możliwe jest słowo trafne i czyste, któremu można zaufać, słowo

które jest w pełni sił
jest spokojne
nie histeryzuje
nie ma gorączki
nie przeżywa depresji

*** (Znaleźć słowo trafne...)

Na szkicowaną tu dyspozycję poetycką autora *Hebanu* składa się jeszcze jeden element niejako naturalnie organizujący poetycką wrażliwość. Jest nim specjalne wycucie czasu stymulowane pamięcią i wiedzą, a które każe oglądać świat nie rozparcelowany na różne obce sobie obszary czasowe, ale widzieć go i doznawać jako ciągle unaoczniającą się jedność współistnienia, jednoczesność nakładających się na siebie sekwencji. Dobrze ilustruje to początek, pierwsze zdanie (znowu pierwsze zdanie!) *Podróży z Herodotem*: „Nim Herodot wyruszy w dalszą podróż, wspinając się po skalistych ścieżkach, płynąc statkiem po morzu, jadąc koniem po bezdrożach Azji, nim trafi do nieufnych Scytów, odkryje cuda Babilonu i zbada tajemnice Nilu, nim pozna sto innych miejsc i ujrzy tysiąc niepojętych rzeczy, pojawi się na chwilę w wykładzie o starożytnej Grecji, który profesor Biezuńska-Malowist wygłasza dwa razy w tygodniu dla studentów pierwszego roku historii Uniwersytetu Warszawskiego”.

To wielokrotnie złożone zdanie, łącząc w jednym porządku składni różne przestrzenie i czasy, daje sugestywną zapowiedź sensów rozwijającej się potem opowieści. Jest nie tylko skrótem, obrazowym emblematem późniejszej całości, w której mieszać się będą czasy, kultury, cywilizacje i geograficzne przestrzenie sumą swą składające się na 2500 lat historii świata, ale i wyraźnym wskazaniem, jak autor rozumie czas, jego naturę, której rdzeniem jest wieczne „teraz” i wieczne „jest”.

Obraz świata, którego dostępny nam rysunek jest własnością tak żywych, jak i umarłych, w którego ramach trwają we wzajemnym, nie dającym się rozplątać związaniu, rzeczy i ich cienie, fakty i mity, jawa i sen, ludzie i ich opowieści, w gruncie rzeczy unicestwia czas. Sprawia, że czas jako nieuchronna miara następujących po sobie sekwencji znika, otwiera swe granice. Odtąd wszystko, co było i co jest dzieje się teraz, na naszych oczach. Jeśli tylko pamięć zdołała przechować znikający świat. A taka właśnie pamięć jest podstawowym staraniem Kapuścińskiego podróżnika w przestrzeni i czasie, reportera, eseisty, artysty-fotografika i poety. Niejednokrotnie też ubolewa w swych książkach, że człowiek współczesny niedostatecznie dba o własną pamięć, że nadto jest dufny w otaczającą go, jak powiada pisarz, „pamięć

zmagazynowaną” w bibliotekach i komputerach, jakby nieświadom tego, że tak jak świat również i pamięć, to „znikający punkt”. Poetycką ilustrację tego zawrze Kapuściński w wierszu (***) *Jak to się wszystko zapomina...*, gdzie kolokwialny tok daremnego namysłu odsłania na co dzień doświadczaną kruchość i nietrwałość pamięci: „przecież/było coś takiego/co się zaczęło/co trwało/byliśmy w tym zanurzeni/co było nami//coś co//zaraz//daj mi pomyśleć//coś co//jak to się wszystko zapomina”.

Być może dlatego, jakby w odruchu samoobrony przed ekspansją niepamięci, jest Kapuściński tak wyczulony na szczegół, drobny konkret, przedmiotowy obraz codzienności – ta bowiem najłatwiej znika. Jednakże nie gromadzi ich jako kolekcjoner wrażeń czy tropiciel ciekawostek, ale uważnie je obserwuje, niejako o d k r y w a dla siebie niczym badacz dociekający prawdy o ludzkich losach. Jak czytamy w *Lapidariach*: „Nie chodziło mi nigdy o zwykle gromadzenie faktów, nazwisk, anegdota itp. lecz o poznawanie i przeżywanie innych losów i światów...”. Właśnie „poznawanie i przeżywanie” – to wyznacznikowe dla rozumienia pisarskiego świata Kapuścińskiego. A należałoby tu dodać jeszcze jedno określające tę postawę słowo. Słowo przypomniane przez Czesława Miłosza w toku refleksji nad tzw. poezją kontemplacyjną, która – jak pisze w *Innym abecadle* – „pojawia się jako przeciwwaga procesów rozpadowych w poezji i sztuce, to znaczy działa przeciw utracie poczucia sensu”. Słowem tym jest u w a ż n o ś ć. Jego znaczenie tak tłumaczy Miłosz: oznacza ono „postawę uważnej życzliwości wobec przyrody i ludzi, tak że spostrzegamy w każdym szczególe to, co dzieje się wokół nas, zamiast mijać to z roztargnieniem”. Dalej tłumaczy, że poezja pisana z tej perspektywy nastawiona jest nie tylko na cel estetyczny, ale ma wymiar „mądrościowy”, tzn. próbuje odpowiedzieć na podstawowe pytanie czym jest człowiek, jak ma żyć i nie gubić poczucia sensu.

Poznawanie i przeżywanie podporządkowane tak rozumianej „uważności”, wydaje się być rdzeniem mentalnym i emocjonalnym całego pisarstwa Kapuścińskiego. One też wyznaczają granice poetyckości zarówno tej rozpylonej w prozie, jak i skondensowanej w wierszach. O granicach tych decyduje zamiar „mądrościowy” (wiele w wierszach Kapuścińskiego wniosków intelektualnych wypełniających taki zamiar) rozpięty na rygorach etycznych i takich ujęciach losu ludzkiego, w których decydujące znaczenie ma zasada empatii. Na wielu stronach dzieła Kapuścińskiego można czytać o prowadzącej go w podróżach palącej – jak mówi – chęci „poznania, całkowitego pogrążenia się, rozplynięcia, utożsamienia” ze światem, który odkrywa. Dla-

tego unika wszystkiego, co mogłoby stanowić przeszkodę w takim porozumieniu; za cały bagaż wystarcza mu, jak wiemy, notes, aparat fotograficzny i minimum ubrań, resztę powierza pamięci i wyobraźni.

Jest to więc filozofia spotkania wymagająca zarówno szczególnej koncentracji, bo tylko ona jest warunkiem wspomnianej wcześniej „uważności”, jak i zmuszająca do pełnej otwartości wobec Innego. A właśnie spotkanie z Innym, jak wiadomo, jest głównym ściegiem pisarstwa autora *Hebanu*, wokół niego skupiają się wszystkie wątki refleksji, badań, przeżyć, jako że to spotkanie uznaje on za najważniejsze wyzwanie XXI wieku (mówił o tym dobitnie m.in. w wykładzie wygłoszonym z okazji przyznania mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Jagiellońskiego w 2004 roku).

Leżąca u podstaw warsztatu pisarskiego idea koncentracji i otwartości skutkuje tym, co można by nazwać niezaspokojonym, bo nie dającym się zaspokoić, pragnieniem gnomicznego ujęcia c a ł o ś c i świata i ludzkiego doświadczenia. Zawrzeć ich nie poddającą się redukcji do jednego wymiaru różnorodność (różnorodność języków, kultur, obyczajów, klimatów itd.) w takiej formule, która mogłaby ujawnić w jednym błysku zrozumienia ciągle zakryty przed nami sens rzeczywistości. Jest to pragnienie maksymalisty, ale maksymalisty świadomego też daremności takiego zamiaru. Kto jednak powiedział, że świadomość taka powinna prowadzić do rezygnacji z zamiaru? Kapuściński próbuje. Próbuje nawet wtedy, gdy wypełnia go płynąca z doświadczenia wiedza, że świat to tylko „znikający punkt”:

Dlaczego
świat
przeleciał obok mnie
tak szybko

nie dał się zatrzymać
zbliżyć
przejsć na ty

pognał

znikający punkt
w ogniu i dymie
*** (Dlaczego...)

Ale postawione na początku pytanie „dlaczego” nie świat tylko obciąża winą, winą obciąża też człowieka. Stąd potrzebna jest koncentracja, otwartość. Potrzebna jest uważność. I wiersze Kapuścińskiego są pilnym przyglą-

daniem się temu, co wokół nas, by z rzeczy wiadomych i widzialnych wnioskować o tym, co kryje w sobie bezpośredni i zarazem metaforyczny sens istnienia. Pojedynczy fakt, konkret sytuacyjny czy przedmiotowy czerpany z najbliższego otoczenia, uruchamia pracę wyobraźni, pozwala wnioskować o naturze rzeczy, projektować możliwy sens płynącego od nich do nas przekazu. Uważność, jaką poeta obdarza ów świat rzeczy i faktów, przynosi w darze nowy ich obraz, już wyprowadzony z rutyny codzienności. A wtedy grzbiet rzeki jawi się jako znużone zwierzę wolno pełzące w stronę niewidocznego wodopoju (***Kobaltowy grzbiet rzeki...*), pod czekającymi wiosny drzewami mignie cień Adama i Ewy (***Marzec drzewa czekają...*), spotkany na ulicy poeta wyciągnie z kieszeni swój ostatni wiersz, który okazuje się być gołębiem (*Poeta Arnold Słucki na Nowym Świecie*) itd. itd. Innymi słowy, poetycka uważność odsłania w nagłym błysku widzeń ukrytą w świecie zdolność do ciągłej metamorfozy, wewnętrzny ruch rozpychający wszelkie formy, życie nigdy nie zastygające w jeden kształt. Jak w wierszu *Śnieg* (z tomu *Notes*) nic nie jest tym tylko, co nam się objawia w pierwszym widzeniu:

idąc słyszysz śpiew butów
nagły promień słońca
który umknął chmurom
przemienia się w ptaka

Urywkowe widzenia nakładają się na siebie, wprawiają świat w ruch wiecznych przemian, nieustannych przekształceń, dowodząc w ten sposób, że nic nie jest skończone, raz na zawsze zamknięte w jednej formie. Nie trzeba dodawać, że ten rodzaj wiedzy poetyckiej ma swoje wyraźne odniesienia do tradycji literackiej międzywojennych awangard (Kapuściński nie kryje swej fascynacji np. Tadeuszem Peiperem), ale jest też – a może przede wszystkim – wnioskiem intelektualnym wywiedzionym z doświadczenia wieloletnich podróży po wszystkich kontynentach świata. Postrzeganie świata jako nie krzepnącego nigdy ruchu przemian, to elementarna wiedza wyniesiona z doświadczenia potwierdzanego też od zarania świadectwami innych. Nie przypadkowo za najbardziej osobistą książkę Ryszarda Kapuścińskiego uznać należy *Podróże z Herodotem*, i to bynajmniej nie z racji zawartych w niej szczegółów biograficznych, ale z uwagi na odsłanianie stopniowo na kolejnych stronicach tajniki warsztatu reportera. Szuka tu Kapuściński fundamentów zawodu (jest dlań Herodot pierwszym w dziejach reporterem), które mimo upływu lat, cywilizacyjnych przekształceń świata, pozostają trwale niczym

kodeks profesjonalisty. Dlatego tak często sądy, przypuszczenia, domniemania wywiedzione z dociekań Herodota i jego pisarskich strategii są jednocześnie i autocharakterystyką jego wytrwałego przez lata czytelnika. Między innymi więc tak dla starożytnego dziejopisa, jak i dla współczesnego nam pisarza odkrywana ciągle od nowa (od 2500 lat) m o z a i k o w o ś ć świata jest „żywą, pulsującą tkanką, w której nic nie jest dane i określone raz na zawsze, lecz nieustannie przekształca się, zmienia, tworzy nowe relacje i konteksty”. Wystarczy tylko, mówiąc słowami Kapuścińskiego-poety, „bodaj na milimetr unieść się nad tym wszystkim”, by dostrzec, jak dalece jesteśmy zanurzeni w niezmiernym oceanie rzeczy, różnorodności kultur, w tym całym bogactwie tętniącego życiem świata. Pisarz często, gdy chce wskazać na owo nieobjęte bogactwo, odwołuje się właśnie do metafory oceanu. O Afryce powie: „Ten kontynent jest zbyt duży, aby go opisać. To istny ocean...” (*Heban*), o przestrzeniach syberyjskich powie podobnie, że to „oceaniczna bezgraniczność” (*Imperium*). Innymi słowy świat nas przerasta, mimo tak udoskonalonych technik komunikacji nie daje się ogarnąć w całości, wykracza poza dostępną nam miarę, stąd też mamy prawo czuć się jak rozbitkowie zatopieni w morzu możliwości. Jedyne, co dostępne, to jakiś szczegół, wyrwany z owego „oceanicznego” kontekstu fragment, ułamkowy konkret, nic ponadto. (Zauważmy, że najbliższą od kilkunastu lat formą książki jest dla Kapuścińskiego zbiór fragmentów czyli *l a p i d a r i u m*.) Stąd też swoiste poczucie klęski, przegranej w zmaganiach z ogromem nie dającej się uchwycić całości. Pociąga ono za sobą i poczucie oczywistej niemocy przekazania sobie nawzajem jakiejś wiedzy wychylającej się poza dany nam wąski horyzont obserwacji. O tym chyba, o takim statusie poety informuje przytoczony przez Kapuścińskiego w jednym z wierszy tomu *Notes* wers czeskiego poety Konstantego Biebla: „morze zniekształca odpowiedź zatopionych” (*Poeci*).

Człowiek przeżywający swą kruchość i bezradność, tym bardziej szuka oparcia w pamięci własnej i cudzej. Wsłuchuje się w głosy innych, zbiera je niczym ocalone cudem okruchy niegdysiejszej całości, dla siebie rezerwując jedynie skromną rolę pośrednika, który spełnia swój los:

krążąc między tymi co odeszli
a strażnikami ich pamięci
przenosząc listy grypsy depesze
znaki porozumiewawcze
hasła
spojrzenia

*** (*To błędzenie...*)

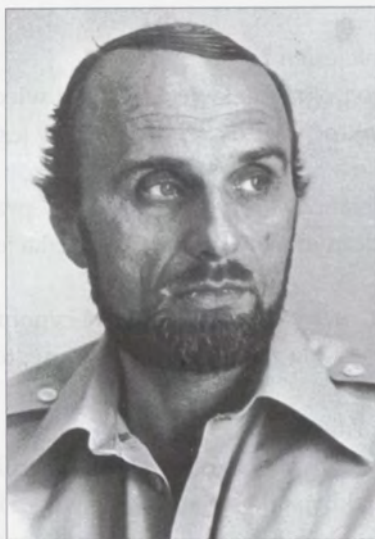
Nawet jeśli pamięć jest czymś ułomnym i złudnym, jeśli – podobnie jak świat cały – jest „znikającym punktem”, to mimo wszystko pozostaje ona i tak spoiwem międzyludzkiej wspólnoty. Chroni istnienie, bo wyprowadza na światło dzienne wszystko, co pogrążone w cieniu. Umożliwia spotkanie, właśnie ono jest najważniejsze – mówi Kapuściński w cytowanym wyżej wierszu:

po jakimś czasie
przychodzą, pojawiają się na placu, idą,
znikają za rogiem

Przywołajmy ich wszystkich
nie chodzi o werble o apele
chodzi o spotkanie...

W książkach swoich, jak wiemy, Kapuściński wiele i często pisze o spotkaniu jako najważniejszym ludzkim doświadczeniu, w którym mieszają się z sobą ciekawość poznawcza, próba zrozumienia i akceptacji, ale i wrogość, pokusa zawładnięcia, wreszcie zniszczenia. Taka jest historia człowiecza i te negatywne strony spotkania opisał autor *Imperium* ze szczególną precyzją i szczególnym znawstwem. Ale też z głębi tej wiedzy ma prawo, jak mało kto, projektować możliwe scenariusze innych spotkań, które są przekraczaniem izolujących nas od świata i siebie granic, granic w przestrzeni, granic w czasie, granic w nas samych. Bo tylko w ten sposób można ułożyć się z przypisaną człowiekowi „biedą istnienia”. Przywołać w jednym akapicie namysłu nad kondycją człowieczą – jak ma to miejsce w wierszu bez tytułu, a zaczynającym się od słów „Profesor Kant...” z tomu *Notes* – słowa, że „człowiek nie jest rzeczą (...) musi być przy wszystkich swych czynach uważany za cel sam w sobie”, by kilka wersów dalej zapisać też słowa św. Augustyna „potem znowu spadałem ku rzeczom tego świata, płacząc”. Tak rozpięty między sprzecznościami, między prawdą filozofii moralnej a prawdą upadku („potem znowu spadałem...”) w codzienność bytowania, oddaje sprawiedliwość ludzkiemu istnieniu.

Janusz Kryszak



Fot. Archiwum „K.A.”

Kazimierz Hoffman

Elegia

*nie. O niczym już nie wie, choć
do końca ma jeszcze trochę czasu*

*pod wpływem ułtucia igłą
mogą być drgawki kończyn albo palców
jest jeszcze w stanie przełykać płyn Czy
plami Może być reakcja oczu na światło ale
to wszystko już
bez świadomości Przyznasz, nie wiele Chory
bez przerwy oddaje mocz, kapie
kropelkami*

wpierw umiera intelekt

*gdybym przewidział chirurg i dobry, rok nie-
spełna po naszej rozmowie*

sam kończy tak właśnie wiesz odmóżdzenie

*

wczesna jesień i
rys tego pogrzebu świecki obrzęd więc
po dwakroć smutny szepty i gdyby jeszcze nie

te nieustanne skręty głowy gapiów przede mną
w wiadomym celu czy jest kochanka jest o

śledząc ruchy czegoś w kolorze cynobrowym na
czerni sąsiada z mojej prawej strony, ten

świat zastępczy,

ocknąłem się w chwili, gdy
wkoło jakby stało się godniej powiedziałbym rzew-
niej, jako że pierwsza gruda ziemi spadła na drewno

w dole. I to już
trzeba było przyjąć: tyleśmy pojęli.

N

nic.

Wiem

ta stara przywara
mówienia do siebie

nie dbam.

A jednak

pod wieczór, bezwiednie

nic

pisane przez N

jest czymś.

OD ZA ULGA

Kominy zapaliły już

KURYERZY

Zamorski ptak w klas
my w kapeluszach z

PO

Warszwy popiołu, do

PIĘĆ KALEŃ

Już nieczule, jak widać

WIECZOREM

Przytulna futra z kraciasiego pędu
widać zadecyzował na wysięgu nogi

METAMORFOZY

Kopny po przesławnym śnieg
zamiarony w reklamie smaku

KONIEC KRÓNIK KRÓLEWSKICH

Democy uduszono firmowy

GRATYFIKACJE

Rady za wysięg lat gościł ok
cząstkę wopólnie

BRZEMIENNA MARMUREM

W nagrodę tęż dla kieszka

Nie trzeba
Leibniza, by

pojąć różnicę w wykroju
litery

nic.
Nic

jakie to zwykle.
Jakie niezwykle.

Kazimierz Hoffman



Fot. Władysław Szulc

Janusz Szuber

49

PROGNOZY

Z połączanej trąbki wyleciała mucha.
Pierwsza, bo chłodny tego roku marzec.

RULON

Sen zwinięty w rulon, rura wypełniona snem.

MOSIĘŻNA KLAMKA

O, jak ona wspaniale jest – powiedziało oko.

ZA CHWILĘ

Z dolin uciekną potoki i niedźwiedzie,
tylko gdzieniegdzie zaszeleści ryba.

CO ZA ULGA

Kominy zapaliły już fajki pokoju.

KURYERZY

Zamorski ptak w klatce, głównie na kominku,
my w kapeluszach z piórami jak skrzydła wiatraków.

PO

Warstwy popiołu, a na nich lekkomyślne Pompeje.

PIĘĆ RADOSNYCH ZMYŚLÓW

Już nieczule, jak wióra po kątach w stolarni.

WIECZOREM

Przytulna jurta z kraciastego pledu
wokół zawieszanej na wyciągu nogi.

METAMORFOZY

Kopny po pas prawdziwy śnieg
zamieniony w reklamę proszku do prania.

KONIEC KRONIK KRÓLEWSKICH

Demony uduszono firmowym krawatem.

GRATYFIKACJE

Każdy za wysługę lat dostaje
cząstkę wspólnej niewinności.

BRZEMIENNA MARMUREM

W nagrodę tęczę dla księcia kulbaczy.

CIARKI CHODZĄ PO SKÓRZE

Ciemności trzeszczą od wilkołaków i strzyg.

PRZY DRODZE

Rozzochrana Niobe kołysząca w objęciach duży kamień.

DWUWIERSZ, KTÓRY PRZYŚNIŁ SIĘ AUTOROWI

Jest-li to, bo owo tak uciesznie laje,
Zasię onemu staraniu weny nie dostaje.

JA, ON

Uwierzytelnieni kartą kredytową.

WIEŻA BABEL

Mówili do siebie dialogami ze scenariusza
odrzuconego przez Producenta.

WYLICZANKA

na rżęs resorach dylizans złoty
w mieliznach drutów kolczasty płot
z cegieł różowych rozchwiane bukiety
z białego lukru wapienny pył.

STOJĄC W KOLEJCE

Proszę nas nie popędzać, czekamy na koniec świata.

HECE ONIRYCZNE

Pawiooki ogień, szampan słodkich mórz,
lunaparki, lupanary w elżbietańskich sukniach.

PRZYCZYNEK DO HOMILETYKI

W kufrze pod rupieciami żelazko na duszę bez duszy;
my także Bogu ducha winni.

NIEOSIĄGALNE

Między nim a oczami, które na niego patrzą, nie ma rzeczy zbędnych.

Tam nawet niewolnicy dostają swoją porcję ostryg.

EROS I THANATOS

Na wyczerpanych kochanków
czatują rybołów i niedźwiedź.

VIVE LA RÉVOLUTION!

Szkarłatem zachodziło słońce gilotyny.

POSTNE OSTY, ŚCIERNISKO

Żeńcy rzeško rzeźbili dyscypliną żelazną.

PASTERZE I STADA WĘDRUJĄ PO ŚCIANIE

Ciepłem śródziemnomorskim grzeje kaloryfer.

SĄSIAD Z ŁÓŻKA OBOK

Żyłasty stary mężczyzna spod Wyszkowa mówił,
że dopiero tu, w szpitalu, jest szczęśliwy.

SPIS TREŚCI

Strome, mroźne zaułki. Ług i kamfina.
Strome piersi panienek. Hajse marone!

DWUWIERSZ

W płytkich potokach marszczyła się woda.
Niski księżyc omieciony z mgieł ogonem wilka.

BEZ TYTUŁU

Falanster kurzu; flamingi flamastrów;
krater popielniczki; uwiedziony język.

ZDANIE

Kombajn na jeża pole strzygł.

ZA SZYBĄ I PRZED SZYBĄ

Srocze gniazdo w gałęziach włoskiego orzecha
na tle atramentowych kłaków podpalonych siarką.

WYDOBYTY ZE SNU

Jestem już całkiem pojedynczy.

INWOKACJA

Muszło muzo muszelko małżowino rokokowa;
wykipiało mleko i złamał się palec gipsowy.

KOMUNIKAT

Inwazja trwa nadal, gorączkuje dżungla.

ĆWICZENIA STYLISTYCZNE

Głos spod podłogi marszczy deszczulki parkietów,
zakatarzone ważki drzemią na poręczy krzesła.

O JĘZYKU

Mój język, jak język węża, wysunięty, czujny;
mój ludzki język porównany do nie-ludzkiego.

HARCAP, TABAKIERKA

Gdyby mi kto harcap związany kokardą przypiął
i tabakierkę pełną dialektyki pożyczył,
abym mógł go zażyć – ale, jak na złość, nie!

TEMAT OBOWIĄZKOWY

Starość jako kraina dożywotniego zesłania.

ŻOŁNIERZ FORTYNBRASA

Brawa i reflektory wskrzeszały dostojnych denatów.

STYL WYSOKI

Od fal zajadłych opędzać się wiosłem,
zodiakalne zwierzęta przytulać do piersi.

BUKOLIKA

Spada z hałasem w mleczną ciemność jabłko.

Z PERSPEKTYWY ANIOŁA

Naźarci trucizną w bujnych liszajach ukryci po uszy.

DZIŚ, DZIŚ, A NIE JUTRO

Dziś, które jutro będzie wczoraj,
a jeszcze wczoraj było jutrem.

DRZWI O NIEZAPUSZCZANYCH ZAWIASACH

Mają głos. Nie tak dawno otwierane nocą
zarżały jak żrebak.

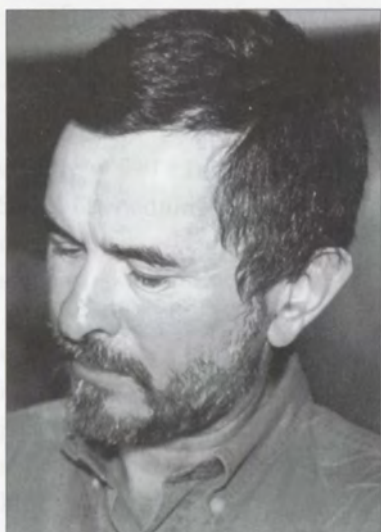
ODNIEŚ SKRZYDEŁKA DO LOMBARDU

podają mi ręce podają im ręce
mój pies też liże do nogi hermes.

CYTAT?

Przed siebie krecim korytarzem,
wierząc w dotyku ślepą różę.

Janusz Szuber



Fot. Jarosław T. Woszczyzna

Józef Baran

Dyptyk kosmiczny

1. NAD BRZEGIEM

nad brzegiem
huczącego Kosmosu
w rozbłyskach słońc i gwiazd
uwijamy się dzieci Ziemi
lepiąc
babki z piasku
warownie domy
granice państw

nadlatują ze świstem fale
roztrzaskują nasze wierzenia
zmiatają wielorybim
ogonem komet
radości smutki
cywilizacje
wieże miast

nad brzegiem
huczącego oceanu
zwanego Kosmosem
nasze istnienia
znikome iskierki
nadające w ciemność
SOS

2. ISKRA

a jednak czy to
nie cud
ta ikra złożona
przez Boga
na dno
bezludnych
przestworzy
ta iskra ciepłego istnienia
otoczona
zimnymi galaktykami
nieskończenie
obojętnym Kosmosem
rozdmuchujemy ją
podtrzymując przy trwaniu
by chłodem nie wiało od gwiazd
wierząc
do ostatniego tchu
w jej boską moc

Święty Benedykt na wprost skoczni w Einsiedeln

zmarły w 540 r.
Święty Benedykt
dobry duch
szwajcarskich zakonników

ustawiony na wzgórzu
naprzeciw skoczni narciarskiej w Einsiedeln
jakby obserwował
skoczków ludzkiego losu
którzy jeden po drugim
rozpędzają się
wznoszą
szybują
spadają
jeden bliżej
drugi dalej
(to zależy od marzenia
co jednych niesie
a innym jest kulą u nogi)
i zapadają się
jak kamień w wodę
w nicość

Bergdietikon, czerwiec 2005

Modlitwa poety

po latach widzę
że czas to
zły czarodziej
zamieniający piękne dziewczyny
w staruszki o laskach

gwiazdy w ziarnka piasku
a motyle w szkaradne straszycła
rzuca na wszystko
co napotyka na drodze
klątwe przemijania

Boże użyczaj jak najdłużej
mocy dobrego czarodzieja
bym mógł
odczarować
choć na chwilę
ten świat
i przywracać
życiu zachwyty
a ropuchę przemieniać z powrotem
w piękną królową

* * *

tak bez reszty
wżyć się w życie
zżyć się z życiem
wpracować wsmakować
wchwilić
w słodki miąższ chwili
na podobieństwo ważki
żeby zapomnieć
o oczach śmierci
durszlakowych czarnych dziurach
we Wszechświecie
przez które
przecieka Wszystko
na drugą stronę Czasu
przetapiając się na powrót
we Wszystko

Strony rodzinne

cicho nisko ukojnie

bo to nie
porywające piękno
strzelistych widoków
wyeksponowane
za szybą wystawową gór
i urwistych obłoków

lecz
ukryte we mnie
zwinięte
do środka
malwowe piękno równinnych
krajobrazów serdecznych

czubek
góry zachwytu
zatopionej w wodach płodowych
w słonecznych obłokach dzieciństwa
w nieważkich nadziejach młodości

omnia mea mecum porto
wszystko co najpiękniejsze
nosimy z sobą
jak ślimak
zakotwiczone w sercu

Józef Baran



Fot. Iwona Lenkiewicz

Wacław Lewandowski

Tadeusz Nowakowski

(Portret literacki w 10. rocznicę śmierci)

Emigracyjną twórczość literacką Nowakowski rozpoczął od „utworów służebnych”, mających krzepić ducha społeczności polskiej na obczyźnie, która po latach wychodźstwa wojennego przekształcała się mentalnie w zbiorowość emigracyjną, próbowała formułować swój program i kodeks moralny, określać swą tożsamość i zadania w nowej, pojałtańskiej rzeczywistości. Powojenne wiersze, ogłaszane przez Nowakowskiego w „Wiadomościach” miały być jednoczącym społeczeństwem emigrantów poetyckim podsumowaniem tragicznych doświadczeń polskich czasu wojny i „zdrady alianckiej”. W utworze *Religia wysiedleńców*, suplikacji do „Boga Przegranych”, poeta oddawał tę społeczność pod opiekę „Konsula”, który „czeka w kościele”, prosił o prawo „azyłu wiecznego” i „obywatelstwo niebieskie”. Służebny charakter tej poezji przesądzał o jej zachowawczym kształcie formalnym. Wiersze wyraźnie kontynuowały i naśladowały poetykę skamandryckiej liryki lat wojny (Wierzyński, Lechoń), toteż autor, świadom ich wtórności, zarzucił wcześniejszy pomysł zebrania tych utworów w osobny tom. Podobnie utylitarny charak-

ter miały wczesne produkcje dramatyczne, pisane przede wszystkim w celu dostarczenia świetlicom polskim i teatrom amatorskim materiału do inscenizacji. Autor rozumiał potrzebę jednoczenia społeczności polskiej na obczyźnie, podejmował też wysiłek dydaktyczny, tłumacząc „ludowemu”, nieinteligentnemu odbiorcy tych utworów fałsz komunistycznej propagandy na rzecz „repatriacji”, docierającej do skupisk polskich wysiedleńców (zwłaszcza do obozów D.P. na terenie alianckich stref okupacji Niemiec). Niektóre z tych utworów osiągnęły znaczną popularność, jak np. *Jasełka* (trzy wydania: Londyn 1947, 1948 i 1948) czy wodewil *Piękna nasza Polska cała* (Londyn 1948). W miarę krzepnięcia emigracji pisarz modyfikował dydaktyzm tego typu utworów dla „masowego” odbiorcy, czego przykładem może być jednoaktówka wierszem *Czy pan mówi po polsku?* (Londyn 1949), sztuka apelująca do emigrantów o niepozbowanie dzieci polskiej edukacji. W pierwszych latach powojennych Nowakowski utrzymywał literackie kontakty z rodziną Bydgoszczą. Zanim uchwała Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (w roku 1947) nie zakazała współpracy z czasopismami krajowymi, Tadeusz Nowakowski publikował wiersze w bydgoskiej prasie – w „Arkonie” i „Ilustrowanym Kurierze Polskim” (1946).

Rzeczywistym, podporządkowanym ambicjom artystycznym i pozbawionym doraźnych funkcji publicystycznych, debiutem literackim Nowakowskiego na emigracji był tom prozy *Szopa za jaśminami* (Londyn 1948; wydanie drugie – Sztokholm 1994), za który autor otrzymał nagrodę Polskiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas” w Londynie (1950). Jest to cykl nowel, z których każda może istnieć samodzielnie (były publikowane osobno w prasie), jednakże pełnię znaczeń objawiają one dopiero łącznie, ukazując się jako części zbioru, w porządku zaprojektowanym przez autora. Spoiwem całości, obok kreacji bohatera prowadzącego, obdarzonego uprawnieniami narratora, są postaci pojawiające się w różnych miejscach cyklu, jednokrotnie w roli bohaterów pierwszego planu, wielokrotnie – w roli epizodycznej. Pełną charakterystykę danej postaci odbiorca może zatem złożyć dopiero wtedy, gdy dysponuje wiadomościami zebranych ze wszystkich utworów. Jednocześnie autor złamał konwencję cyklu nowelistycznego, rezygnując z jedności miejsca zdarzeń. Przestrzeń w jego cyklu rozwija się jak w dzienniku podróży. Bohater-narrator, aresztowany przez gestapo we Włocławku, przymuszony decyzjami oprawców przemierza się poprzez obóz przejściowy, kolejne więzienia, aż do obozu koncentracyjnego nad Łabą, by wreszcie – na wieść o zakończeniu wojny – odbyć tyleż realną co wizyjną podróż przez Holandię

i Belgię do Paryża, Rzymu i Londynu, gdzie w 1946 kończy rozpoczętą w 1939 wędrówkę. Na każdej stacji swej męczeńskiej drogi poznaje nowych towarzyszy niedoli, nigdy jednak nie zmienia całkowicie środowiska współwięźniów. Niektórzy podążają wraz z nim, mając takie same więzienne delegacje. Inni opuszczają go, ginąc męczeńską śmiercią, by odtąd zawsze towarzyszyć mu w drodze, równie realni jak przedtem, choć są już tylko zjawami pamięci, projekcją traumatycznej świadomości. Narrator-bohater, noszący imię autora i przechodzący przez te same obozy i więzienia, w których Nowakowski był osadzony, jest świadom cyklicznego porządku swej relacji – raz po raz przypomina o tym, co zostało już wcześniej opowiedziane. Unika jednak czasu przeszłego, „wspomnieniowego” toku opowiadania. Stale podkreśla „naoczną” aktualność zdarzeń, relacjonując je w czasie teraźniejszym. Nie są to bowiem wspomnienia z czasu męczeństwa, lecz literacki wyraz przekonania, że dla ocalałych ów „inny świat” będzie już zawsze teraźniejszością, nigdy nie zabliźnioną raną świadomości. Wrażenie aktualności jest budowane także za pomocą swoistych zachowań językowych narratora, który nie mogąc zdobyć się na dystans od przedstawianej rzeczywistości, ukazuje ją z jej „wnętrza”, „oswaja” za pomocą ironicznych i autoironicznych komentarzy, które umożliwiają precyzyjny rysunek kacetowej codzienności oraz pozwalają zobrazować wpływ maszyny zagłady na psychikę więźniów. Tym samym celom służy precyzyjnie organizowany komizm niektórych przedstawień, zdarzeń w swej istocie tragicznych. Druzgocący wpływ lagru na psychikę nie dotyczy w świecie *Szopy*... wyłącznie ofiar. Strażnik w otwartej przestrzeni czuje się tak samo niepewnie jak więzień; obaj pragną jak najszybciej wrócić w zamknięty obszar więziennego korytarza. Pomimo odrazy do oprawców narrator *Szopy*... potrafi bardzo przenikliwie widzieć istotę hitlerowskiego totalizmu – także beznadziejność i duchowe cierpienie tych Niemców, którzy nie podzielając hitlerowskich przekonań są zmuszeni przez system do pełnienia ról i funkcji, jakich nigdy nie chcieliby pełnić. Nie będąc zdolnymi do odmowy (oznaczającej skazanie siebie na zagładę), niektórzy z nich starają się okazywać więźniom humanitarne odruchy, inni wykonują swe obowiązki z objawem wstydu i pogardy dla samych siebie, jeszcze inni oddają się całkowicie nienawiści do więźniów – gdyż w nich właśnie widzą przyczynę własnego położenia. Ci ostatni, w kacetowym wymiarze praktycznym nie różnią się niczym od „ideowych morderców”, choć pobudką ich działań nie jest ideologia, lecz – bardzo ludzkie rozżalenie, litość nad sobą samym. *Szopą za jaśminami* Tadeusz Nowakowski nie tylko zdobył uzna-

nie krytyki, nie tylko donośnie wkroczył do literatury polskiej, lecz także ustalił swój pisarski znak rozpoznawczy. Traumatyczna świadomość, dla której martyrologiczne przeżycia wojenne mają zawsze wymiar aktualny i bolesny, stała się bowiem zwyczajowym wyposażeniem postaci prowadzących z utworów Nowakowskiego.

Najszerzy rozgłos i popularność (a w konsekwencji godność jurora „Akademii Grydzewskiego”) przyniosła pisarzowi jego pierwsza i najwybitniejsza powieść *Obóz wszystkich świętych* (Paryż 1957; Warszawa 1989 – wydanie poza cenzurą; Warszawa 1990; edycja komentowana – Warszawa 2003). Jeszcze przed jej ogłoszeniem autor zbierał liczne pochwały za publikowane w londyńskich „Wiadomościach” fragmenty. W atmosferze popaździernikowej przygotowano nawet krajowe wydanie utworu, jego skład rozrzuciono jednak po czyimś czujnym przypomnieniu, że autor jest dziennikarzem RWE.

Podstawą historyczną zamysłu *Obozu wszystkich świętych* była znana autorowi z autopsji przedłużająca się tymczasowość statusu uchodźców, którzy znaleźli się w powojennych Niemczech pod jurysdykcją alianckich władz okupacyjnych. Upokarzające dzieje owej zbiorowości D.P. (*displaced persons*), do dziś mało znane, słabo w polskiej świadomości obecne, były tematem, którego rasowy talent powieściopisarski nie mógłby nie zagospodarować, zwłaszcza że stosunek Amerykanów i Brytyjczyków do „dipisów” wskazywał pośrednio na płonność nadziei polskiej emigracji pojałtańskiej na rychłe otrzeźwienie Zachodu i jego konflikt ze Związkiem Sowieckim. Wbrew tym powszechnym na emigracji w pierwszych latach powojennych nadziejom, obserwator sytuacji w obozach dla przesiedleńców mógł dostrzec, że antykomunistyczni uchodźcy są dla demokratycznego świata zbędnym balastem, żywołem niechcianym, którego obecność jest postrzegana jako przeszkoda w poprawnym ułożeniu stosunków ze wschodnioeuropejskimi komunistycznymi rządami.

W raporcie pt. *Polacy w Niemczech*, opublikowanym w 1948 roku w Londynie przez tamtejszy polski „Społeczny Komitet Pomocy Obywatelom Polskim w Niemczech” czytamy:

W pierwszych miesiącach po wyzwoleniu (...) ruch repatriacyjny był stosunkowo słaby. (...) Potem nastąpił jednak okres niesławnej pamięci nacisków repatriacyjnych UNRRA'y. – Szalona propaganda za powrotem; przerzucanie ludzi z obozu do obozu w coraz to gorsze warunki; ograniczenie przydziałów żywności; groźby represji w stosunku do tych, którzy odmawiali powrotu i ostre represje w stosunku do tych, którzy głośno podawali motywy, skłaniające ich do pozostania na obczyźnie (uznano to za zakazaną agitację antyrepatriacyjną); ograniczenie swobody poruszania się; zamykanie szkół, bibliotek i świetlic; niszczenie prasy

uchodźczej i zakaz kolportażu pism z Zachodu; lekceważący stosunek personelu UNRRA'y do D.P., tak żywo przypominający stosunek hitlerowców do ludzi „niższej rasy” i cały szereg innych szykan drobniejszej i poważniejszej natury. (...) Ludzie wyjeżdżali na wschód z wroгим nastawieniem do Anglosasów, z niewiarą w szczerść demokratycznych hasel, głoszonych na Zachodzie. (...) Ponad 200 tys. Polaków przetrwało w Niemczech i Austrii falę terroru unrowskiego, co więcej przetrwali oni samo istnienie tej instytucji, która w pamięci Polaków zapisała (...) niechlubną kartę „opieki” nad uwolnionymi z niewoli hitlerowskiej (...).

Gorzki komentarz poparty jest w raporcie danymi szczegółowymi, których nie sposób tu przytaczać. Warto jednak powtórzyć za tym opracowaniem, że społeczność „dipisów” została pozbawiona rzetelnej reprezentacji swych interesów oraz opieki ze strony „polskiego Londynu”. Bramy obozów zamknęły się przed wysłannikami władz RP na obczyźnie, gdy mocarstwa zachodnie przestały uznawać polski rząd emigracyjny. Otwarto je jednak szeroko dla przedstawicieli Warszawskiej Misji Repatriacyjnej i misji innych „zaprzyjaźnionych rządów” komunistycznych.

Tadeusz Nowakowski należał do pokolenia, które zadania stojące przed pisarzem pojmowało w świetle nauk moralnych Żeromskiego. Przypuszczał nie więc było dlań oczywistym, że powinnością pisarza jest oddanie sprawiedliwości tym, którzy zostali poniżeni, zignorowani, za którymi nikt się nie ujął. Chęć dostarczenia wołającego o pomstę do nieba świadectwa losów zbiorowości „ludzi zbędnych” legła więc chyba u podstaw powieściopisarskich zamierzeń. Społeczność ta ukazana została jednak w utworze bez sentymentalizmu, piórem ostrym, świadomym najlepszych tradycji naturalistycznych przedstawień literackich, w ciągu scen o dramatycznej wręcz dynamice, co razem uczyniło owo świadectwo artystycznie doniosłym i nie dającym się zignorować.

Powiedziano już, że *Obóz...* miał się ukazać w kraju. Z tej okazji był w prasie krajowej recenzowany. Zawsze były to omówienia pochwalne, jednak specyficzny charakter owych pochwał pozwala stwierdzić, że dobrze się stało, iż polityczna decyzja władz położyła kres zamiarom PRL-owskiej edycji. O ile „neutralną” była recenzja w „Tygodniku Powszechnym” (1957, nr 21), gdzie Zofia Starowieyska-Morstinowa wyrażała zdziwienie dojrzałością pisarską powieściowego debiutu (w tym samym numerze ogłoszono fragment utworu), o tyle inne omówienia zmierzały do specyficznego ukierunkowania odbioru utworu. Eugeniusz Szermentowski na łamach PAX-owskich „Kierunków” (1958, nr 3) pisał:

Nie wiadomo, czy świadomie, czy tylko mimo woli, w powieści swej przeprowadza autor wielką metaforę. To środowisko, te swary, kłótnie, intrygi, złodziejstwa przywodzą nam na

myśl całą tę naszą nieszczęsną emigrację [podkr. moje, W.L.], skazaną na bezterminowe „czekanie na Godota”, zżeraną nostalgią, nękaną rozgrywkami politycznymi. Tak, ten *Obóz wszystkich świętych* to nic innego, tylko świetna parabola.

– Wbrew intencji autorskiej powieść, gdyby doszło wówczas do jej druku, przedstawiono by krajowemu czytelnikowi jako utwór antyemigracyjny, rzekomo potwierdzający tezę propagandy PRL o emigracji jako „śmietniku historii”. Tymczasem powieść Nowakowskiego, owszem, niosła paraboliczne przesłanie, w najszerszym swoim polu znaczeniowym chciała jednak zwrócić uwagę na odmienną od europejskiej tradycji powojenną sytuację kontynentu, która sprawia, że prawa jednostkowe zostają ograniczone, podporządkowane racjom ideologicznym i politycznym. *Obóz...* nie jest pamfletem na emigrację – sylwetki dwóch postaci powieściowych nakreślone pamfletowo, to wizerunki Ksawerego Pruszyńskiego i Konstantego I. Gałczyńskiego, zatem tych pisarzy, którzy ideę emigracji odrzucili. Portrety te, zbudowane bez dbałości o chronologię i faktografię zgodną z rzeczywistością, na tyle jednak plastycznie, by można było rozpoznać rzeczywiste pierwowzory postaci, przynoszą wyraźny znak autorskiego stanowiska – kto, mając możliwość pozostania na obczyźnie, rezygnuje z udziału w emigracyjnej misji „bytowania-protestu”, ten zdradza sprawę Polski niepodległej, przestaje służyć zagrożonej ciągłości europejskiej kultury, niszczy siebie moralnie, oddaje się w służbę złu.

Pośród recenzji, złożonych do druku w krajowej prasie przed decyzją o zniszczeniu składu książki, znajdujemy także dowody na to, że ówczesna edycja nie byłaby korzystna dla powieści także z powodów pozapolitycznych. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych, gdy w literaturze emigracyjnej mieliśmy do czynienia ze swoistym renesansem powieści realistycznej, z udanymi próbami odnowienia tradycji gatunku, wśród znawców literatury w kraju obowiązywał przejęty od krytyki zachodniej dogmat o „końcu ery powieści”, wyraźna moda, nakazująca twierdzić, że powieściowy gatunek należy ze wszystkim do literackiej przeszłości, że w tej gatunkowej konwencji nie można już tworzyć dzieł oryginalnych, atrakcyjnych artystycznie. W takim duchu pisał o *Obozie...* Jan Józef Lipski („Twórczość” 1958, nr 2), najwyraźniej krzywiąc się, że zdolny autor wybrał konwencję „przestarzałą”. Czas, w którym wybitni krytycy krajowi znajdowali się pod ciśnieniem dogmatu o wyczerpaniu gatunku, nie byłby więc dogodnym momentem prezentacji utworu krajowemu czytelnikowi.

Gdy względny liberalizm czasów „poodwilżowych” skończył się, o Tadeuszu Nowakowskim pisano w kraju już tylko jako o literacie-wrogu PRL,

który „nie reprezentuje ani narodu polskiego, ani literatury polskiej” (Wisława Szewczyk, *Literackie fetysze odwetowców*, „Życie Literackie” 1960, nr 46).

Warto zwrócić uwagę na to, że autor *Obozu...* nie podchodził do powieściowej konwencji gatunkowej jak do tworu skostniałego i martwego. Przeciwnie, widział możliwości ożywienia i modernizacji gatunkowej tradycji. Znakami tego są chociażby liczne powieściowe fragmenty skomponowane niemal w poetyce dramaturgicznej – cały utwór składa się z szeregów „scen dramatycznych”, w których dialog jest formą podawczą zdecydowanie dominującą. Stąd zapewne rodziła się pokusa przerabiania tej powieści dla potrzeb teatralnej sceny. Jak dotąd, zrealizowano dwie inscenizacje: adaptację I. Bielskiej i M. Grabowskiego w krakowskim Teatrze im. J. Słowackiego (1991) oraz A.M. Marczewskiego w Teatrze Polskim w Bydgoszczy (1994).

Obóz wszystkich świętych jest także utworem o próbie wyzwolenia się z ograniczeń i kompleksów polskości, rysowanych tu równie ostrą kreską jak w *Trans-Atlantyku* Gombrowicza, z większą jednak wyrazistością, dzięki utrzymaniu opowiadania w poetyce realizmu. Główny bohater pragnie wyzwolić się jednocześnie z kompleksu ojczyzny i kompleksu ojca, który nie zaspokoił synowskiej potrzeby miłości, a jako męczennik-ofiara hitleryzmu powraca we wspomnieniach w roli narodowego bohatera. Na tym tle rozwija się nibymiłość porucznika Grzegorzcyka do Niemki, córki kochanki ojca z lat przedwojennych. Grzegorzcyk opuszcza obóz, by ożenić się z Urszulą, ponosi jednak klęskę, nie udaje mu się bowiem tą drogą unieważnić własnych obciążeń psychicznych. Wraca do gromady polskich wysiedleńców, korzy się przed nią i podporządkowuje mentalności społeczności zamkniętej, zespolonej teatralnymi rekwizytami polskiej mitologii narodowej.

Obóz... jest pierwszą polską powieścią, w której ukazano – obok polskich – także niemieckie cierpienia, zawinione przez hitleryzm. Drastyczne sceny odwetu wysiedleńców na „zwykłych” Niemcach, mieszkańcach miasteczka sąsiadującego z obozem, więcej uczyniły dla sprawy polsko-niemieckiego pojednania niż niejedna deklaracja polityczna.

W utworze tym zbudował Nowakowski literacką mitologię swej „małej ojczyzny” z wyboru. Bydgoszcz przedwojenna, kiedyś nazywana „małym Berlinem” i Bydgoszcz z września 1939 roku ożywiana jest we wspomnieniach głównego bohatera, pełniąc w nich podwójną rolę – źródła traumatycznych obciążeń, ale i swoistego „centrum wszechrzeczy” – przestrzeni mitycznej, skąd płyną siły życiowe. Krajobraz miasta nad Brdą, miejska gwara bydgoska, mikrohistoria lokalna (podana nie bez fabularyzatorskich, „mito-

twórczych" przeróbek) – to elementy, których nikt przed Nowakowskim nie zdołał do literatury polskiej z sukcesem wprowadzić.

Obóz... ukazuje się czytelnikom także jako powieść psychologiczna, niemal „freudowska”, o kompleksie ojca, ciężącym głównemu bohaterowi i determinującym jego życiowe wybory, o ranach psychicznych, doznanych w procesie wychowania, cyklicznie i boleśnie się odnawiających w dojrzałym życiu.

Po sukcesie *Obozu...* Nowakowski przez wiele lat nie miał warunków dla komponowania większych całości narracyjnych. Praca radiowa, dająca mu podstawy materialne bytu, pochłaniała go coraz bardziej, żądania Rozgłośni Polskiej RWE wobec cenionego dziennikarza rosły. Jak powiedział Jan Nowak-Jeziorański: „Nowakowski nie lubił Olsztyńskiego”, uważał że praca radiowa krępuje jego ambicje pisarskie. Z tego konfliktu pomiędzy wolnością pisarza a podległością dziennikarską potrafił jednak uczynić jeden z powracających tematów swej twórczości, w której często pojawia się bohater-literat, zarazem dziennikarz podporządkowany wszechwładnemu szefowi, udzielającemu zleceń, ukierunkowanych zgodnie z aktualnymi wytycznymi propagandy politycznej, którym podporządkowana ma być rozgłośnia czy redakcja. Tego rodzaju postaci i sytuacje konstruował pisarz nie bez zacięcia pamfletowego, niewątpliwie odwołując się do swych radiowych doświadczeń. Tak jest w opowiadaniu *Wyprawa wiedeńska* z tomu *Niestworzone rzeczy*, tak w ostatniej powieści Nowakowskiego – *Nie umiera się w Miami* (Londyn 1991), gdzie ukazano pracę propagandowej amerykańskiej rozgłośni w Ameryce Południowej, tak we wcześniejszych powieściach: *Byłe do wiosny* (Londyn 1975), której bohater-dziennikarz męczy się nad duchowo mu obcą „pracą zleconą” i *Happy-end* (Paryż 1970), gdzie tego rodzaju zależności ukazano na przykładzie dyspozycyjnych literatów PRL. W tym ostatnim przypadku autor przeprowadził swoisty eksperyment, polegający na uwzględnieniu różnych kompetencji czytelniczych publiczności krajowej i emigracyjnej. Dla czytelnika z kraju *Happy-end* był przede wszystkim pamfletem na wszechwładnego prezesa „radiokomitetu”, Włodzimierza Sokorskiego i otaczających go „dworzan”, emigrant zaś czytał powieść jako pamfletowe wyszydzenie szefa Rozgłośni Polskiej RWE, sprokurowane przez podległego mu pracownika, który tylko dla kamuflażu osadził fabułę w realiach PRL. Świadectwem dystansu autora wobec zmiennych wytycznych wschodniej polityki USA jest także znakomite opowiadanie *Piknik wolności*, w którym ze zja-

dliwą ironią przedstawiono cynizm i niekompetencję wykonawców tzw. akcji balonowej na kraje obozu sowieckiego, realizowanej w ramach „Krucjaty Wolności”. Opowiadanie to, jedno z wielu pisanych w latach 1957–1968 dla emigracyjnej prasy („Wiadomości”; „Kultura”) weszło w skład wyboru pt. *Niestworzone rzeczy* (Londyn 1968). Znaczna część dorobku nowelistycznego pozostaje jednak rozproszona.

Innym powracającym tematem prozy autora *Obozu...* są zetknięcia emigrantów z Polakami z kraju, wzajemna niewiedza tych dwóch społeczności o sobie, różnice mentalne. Nowakowski tropi i demaskuje fałsz wyobrażeń emigrantów o kraju, jednocześnie śledzi zmiany mentalności krajowej, postępującą sowietyzację świadomości obywateli PRL. „Krajowcy” spotykają się w tej prozie z okazji nadzwyczajnych zdarzeń – np. beatyfikacja o. Kolbego (*Byle do wiosny*), poprzez kontakt korespondencyjny (np. opowiadanie *Macoszek*), przy okazji występów zespołów teatralnych z PRL na Zachodzie (opowiadanie *Wyprawa wiedeńska*), wreszcie – w planie marzeń sennych, podczas onirycznych podróży bohatera-emigranta do Polski (*Wiza do Hrubieszowa*, Londyn 1979).

Bohater prozy Nowakowskiego często zostaje wyposażony w wojenną przeszłość bojową, jakiej autor (nie przyjęty do szkoły podchorążych rezerwy z powodu wady wzroku) nigdy nie zaznał. Jest to o tyle ważne, że pisarz często buduje swe narracje w stylistyce autobiograficznego wspomnienia, co jednak nie służy literackiemu przekazowi losów własnych, lecz jest próbą relacjonowania doświadczeń pokolenia, które autor reprezentuje (np. powieść *Wiza do Hrubieszowa* czy opowiadanie *Mój sierżant Kaczmarek*, „Wiadomości” 1947, nr 21 (60)). Z tego rodzaju przewrotnym niby autobiografizmem spotykamy się także w niektórych tekstach włączonych do tomu *Aleja dobrych znajomych* (Londyn 1968). Prócz klasycznych „szkiców wspomnieniowych” można tam znaleźć również relacje fabularyzowane, literackie kreacje, dla których autentyk wspomniany był tylko punktem wyjścia.

Niektóre z opowiadań Nowakowskiego ukazały się w zbiorach książkowych niemieckich. Swoistą karierę na niemieckim rynku zrobiła mikropowieść *Syn zadżumionych* (wydanie polskie Paryż 1959), manifest wiary autora w odrodzenie moralne Niemców i autentyczną wolę odpokutowania win ojców, charakteryzującą zachodnioniemiecką młodzież. Dla czytelnika niemieckiego pisał też Nowakowski instruktywną dla pragnących poznać historię Polski *Sage rodu Radziwiłłów* (*Die Radziwills*, przekład z rękopisu Janusz von Pilecki i Joseph Hahn, München 1966, 1967; Stuttgart, Hamburg

1968; wydanie poszerzone München 1975). Rzec miała także dwa wydania amerykańskie, obszerne fragmenty po polsku drukowały „Wiadomości”.

Dotkliwy konflikt pomiędzy pracą dziennikarską a planami literackimi przestał doskwierać autorowi, z chwilą gdy został reporterem radiowym obsługującym pielgrzymki papieża Jana Pawła II. Towarzyszenie Papieżowi-Polakowi Nowakowski uznał za ukoronowanie swej emigracyjnej służby Polsce, nieformalny tytuł „reportera papieża” – za największe osiągnięcie dziennikarskie. Pisane relacje z podróży-pielgrzymek (*Reporter papieża*, Londyn 1980; *W bagażniku Jego Świątobliwości*, Londyn 1981; *Volo papale*, Londyn 1982; *Na skrzydłach nadziei*, Londyn 1984; *Boeing świętego Piotra*, Londyn 1986; *Kwiaty dla pielgrzyma*, Londyn 1987) były kopiowane poza cenzurą w kraju i przyczyniły się niewątpliwie tak do budowy wizerunku osoby Jana Pawła II, jak i wzrostu polskich nadziei pokładanych w „polskim” pontyfikacie. Książki reporterskie Nowakowskiego są pełne erudycji, połączonej z błyskotliwym humorem gawędziarza, nie stroniącego od anegdoty. Poza wizjami entuzjazmu tłumów, witających Pielgrzyma, reporter potrafił pokazać także reakcje wrogie, spory wewnątrz Kościoła i wszelkie próby odrzucania papieskiego nauczania, ukazując w ten sposób trudy pontyfikatu.

Wacław Lewandowski

Tadeusz Nowakowski urodził się 8 XI 1917 w Olsztynie, dzieciństwo spędził w Bydgoszczy, dokąd jego ojciec, Stanisław, dziennikarz, historyk, niepodległościowy publicysta z czasów zaboru pruskiego, musiał przenieść się w roku 1920, po przegranej przez Polaków plebiscycie na Warmii. Ukończył bydgoskie humanistyczne Państwowe Gimnazjum im. Marszałka Śmigłego-Rydza, maturę zdał w 1936 roku, studia polonistyczne (przerwane przez wybuch wojny) rozpoczął na Uniwersytecie Warszawskim. W latach szkolnych redagował międzyszkolne czasopismo „Ogniwa”, pisywał wiersze i felietony dla „Dziennika Bydgoskiego”, gazety w której jego ojciec przez wiele lat sprawował funkcję redaktora odpowiedzialnego. W 1937 otrzymał I nagrodę w konkursie polonistycznym PAL, za rozprawę o poezji skamandrytów. W czasie studiów współpracował z grupą młodzieży, której patronowali Stanisław Dubois i Stanisław Leopold, związanej z lewicą PPS. Publikował wiersze w „Czerwonych Tarczach” (1938-39), otrzymał nagrodę tego pisma. Po wybuchu wojny, pozbawiony przydziału wojskowego, znalazł się, podczas obrony Warszawy, w oddziałach ochotniczych PPS. Jeszcze w 1939 roku dotarł do Włocławka, dokąd przeniósł się jego matka i rodzeństwo (ojca aresztowano w Bydgoszczy, zginął w Dachau w 1942). W grudniu 1940 aresztowany przez włocławskie gestapo za kolportaż ulotek i redagowanie polskiej gazetki. Sądzony pod zarzutem działania na rzecz „oderwania Wielkopolski od Trzeciej Rzeszy”, został skazany na śmierć, jednak wyrok zamieniono na 30 lat obozu. Do końca wojny przebywał w więzieniach i kacetach niemieckich, m.in. w Inowrocławiu, Bautzen, Zwickau, Dreźnie, Elsnig-Vogelgesang i w Salzwedel, gdzie doczekał wyzwolenia przez armię amerykańską. Przeniósł się do obozu D.P. (*displaced persons*) w Haren-Ems, mieście w północnych Niemczech (blisko granicy z Holandią), przejściowo po II wojnie światowej nazwanym „Maczkowem”, na cześć gen. Stanisława Maczka, wyzwoliciela tych ziem. W Maczkowie uczył w polskim liceum, podjął też pracę literacką. Od

1946 roku przesyłał wiersze i opowiadania do prasy polskiej w Londynie, głównie do „Wiadomości”. Jesienią 1946 wyjechał do Włoch, by w roku następnym dostać się do Anglii, w ramach przesiedlenia II Korpusu Polskiego. W Londynie zamieszkał na tzw. Finczlejowie – w Domu Pisarzy przy Finchley Road. Był redaktorem czasopisma „Polacy na świecie” (w latach 1947–1952) i współpracownikiem polskiej sekcji BBC. Działal w Światowym Związku Polaków z Zagranicy „Światpol”, był członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Swą aktywność polityczną na emigracji związał z Polskim Ruchem Wolnościowym „Niepodległość i Demokracja”. Współtworzył historię Rozgłośni Polskiej RWE; od początku jej istnienia występował przed mikrofonem, był też autorem słuchowiska *Witaj jutrzeńko swobody* (w reżyserii Wacława Radulskiego), którym rozgłosnia (wtedy jeszcze pod nazwą „Głos Wolnej Polski”) zainaugurowała swą działalność 3 maja 1952 roku. W związku z pracą dla RWE przeniósł się do Monachium. Jako dziennikarz Rozgłośni Polskiej przez wiele lat redagował magazyn „Panorama dnia”, codziennie komentując wydarzenia polityczne i kulturalne. Pisał też scenariusze słuchowisk dla „Radiowego Teatru Wyobraźni”, cykle audycji dokumentarnych o tematyce historycznej i literackiej, bywał reporterem, przeprowadzał wywiady, brał udział w dyskusjach literackich, wreszcie – po przejściu na emeryturę (1987) – do końca istnienia rozgłośni pisał i wygłaszał cotygodniowe felietony „Przy kawiarnianym stoliku”, swoiste gawędy radiowe, przynoszące omówienia najnowszych książek i wydarzeń. Występując przed mikrofonem najczęściej używał pseudonimu Tadeusz Olsztyński. Okresowo współpracował z radiem niemieckim (m.in. cykl audycji o literaturze polskiej dla radia bawarskiego). Był jednym z dwóch członków (obok Tymona Terleckiego) „Akademii Grydzewskiego” – kapituły Nagrody „Wiadomości”, którzy uczestniczyli w corocznych obradach od powołania w roku 1959 do rozwiązania jury w 1991. (Z „Wiadomościami” współpracował od wznowienia pisma w roku 1946 aż do ostatniego numeru z 1981 roku.) Od 1959 należał do zachodnioniemieckiej grupy literackiej „Gruppe 47”, od 1966 był członkiem Bawarskiej Akademii Literatury, w latach 1964–65 był przewodniczącym PEN-Club Center for Writers in Exile na terenie RFN, Szwajcarii i Austrii, pisywał do najważniejszych czasopism zachodnioniemieckich, z polskich czasopism emigracyjnych publikował (prócz „Wiadomości”) przede wszystkim w: „Kulturze” (od 1947), „Tygodniu Polskim” (od 1959), „Na antenie” (od 1963). W RFN, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, pełnił rolę ambasadora sprawy polskiej, docierał do niemieckich elit, sporo czyniąc na rzecz wsparcia wolnościowych dążeń polskich i polsko-niemieckiego pojednania. Nieco trudniej było mu prowadzić tę działalność w latach późniejszych, jak mówił, „w okresie odprężeniowej euforii”, gdy emigrantów uznawano często za podżegaczy wojennych. Miał wielki wpływ na zachodnioniemiecki rynek wydawniczy w zakresie przekładów z literatury polskiej. Był lektorem literatur słowiańskich, pracującym dla czołowych instytucji wydawniczych w RFN, Wielkiej Brytanii i USA. Przewodniczył Radzie Narodowej Polskiej w Niemczech, przez wiele lat był delegatem Rządu RP w Londynie na obszar Niemiec. Za działalność literacką otrzymał liczne nagrody, m.in.: literacką nagrodę Künstlergilde Esslingen (1959), Literary Atlantic Award Princeton University (1963), Tukan-Kreiss (Monachium, 1966), Fundacji A. Jurzykowskiego w Nowym Jorku (1971), Fundacji im. A. Godlewskiej w Genewie (1977) oraz Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Karla Wolfskehla, przyznaną przez Bawarską Akademię Sztuk Pięknych (1992). Jako reporter RWE towarzyszył papieżowi Janowi Pawłowi II w 30. podróżach-pielgrzymkach. Od 1990 roku był prezesem Stowarzyszenia na Rzecz Porozumienia Polsko-Niemieckiego. Od tego samego roku zaczął odwiedzać Polskę. Zainicjował powstanie Światowego Związku Bydgoszczan, był jego pierwszym prezesem, potem – prezesem honorowym. W 1991 roku został honorowym obywatelem miasta Olsztyna i honorowym redaktorem „Gazety Olsztyńskiej” (pismo codzienne pod takim tytułem redagował jego ojciec w latach 1914–20). W 1994 roku otrzymał tytuł honorowego obywatela Bydgoszczy, dokąd przeniósł się w 1995 roku, gdzie zmarł 11 marca 1996 roku. Został pochowany na bydgoskim cmentarzu przy ul. Zaświat, obok matki. Był kawalerem orderu Polonia Restituta (z nadania prezydenta Ryszarda Kaczorowskiego) i Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski (z nadania prezydenta Lecha Wałęsy).



Fot. Elżbieta Lempp

Leszek Szaruga

W milczeniu

*przemykamy się
między słowami*

Stanisław Jerzy Lec

między słowami oraz
między nami mówiąc

dochodzimy do siebie
w milczeniu

Okolicy

znak bez namysłu znaczenia

Tymoteusz Karpowicz

słowo na znak i bóg
się rodzi okolicy twarzą
w ból oślepiiony bo oko

w oko i oko
za oko nie do
pojęcia
 wpatrzony w
świat stworzony
przez niedopatrzenie
bez namysłu na
nic
 choć oko
wykol

Pomimo

(za Hilde Domin)

każdego znaku Pomimo
i
mój nasz Lęk

Kobiety

kobiety rodzą
groby w grobach
rodzą kobiety
na śmierć miłość
są zakochane
w śmierci rodzą
do grobu miłość
na śmierć
 i życie

Arka

potok w potop słowo w
słowo zmienione jednym
uderzeniem

utrącić ą i
utrącić życie? cnotę? czy
co i w tym zamieszaniu
gdy mówisz Nie nagle
Noe?

Się

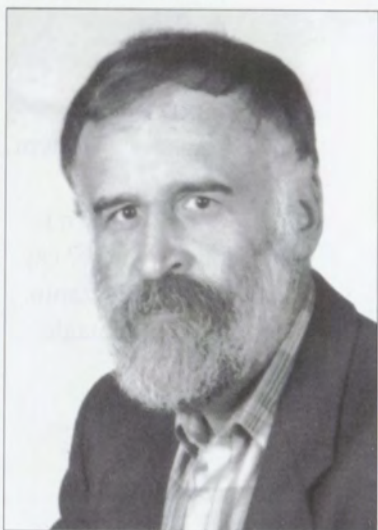
widocznie
tego nie widać bo
co prawda to jasne
lecz rozświetla się
tylko wewnątrz

głos który
sam się zagusza

wzrok który
sam się odwraca

ciemność
co się zapadła

Leszek Szaruga



Fot. Archiwum „K.A.”

Andrzej Szuba

Postscriptum CCXVI

byłyby wiarygodne
gdyby zwiędły
vincent

Postscriptum CCXVII

istniejesz
jako epizod
w życiu tego zdania

Postscriptum CCXVIII

aby ktoś mógł
wglądnać w lustro
za ciebie

Postscriptum CCXX

świadomość że słowa to w istocie kropki cudzysłowy
dwukropki łączniki myślniki nawiasy przecinki średniki
wielokropki wykrzykniki pytajniki mnóstwo pytajników

Postscriptum CCXXII

niepotrzebnie zdążyłeś
na błysk flesza
teraz będziesz do czasu

Postscriptum CCXXVI

drogą
było szukanie
nieistniejącej drogi

Postscriptum CCXXVII

tyle ile dostrzeżesz
w prześwicie między
nieistnieniem a nieobecnością

Postscriptum CCXXVIII

jest skoro
nie sposób
go pomyśleć

Postscriptum CCXXIX

wybrzmiewanie oddechu
i uważność
wsluchującego się boga

Postscriptum CCXXX

był to znaczy
czerpał pociechę z doczesności
ustawicznych pożegnań

Postscriptum CCXXXI

jesteś który jesteś
dzięki danej nam
łasce lęku

Postscriptum CCXXXII

cztery
słowa
za dużo

Andrzej Szuba



Fot. Tadeusz Smykiewicz

ks. Janusz A. Kobierski

Przypowieść o Don Kichocie

1.

Oto Don Kichot,
cień człowieka,
na chudej chabcie,
kopią przebija
nieboskłon.

Kłaniają mu się wiatraki
jak potwór stugłowy.

Zmyślonego czarownika Frestona
co krok odgaduje
w zdarzeniach
codziennych.

W myślach jego królową
niejaka Dulcynea,
dziewucha, co śpiewa w polu
przy znojnjej robocie.

Dla niej krzyczy po nocach.
Wyznania od serca układa.

Nie wyszedł z ogrodu
chłopięcej wyobraźni.
Poznaje kraj
inny od romansów
i niepodobny
do rodzimej La Manchy.

Giermek Sancho Pansa
srodze dziwi się temu.
To on stąpa twardo po ziemi,
choć na ośle jeździ.

Pan fruwa w obłokach
romantycznych rojeń.
Sługa ciągnie go w dół
ku prozie życia.

Dwie połowy jednej całości –
niepełnej.

Miquel Cervantes de Saavedra,
jednoreki urzędnik podatkowy,
wymyślił ich
na swoją chwałę,
a utrapienie nasze.

Lecz tacy też potrzebni,
bo pokazują świat fantazji,
co się układa

w metaforę życia
ciągle niezgłębioną.

2.

Przykład dla zgorzkniałych
stanowi to duże dziecko
w zbroi,
mądre naiwnością
i naiwne mądrością.

Rycerz błędny
bezbłędnie przemierzający świat.

Oczarowany nim
na amen.

Retoryka

Otworzyć, czy zamknąć.
Powiedzieć, czy zamilczeć.
Zniszczyć, czy ocalić.
Odejść precz, czy zostać.
Za czyli też przeciw.
Na zawsze czy nigdy.
Po co i dlaczego.

To wszystko

Nie gonię już widnokregu.
Stoję w miejscu i czekam,
aż życie zatoczy wokół koło.
I zamknie się we mnie
czas i przestrzeń.

ks. Janusz A. Kobiński

Krzysztof Lisowski

Zbiegi okoliczności?

(O Henryku Wańku, paru obrazach, lekturach
i koincydencjach)

Kiedy po roku medytacji, kontemplacji obrazu, rozmów i powolnego zaprzyjaźniania się z właścicielami jednej z krakowskich galerii zakupiłem obraz Henryka Wańka *Wirowanie* (akwarela z 1998 roku), autor, powiadomiony przeze mnie o tym fakcie, stwierdził, że przyśle mi inną akwarelę z tego okresu/etapu/cyklu – jak się wyraził – „SKOŃCZONA”.

Nie był to jednak początek znajomości z coraz bardziej intrygującym mnie artystą. Ten początek sięga czasu wspólnego pojawienia się w katalogu wielkiej retrospektywy Zbigniewa Kowalewskiego (luty – marzec 1998 roku) w krakowskim Pałacu Sztuki; sąsiadowały w nim wypowiedź-wspomnienie Wańka i mój wiersz o niesieniu obrazów, które potem „rozkwitwały” na ścianach, pojawiały się na nich, dostrzeżone po miesiącach niewagi, nowe szczegóły.

Wirowanie, które nazwałem *Trąbą powietrzną* (może powinno zwać się *Trąba Boża*; swoją drogą każdy musi nazywać swoje ulubione obrazy, wiersze,

Henryk Wańek, *Wirowanie*.

melodie własnymi słowami; „własne” słowa modlitwy lepiej pewnie sławią Pana; mój siostrzeniec – chłopiec utalentowany, odniósł wrażenie, że to słoń-niszczyciel kroczy przez świat zielonego, wiosennego pejzażu, i swemu widzeniu poświęcił wiersz!) zawiesiliśmy w największym pokoju naszego mieszkania, tam gdzie wiszą obrazy nauczyciela i mistrza Henryka Wańka ze studiów w katowickiej filii krakowskiej ASP – Zbigniewa Kowalewskiego.

Nawet sąsiedzi, nie interesujący się specjalnie sztuką, dostrzegli podobieństwo (także pokrewieństwo w kładzeniu kolorów) w istniejących teraz „przypadkowo” obok siebie pejzażach Mistrza i Ucznia.

[Może się wydać niewiarygodnym, że przy osobliwej intensywności moich kontaktów z Kowalewskim wcale nie znałem jego twórczości – ani obrazów, ani rysunków, ani obiektów scenograficznych (nie widziałem Dejmkowskiej *Pieśni o Chwalebnym Zmartwychwstaniu*, do której Kowalewski wykonywał „świętki”). W ogóle nie miałem pojęcia, jaki rodzaj twórczości uprawia, poza zdawkową – i myślącą, jak się okazało wiele lat później, informacją A. Hoffmana, że Kowalewski jest „kapistą”. Ta dezinformacja pewnie osłabi-

ła moją ciekawość, bo od kapizmu odpychała mnie dysproporcja między „obrazem” a „malowaniem”. Dopiero szesnaście lat po tym, jakieś się w akademii rozstali, znalazłem się – raczej przypadkiem – na wystawie obrazów Kowalewskiego. To, co zobaczyłem, poruszyło mnie ze szczętem. Nie tylko nie dostrzegłem kapizmu, ani innego „izmu”, a jedynie zamykający usta wykład o możliwości pogodzenia interesów obrazu z „czystym malowaniem”, czyli niewinną zabawą z farbami. Nie mam wątpliwości, że gdyby nie to spóźnienie, gdybym zobaczył malowidła Kowalewskiego kilkanaście lat wcześniej, zostałbym jego epigonem, choć niekoniecznie rozumiałbym ich podstępną mądrość. I piękno. Więc stosunek mistrz-uczeń w tym przypadku należy brać z ostrożnością. Gdy sam byłem – krótko – nauczycielem, zauważyłem dość wcześnie, że nie tylko nauczam, ale też uczę się – dla i od uczniów. Pewnej nocnej ulewy w Krakowie Kowalewski powiedział mi: „nie wiesz, chłopcze, jak wiele się od ciebie nauczyłem”. Rozumiałem to dobrze i chciałem go pocałować w dłoń. Ale się tylko objęliśmy pod jednym parasolem.]*

Jakże inaczej interpretuje *Wirowanie* sam artysta! Pisze o czasem zbyt natrętnym znaku spirali:

...odniesienia są różne, do ekstatycznego tańca tzw. wirujących derwiszów, tańca Kali, tańczących chasydów, Cyganów etc., etc. Chodzi o ruch okrężny, tak dobrze znany dzieciom, które dopiero co opanowały stanie na nogach.

Kto ciekaw szczegółów, ten winien zapoznać się z fragmentami traktatu Wańka *Vortex Divinus (Do Słońca)*:

*

Wyjdź z domu. Pójdź daleko. Udać się tam, skąd widać, jeśli nie wszystko, to przynajmniej dużo. Jak najwięcej. Zatrzymaj się. Sprawdź, czy aby nie tu właśnie jest miejsce, od którego zaczniesz.

*

Wśród niezwykłości wirowania jest też i ta: gdy już smuga słonecznego światła, złowionego przez oczy, stanie się kręgiem zamkniętym – zwykle jest to jasność biała – może się nagle przemienić w tęczę, niespotykaną w naturze na inny sposób. Jest to widowisko piękne i znak, że jasna, ciepła, ognista i boska energia słońca osiągnęła szczególną sublimację.

* W nawiasach kwadratowych znajdują się niedawne uzupełnienia Henryka Wańka do napisanego przeze mnie tekstu. K.L.

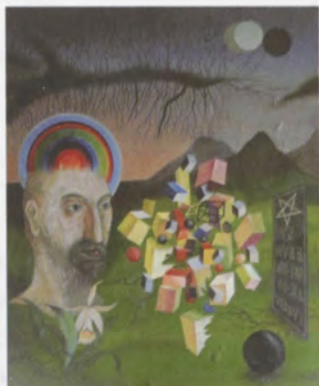
*

Podobnie jak wcześniej szła w ciebie – przez stopy i nogi – energia ziemiska, tak i wtedy, gdy smuga jasności staje się poziomą tęczą, przenikają do ciebie energie pochodzenia słonecznego. One są właśnie sensem tego tańca i najważniejszym z darów słońca.

Mój sąsiad, oglądając *Wirowanie*, mówi o swej „nienawiści” do niektórych obrazów (jakieś róże na ciemnym tle w swoim mieszkaniu chętnie by zniszczył) – czyżby kołatał się w nim niespokojny, gniewny duch ikonoklasty (nad tym problemem – portretować czy nie portretować dzieło Boże – od dawna zastanawia się Waniek).

Gdy zacząłem zawiadamiać – to coś w rodzaju, wcale nie wynikającego z ludowych wierzeń, choć kto wie, inspirowania swego rodzaju „łańcuszka św. Henryka” albo też innego „chlebka świętojańskiego” – chleb rzucony na wody płynące powróci do ciebie – znajomych o zdobyciu obrazu Wańka (zacząłem się nim interesować odwiedzwszy galerię „Inny Świat” Tadeusza Nyczka i Macieja Szybista przy ulicy Floriańskiej 37 w Krakowie w połowie lat 80. ubiegłego wieku; galeria dawno już nie istnieje, ale wrażenie zetknięcia się z tamtą magią pozostało), znajoma graficzka z Poznania oznajmiła mi, że obraz jej się podoba, a ona sama wzrastała „pod” innym dziełem malar skim Henryka Wańka, w mieszkaniu rodziców, którzy przy jakiejś okazji dostali to dzieło od artysty.

Dzieło Henryka Wańka wiszące na ścianie poznańskiego mieszkania nosi tytuł *Autoportret z orchideą*, datowane jest na sierpień 1968 roku. Orchidea w symbolice kwiatowej oznacza k a p r y s; pensjonat w Szklarskiej Porębie – prawdopodobnie z widokiem na góry – nosi również nazwę „Orchi-



Henryk Waniek, *Autoportret z orchideą*, awers i rewers – własność prywatna.

dea"... Przypuśćmy, że tam właśnie malarz ogląda ten widok: Sudety w rozkwitach późnego lata.

[Ciekawe. Zupełnie nie przypominam sobie takiego obrazu. Tylko coś, bardzo mgliście. To prawie prehistoria. W całym życiu namalowałem – wyjątkowo – kilkanaście portretów. W tym trzy autoportrety. Jeden pamiętam. Drugi – *Wspólny nagrobek Joanny i Henryka* – czasami widuję u Wojtka Siemiona. Więc to pewnie ten trzeci. Tylko dlaczego z orchideą? W sierpniu 1968 roku byłem gościem przyjaciół na wsi, pod Częstochową. Najpierw zbieraliśmy muchomory w lesie, a potem z tarasu spoglądaliśmy na eskadry samolotów, lecące na Czechosłowację. Więc – z orchideą? Czyżby to jakiś rewers do *Kameliowej Damy*?]

W relacji z paryskiej wystawy poświęconej MELANCHOLII przypomniano, że starożytni umiejscawiali „źródło” tego rodzaju uczucia/samopoczucia w śledzienie. Anglicy to światoodczucie nazwali właśnie od śledziona – spleenem. (O tym samym podobno wspomina Walter Benjamin w swoich *Pasażach*.) Melancholia towarzyszy myśleniu o duszy – teraz i zawsze, o jej bezkształcie i sile, o więzach łączących ją z ułomną cielesnością jej czasowego mieszkania.

24 listopada 2005 odbieram z poczty przesyłkę – obraz / akwarełę Henryka Wańka pt. *Animula* – z tej samej serii, co obraz przeze mnie już posiadany. Rzecz malowana również tamtej wiosny. Wokół obrazu wije się napis; tekst łacińskiego wiersza.

Przepisuję za Władysławem Kopalińskim: „*Animula vagula blandula* = początek słynnej strofy, przypisywanej przez Aeliusa Spartianusa (*Życie Hadriana*) cesarzowi rzymskiemu Hadrianowi, otwierający poemat (łac. *Morientis, Ad animam suam*, 138 ne) apostrofą umierającego do swej duszy:

Duszyczko ulotna, miła, gościu, druhu mego ciała, dokąd wybierasz się teraz, blada, smutna, zagubiona, bez swej dawnej wesołości?

Pisałem w dawnym wierszu o „duszecze” po wstrząsie wynikłym z poznania tej apostrofy. Czy przyszło to razem z lekturą tekstów teoretycznoliterackich i programowych neoklasycysty, Jarosława Marka Rymkiewicza, już nie pamiętam.

Nasz wieszcz Adam pisze natomiast (to przypomina mi Mateusz – siostrzeniec):

Uciec z duszą na listek i jak motyl szukać
Tam domku i gniazdeczka –

Być pacjentem biedronki?

Henryk Waniek, *Animula*.

W tym samym dniu zostaję posiadaczem *Osobistego sekretarza* – płótna Milady Kowalewskiej. Dziewczynka z kotem o żółtych oczach; sekretarz, który zawsze dotrzymuje sekretów.

Pani Milada przebywa w tym czasie w szpitalu, po wylewie. Wraca do zdrowia. Niedawno rozmawialiśmy z nią o Henryku Wańku – chwaliła nie tylko jego obrazy, ale i pisarstwo; ponieważ szykuje duszę do dalszej wędrówki, zamierzała ofiarować mi powieść Pana Henryka *Dziady berlińskie*, której jeszcze nie czytałem.

Następnego dnia poznaję jeden z wierszy „najkrótszych” Audena w przekładzie Pawła Marcinkiewicza:

Marzenie poety: być
jak ser wyrabiany w jakiejś dolinie,
lokalny, lecz ceniony gdzie indziej.

U Wańka prawie na każdym obrazie figuruje góra, samotny, lub podwójny, szczyt nad doliną, wyrastający z płaszczyzny, czasem lekko pofałdowanej. Poeta może mieszkać w tej dolinie – malarz patrzy na pejzaż z innego wzniesienia, obejmuje wzrokiem sporą przestrzeń – aż po horyzont. Widzi miejsce, które łączy trwale „niskie” z „wysokim”, bo nie jest to przecież tęcza – chwilowe przymierze Boga z ludźmi, a coś trwałego; ziemia i skała wypiętrzona w szczyt.

Waniek pojawia się i znika – podróżuje przez swe wieczne Góry Śląskie, gdziekolwiek jest: w Nowym Jorku, Bratysławie, Monachium gdy trwa tam (zroszona krwią) olimpiada, w ogrodzie na Saskiej Kępie, gdzie euforianty pozwalają jego przyjaciółom rozwierać szerzej „bramy percepcji”.

Cesarz Hadrian, Hiszpan z urodzenia, miał także skłonność do peregrynacji, albo i czuł obowiązek przemieszczania się. Pomyślmy – dwunastoletnia podróż inspekcyjna aż do najdalszych prowincji imperium. Umarł zmęczony życiem, zgnębiony chorobami, młodszy niż dziś nasz artysta, wierny jednemu górom, pejzażyście, któremu otwierają się tajemnicze furtki w krajobrazie, a nad „fizyką” ujawnia się „meta-fizyka”.

Przywołany wiersz Hadriana dotyczy – znów – wędrowania, raz jeszcze, i ostatni, ale w miejsca nie tylko nieznanne, ale i w swojej tajemniczości nieprzewidywalne. Zapewne tam, gdzie przebywa Hektor (Hadrian jest także autorem innego utworu, w którym przemawia do Trojańczyka: „jeśli mnie słyszysz pod ziemią...”).

Przez całe lata budował dla siebie mauzoleum, którego miejsce zajmuje teraz Zamek Świętego Anioła w Rzymie – z posągami (od połowy XVIII wieku) Michała Archaniola na szczycie Tego samego, którego podobiznę widziałem na Thassos nad bramą klasztoru. Potężnego skrzydlatego Posłańca, który tak łatwo, przy pomocy swego miecza, odnajduje źródła świętej wody w skałach. Ten nad-Anioł to przecież bliski krewny Wańkowego Hermesa, obsesyjnie przywoływanego bohatera jego tekstów.

Obraz Wańka wiszący na ścianie mieszkania w Poznaniu przedstawia dziwny autoportret artysty: zamyśloną, wpatrzoną w przestrzeń twarz, wyrastającą z płaszczyzny zielonej łąki, przed twarzą rozkwitła orchidea, nad głową barwna mandala-tęcza, obok kłębowisko różnobarwnych brył i kul, na granatowej tablicy odwrócony napis i pentagram, nad górskim łańcuchem, w tle, na wieczornym niebie kilka księżyców (?).

Czy znamy inne portrety z kwiatnym czy roślinnym atrybutem? Kopernik z konwalia, przykłady z *Ikonologii* Kawalera Cesarego Ripy z Perugii, liczne wyobrażenia Wiosny czy Flory (choćby śliczna *Flora* Bartolomeo Veneto).

To nieprzypadkowe zestawienie, bo kwiat nie stanowi prostego elementu tła, jak i inne detale obrazu – jest składnikiem wtajemniczenia, dodatkowym znakiem alegorycznego przekazu. *Allegorein* znaczy po grecku „mówić inaczej”, i tu Waniek zdaje się nawiązywać do starożytnych, głoszących, że malarstwo to niema poezja, a poezja to mówiące malarstwo. *Animula* okaże się

sprzęgnięciem tych poglądów w jeden, charakterystyczny rodzaj artykulacji znaczenia.

Zygmunt Kubiak w przypisie do antologii *Muza rzymska* notuje, że *Animula*, wiersz *Do swojej duszy*, napisał Hadrian na kilka dni przed śmiercią, do której przygotowywał się pracowicie. Zachęcał też do niej ponoć stoika Eufratesa, rozmawiając z filozofem o nicości życia, gdy ten zamierzał popełnić samobójstwo i prosił cesarza o radę.

Dlaczego inspirują nas, pobudzają wyobraźnię tego rodzaju mądrościowe opowieści, starożytne dykteryjki, rozmaite „gesta”? Bo opowiadają bajeczne historie, budują mit? A my lubimy bajki i mity.

Waniek w swych obrazach także opowiada baśń, odnawia mity, pokazuje, gdzie znaleźć można prześwity w czasie, ścieżki między przestrzeniami widzialnymi i wyobrażonymi, istniejącymi w rzeczywistej wędrówce i prowadzącymi po śladach marzenia.

Waniek w swej *Animuli* zmienia „typowy” układ elementów – zamiast wieży kościoła jako centrum – korespondującego – z nieodległym wzniesieniem, pokazuje komin jakiejś fabryczki, bezludny pejzaż postindustrialny, w pobliżu którego dusza już odczłowiecza się, już odcieleśnia. Nie pojawia się też góra, jest za to rzeka, wyraźnie rozgraniczająca artefakt od „naturalnego” i duchowego.

Na przeglądarce Google znajdziemy ok. 2400 dokumentów na hasło „Henryk Waniek” – jak pisze do mnie w ubiegłym roku artysta: rozproszone obrazy, istny śmietnik albo labirynt.

Jakże w nim nie zblądzić?

Ważne jest, to co mówimy teraz, bo przecież w samym dziele pisarskim Wańka – jak przekonamy się za chwilę – znajdziemy poglądy/sądy/przekonania/sympatie, które także tworzą rodzaj labiryntu (czy labirynt jest „spójny”? – nie umiem na to pytanie odpowiedzieć).

Waniek (w czerwcu 2005):

... ja już malowanie traktuję wyłącznie jako technikę spotykania się ze sobą. Pisanie tego nie daje, jest żmudną harówką, przymusem wciągającym w gąszcz języka, który jest bestią. Maluję więc rzadko. Co prawda marzy mi się, żeby jeszcze kiedyś, ale wtedy znów powróci ten dylemat: publicznego objawiania swej intymności. Nie jestem więc pewny, czy malarstwo i w ogóle konstruowanie obrazów nie jest dziś absolutnym anachronizmem, szczególnie wobec bezwzględного kultu malarskiej „niepełnosprawności”, a najlepiej w ogóle unikania „dział”. Czasem odnoszę wrażenie, że ten język się już zużył. A przynajmniej ja wypowiedziałem w ten sposób wszystko co było do powiedzenia. Mógłbym w nieskończoność powtarzać najbardziej udane ze swych prób, jak to nagminnie czynią nasi współcześni „mistrzowie”, ale chyba trochę bym się wstydzil.

No, nie wiem. Wielu rzeczy jeszcze nie wiem.

Gdybym miał pisać teraz wiersz o sytuacji artysty i przesłaniach jego sztuki, wskazówkach i tropach interpretacyjnych, skończyłbym go słowami:

uciekam przed wami
za sobą zostawiam labirynt

Przywołajmy i dawniejsze myśli Wańka – cenne spostrzeżenia albo tego rodzaju zwierzenia, które pokazują, zawsze chyba aktualny u tego artysty, wybór dróg poznania. Może to tylko lekkomyślna zabawa w rodzaju: z rozrzuconych elementów stwórz czyjś, chwilowy, portret.

Wszędzie mam być dokładnie w chwili, w której być powinienem.

Z samych budynków, parków, ulic i zaułków; z krótkich nocy i błędnych dni; z iluzji i prawd; dałoby się ułożyć labirynt bez końca.

Mogę nie rozumieć książek, ale nie lubię się z nimi rozstawać.

Ale sobie – miłośnikowi koincydencji – nie muszę wyjaśniać...

Filozof nie musi zachwycać się światem ludzkich twórców. Wystarczy, że go obejrzy, zobaczy, lub nawet zdziwi się nieco. Nic więcej nie jest dłużny miastom, świątyniom, krajom ani ludzkim burzom. (...) Mędrcom – mówił dalej – wystarczy widok nocnego nieba. Ale nocy spędzonej na mądrym widzeniu, potrzebny jest wprzód dzień, dla nastrojenia instrumentów postrzegania. Wszystko, co widzimy za dnia, służyć ma dobru nocnego widzenia – nieba, snu, spokoju.

Podobnie jak mosty, tak i muzea umożliwiają przechadzkę ponad przemijaniem. Dają szansę spojrzenia z góry na ten niepowstrzymany tok żywiołu.

Nie ma, o ile wiem, wykazu dzieł, które przeistaczałyby nas wewnątrznie. Bez względu i w każdych okolicznościach. Nie ma wskazówek co do tego, jak i gdzie szukać. Jak się wystawiać na ich transcendentalne działanie?

Świat może zginąć. Mogą ginać imperia, cywilizacje i religie. Ale tęcza pozostanie na wieczność.

W Chinach istniał zwyczaj stawiania mostów, których budowniczym nie był potrzebny pretekst rzeki lub przepaści. (...) Według przekazów zwyczaj ten – w odczuciu ludzi Zachodu absurdalny – został wprowadzony przez pierwszego cesarza z dynastii Han. Chciał on tym sposobem upamiętnić jakoby miejsca, gdzie zdarzyło mu się zobaczyć tęczę.

Czas jest dziurawy jak rzeszoto. Pełno w nim szczelin, dziur i rozwidleń. A za nimi – kto wie? – inne czasy. Inna historia. Inny rytm. Oto wyzwanie dla prawdziwego chrononauty: poruszać się w czasie we wszystkich pożądanym kierunkach.

Bywa, że rytm rzeczywistości nagle gmatwa się na naszych oczach. Obserwujemy jak świat przenika niezrozumiała konwulsja. Wydarzenia godzą w nas boleśnie: czas na chwilę omdlewa lub zatrzymuje się, jakby zdumiony atrofią mocy. Jakieś obłoki czerwcowego popołudnia nieruchomieją jak zaczarowane. Wszystkie heraklitejskie rzeki wstrzymują bieg i świat jakby przestawał istnieć. Tak to trwa przez niepokojącą chwilę, po czym znów rusza do przodu.

I jeszcze ci, którym Waniek radzi poświęcić więcej uwagi: Platon i Pitagoras, święty Augustyn i Szekspir, Ernesto Sabato i Kafka, Magritte i Get-Stan-kiewicz. I przyjaciel od lat młodzieńczych, Henryk Fantazos-Ziembicki, z którym przekładali Platoński dialog z greki na „górnio-śląski”.

(To wypisy zaledwie z jednej książki, dość dawnego zbiorku esejów *Pitagoras na trawie*. A gdyby w ten sposób przejrzeć powieści Wańka, najnowszy tom szkiców – *Martwa natura z niczym?*) Takie wędrówki zafundować sobie może każdy...

I ja, piszący te słowa, przenoszący tę Informację, Krzysztof-*Christophoros*, mam za kuzyna Hermesa; mój imiennik, święty Krzysztof (prostoduszny olbrzym – gdzież mi do jego praktycznej pobożności!) przynosił Chrystusa przez rzekę, Dobrą Nowinę z jednego brzegu na drugi brzeg tego świata.

Krzysztof Lisowski



Beckett w „Kwartalniku Artystycznym” 2006 nr 3-4 (51-52)

Jakub Kornhauser

transakcja

nie posiadając zbyt wielu
cech uważanych powszechnie
za zalety
udałem się na targ
do pewnego miasteczka
gdzie jak słyszałem
dysponują szerokim asortymentem
potrzebnych mi towarów
faktycznie mimo deszczu
nabyłem drogą kupna
całkiem świeży pakiet zalet
zestawy wychodzą taniej
a w nim:

Jakub Kornhauser, ur. 1984 w Krakowie, studiuje rumunistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim; jako prozaik debiutował w 1/2006 nr. „Odry”. Mieszka w Krakowie.

punktualność
elokwencję
pracowitość
schludność
zapakowałem nabytek do siatki
uważając żeby nie zmókł
ruszyłem przed siebie
niestety na pasach poślizgnąłem się
i przejechał mnie autobus

ze zrozumiałych względów
nie dowiedziałem się nigdy
jaki los spotkał moje zalety
ale mam nadzieję
że trafiły na podatny grunt

odbicie w witrynie August Macke (1887–1914)

a jednak jesteś tam
choć długo nie dawałeś znaku
świadczysz o mojej wolności
będąc jej ograniczeniem
próbowałem żyć tobą
zastąpić cię
przynajmniej na jakiś czas
imituję twoje gesty
zawsze majestatyczne doskonale
zacząłem nawet nosić
kapelusz podobny do twojego
zamieszkałem w szalasię
aby zasmakować twej nieuchwytności
mimo to nie udało mi się
kiedy zdecyduję się odejść
obdarzysz mnie pamięcią

cisza

okruszki będące kiedyś
ważnym fragmentem żytniego chleba
bądź bagietki, choć rzadziej
wirowały w zimowym powietrzu
przed dotknięciem wody
zimowej wody a zaraz potem
znikały w dziobach wygłodniałych kaczek
które uwielbiały obserwować
ten niezwykajny spektakl
szczelnie wypełniały widownię
spragnione przeżyć estetycznych
kawałki skórki niczym motyle
unosily się w powietrzu lśniąc
muślinowe okruszki
umiejętności akrobatyczne
braw nie było slychać
zimowych braw

Jakub Kornhauser

KWARTALNIK ARTYSTYCZNY

KUJAWY I POMORZE

w 2005 roku



2005 nr 1 (45): Krzysztof Myszowski, *Skala* (na odejście Jana Pawła II); HAROLD PINTER – Harold Pinter, *Pokój*, *Pisanie dla teatru*, *Mowa wygłoszona w Izbie Gmin*; Bolesław Taborski, *Harold Pinter: komedia ludzka czy absurd istnienia?*; Barbara Bray, *Dawne czasy*, *O Haroldzie Pinterze...*; *Utwory dramatyczne Harolda Pintera*; *O Haroldzie Pinterze*. *Materiały biograficzne i wywiady*; ostatnie wiersze Ludmily Marjańskiej; nowe wiersze Aleksandry Oledzkiej-Frybesowej i Marii Kaloty-Szymańskiej; Michał Głowiński prezentuje wiersze Eligjusza Pieczyńskiego; *Varia*: Mirosław Dzień, Michał Głowiński, Aleksander Jurewicz, Leszek Szaruga, Zbigniew Żakiewicz; *Recenzje*; *Noty o książkach*.



2005 nr 3 (47): Wisława Szymborska, *Stary profesor*; Tadeusz Różewicz, *Nie karać, ale wychowywać*; CZESŁAW MIŁOSZ – Czesław Miłosz, *W garnizonowym mieście*; *Wzwanie i zadanie* – z Czesławem Miłoszem rozmawiają Janusz Kryszak i Krzysztof Myszowski; Czesław Miłosz na fotografiach Andrzeja Miłozza i Antoniego Miłozza; „*Żeby dawać te rady, sam musiałem przejść ewolucję*” – listy Czesława Miłosza do Krzysztofa Myszowskiego; *Głosy i głosy w 1. rocznicę śmierci Czesława Miłosza*; Kazimierz Brakoniecki, Mirosław Dzień, Michał Głowiński, Henryk Grynbarg, Julia Hartwig, Aleksander Jurewicz, Bogusław Kierca, Janusz Kryszak, Krzysztof Lisowski, Krzysztof Myszowski, Grażyna Strumiłło-Miłosz, Janusz Szuber, Adriana Szymańska, Bolesław Taborski, Zbigniew Żakiewicz; *Tam i z powrotem* – Kraków, ulica Bogusławskiego 5, 26 lipca 2000 roku (fotografie); *Psalm 130* w tłumaczeniu z hebrajskiego Czesława Miłosza; Aleksander Fiut, *Na granicy wiary i niewiary* (o ostatnich wierszach Czesława Miłosza); nowe wiersze Adriany Szymańskiej, Krzysztofa Lisowskiego, Agnieszki Kuciał, Jacka Dehnela, Aleksandry Kremer (debiut); Aleksander Jurewicz, *Nokturn* (fragment powieści); szkic Piotra Szewca o grafikach Leszka Rózgi; *Varia*: Michał Głowiński, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Zbigniew Żakiewicz; *Recenzje*; *Noty o książkach*.



2005 nr 2 (46): JOSIF BRODSKI – Josif Brodski, *Ekloga IV Zimowa* w przekładzie Adama Pomorskiego; Jacek Bolewski SJ, *Znaki z wody – Wenecja*. *W cieniu Josifa Brodskiego*; wiersze Nelly Sachs w tłumaczeniu Ryszarda Krymickiego; poemat Witolda Wiprzy; nowe wiersze Kazimierza Hoffmana, Janusza Szubera, Bogusława Kierca, Józefa Kuryłaka, Janusza Stycznia, Bolesława Taborskiego, Agnieszki Kuciał; eseje: Krystyna Rodowska o poezji Julii Hartwig i Mateusza Antoniuka o poezji Zbigniewa Herberta; Marzena Broda, *Luka* (fragment powieści); *Varia*: Michał Głowiński, Aleksander Jurewicz, Janusz Kryszak, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Zbigniew Żakiewicz; *Recenzje*; *Noty o książkach*.



2005 nr 4 (48): Tadeusz Różewicz, *barwy Rzymu*; FRANCIS BACON – Tadeusz Różewicz, *Francis Bacon czyli Diego Velázquez na fotelu dentystycznym*; Marek Kędzierski, *Francis Bacon: śluz ślimaka i ślady ludzkiej obecności*; Sam Hunter, *Francis Bacon: anatomia grozy*; David Sylvester, *Malarz jako medium*; Gilles Deleuze, *Logika wrażenia*; Daria Kołacka, *Obraz – afekt*, *Stein*, *Eisenstein*; Paweł Leszkowicz, *Homoseksualny Bacon*; Ewa Sonnenberg, *Kobiety Bacona*; Daria Kołacka, *Spacer po Soho: modele Francisca Bacona w fotografiach Johna Deakina*; Francis Bacon w rozmowach z Michałem Peppiattiem; Francis Bacon, *Nota biograficzna*, *Bibliografia*; Wkładki z kolorowymi reprodukcjami obrazów Francisca Bacona; *Varia*: Michał Głowiński, Krzysztof Myszowski, Leszek Szaruga, Piotr Szewc, Zbigniew Żakiewicz; *Recenzje*; *Noty o książkach*.



Zapraszamy na naszą stronę internetową

www.kwartalnik.art.pl

NUMER BIESIĄCZKI | NUMERY ARCHIWALNE | BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO

VARIA

Michał Głowiński

Rusycysta Mordechaj

Historyjki o tym, co przytrafiło się w czasie, gdy odbywało się służbę wojskową, należą do folkloru męskiego, stanowią jego klasyczną formę. Nie zamierzam jej uprawiać – nie tylko dlatego, że moje doświadczenia w tej materii są niewielkie i wyzbyte wszystkiego, co mogłoby kogokolwiek zainteresować, a więc nie warto tego, by podjąć trud ich przedstawiania. Wspomnę tylko, że były dość specyficzne i raczej niekonwencjonalne, bo w latach moich studenckich istniało na uniwersytecie studium wojskowe, co pozwoliło nam odrabiać służbę bez przerywania nauki; zajęcia odbywały się raz na dwa tygodnie – od siódmej rano do siódmej wieczorem. Kazano nam wdziawać na własne ubrania brudne i w wielu przypadkach podarte kombinezony – i w ten sposób przemieniano w rekrutów. Wspominam o tym nie po to, by przywoływać przykrości, jakich zaznawałem – i nie tylko dlatego, że nie umiałem z siebie wyluskać ani grama zainteresowania dla kwestii militarnych, a przy tym nie nosiłem w sobie niczego, co mogłoby sprawić, że miałbym szansę stania się dobrym żołnierzem choćby w skali najmniejszej, nieustannie – jak się mówiło w charakterystycznym studenckim stylu – podpadałem. Uczono nas zresztą nie tylko posługiwania się bronią, musztry i regulaminów (czyli tego, „co żołnierz może”), ogromnie dużo czasu poświęcano na tak zwane przedmioty ideologiczne, które w wersji, jaką nadawali im oficerowie, będący specjalistami w tej osobliwej dziedzinie, były jeszcze bardziej prymitywne, jeszcze bardziej nasycone agresją i złośliwością niż w ujęciach cywilnych.

Jednakże nie o tym chciałbym opowiadać, w ostateczności są to sprawy niezłe znane, a gdyby chcieć odtworzyć język, jakim do nas mówiono, powstałby efekt niezamierzenie groteskowy, nieliczni bowiem nasi mundurowi preceptorzy jedynie słusznej ideologii wypowiadali się choćby w miarę poprawną polszczyzną, większość posługiwała się jakąś dziwną, pełną błędów gramatycznych, w istocie wybuchową (także dlatego, że mogła prowokować wybuchy śmiechu) mieszaniną takiej lub innej gwary, najczęściej wschodnio-polskiej, przede wszystkim z terenów, które znalazły się poza

granicami, oraz nowomowy w jej postaci najskrajniejszej, wyjątkowo szkaradnej, takiej, jaka dominowała nie tylko w prasie przeznaczonej dla wojskowych, ale zapewne również na rozmaitych ideologicznych szkoleniach i odprawach, organizowanych gwoli pouczenia oficerów politycznych i ciągłego aktualizowania ich poglądów. Przyznaję, że choć to i tamto z owego osobliwego mówienia pamiętam, nie umiałbym go po półwieczu z okładem odtworzyć. Ale – podkreślam – nie taki jest cel mojego skromnego narracyjnego przedsięwzięcia, pragnę bowiem przedstawić pewną ulotną sytuację, której byłem przypadkowym świadkiem. Zapamiętałem ją, mogę więc bez kłopotu do niej powrócić.

Ale żeby to uczynić, a także pozbawić moją opowieść ryzyka niejasności, muszę przywołać jeszcze trochę realiów. Rozpoczywałem studia w roku 1951, istniał wtedy Wydział Filologiczny, który – o ile wiem – z biegiem lat podzielony został na kilka jednostek odrębnych. Zajęcia wojskowe prowadzone były według roku studiów i wydziału. Nasza kompania złożona była z filologów. Dominowaliśmy w niej ze zrozumiałych powodów my, poloniści, nas było najwięcej, no bo to była sekcja najliczniejsza, a nie uległa ona jeszcze – jak to się stało w następnych dziesięcioleciach – tak wielkiemu sfeminizowaniu. Grupy romanistów i anglistów, filologów klasycznych i orientalistów, były raczej skromne, a sławistów zapamiętałem trzech i chyba nie było ich więcej. Z widzenia znaliśmy się wszyscy, wszyscy byliśmy „na ty”, choć nie mogę powiedzieć, że znałem każdego kolegę i z każdym zamieniłem choćby dwa słowa. Ostatecznie było nas prawie stu chłopca. Znałem polonistów, choć była to grupa nie tylko najliczniejsza, ale też najbardziej zróżnicowana; myśmy po prostu byli skazani na nieustanne kontakty, bo obowiązywała rygorystycznie przestrzegana dyscyplina studiów, a więc musieliśmy wysiadywać także na wykładach będących koncentratami nudy. Koledzy z sekcji neofilologicznych robili w większości wrażenie chłopców z dobrych inteligenckich domów, takich, w których dbano o to, by od małego uczyć dzieci języków. W przyjmowaniu na studia ogromną rolę grały w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych tak zwane kryteria klasowe, w tym wypadku – jak się zdaje – stosowano je nieco luźniej, uznano zapewne, że znajomość francuskiego bądź angielskiego jest jednak dość istotnym argumentem przemawiającym za wręczeniem indeksu.

Robiąc ten zdawkowy przegląd, nie wspomniałem o germanistach i o rusycystach. Stało się tak z różnych powodów. Germanistyki wówczas – kilka lat po upadku hitlerowskich Niemiec – na Uniwersytecie Warszawskim

nie wykładano, nie można zatem było oczekiwać, że jej adepci znajdą się wśród filologów wbitych w złachane brudne kombinezony, pełniące funkcję mundurów, i odrabiających swe wojskowe obowiązki. Inaczej sprawy się miały z rusycystami, w naszej kompanii nie należeli oni do zbyt licznych, jednakże z łatwością dawali się dostrzec. Nie zapamiętałem ich zbyt wielu, mam jednak przed oczyma kolegę o charakterystycznie litewskim nazwisku, pięknym basowym głosie, doskonałej dykcji, nie wolnej zresztą od pewnego kresowego zaśpiewu. W dorosłym życiu umiał wykorzystać te swoje walory, został rewiowo-komediowym aktorem, występował w jednym z warszawskich rozrywkowych teatrów. Nigdy go na scenie nie widziałem, ktoś mi jednak kiedyś powiedział, że był ceniony i lubiany, cieszył się uznaniem stołecznej publiczności. Kiedy przed kilku laty przeczytałem jego nekrolog w „Gazecie Wyborczej”, ogarnął mnie smutek szczególnie, bo go pamiętałem z lat dawnych jako młodzieńca o wielkiej energii; dodam, że wiadomości o odchodzeniu rówieśników stają się swojego rodzaju *memento mori*, choć w istocie tym, którzy osiągnęli pewien wiek, o śmierci nie trzeba przypominać, pamiętają o niej zawsze i wszędzie, chciałoby się powiedzieć: samoczynnie, niezależnie od okoliczności i kolejnych wydarzeń.

Rozpisałem się o tym raczej młodo zmarłym człowieku, którego zawodem stało się rozweselanie widzów, żadnych humoru i rozrywki, choć to nie on awansuje na bohatera niniejszej opowieści. Pod pewnym względem był jednak reprezentatywny dla tej grupy: rosyjskiego nauczył się tam, daleko, za siedmioma rzekami, za siedzioma górami, na Sybirze, gdzie go wywieziono wraz z rodziną po czwartym rozbiórce Polski. Dobra znajomość rosyjskiego była jedynym darem, jaki w tym wypadku pierwszy kraj robotników i chłopów ofiarował swym polskim ofiarom. Niektórzy skorzystali z tego gorzkiego prezentu i skierowali kroki na rusycystykę, mieli na niej przywilej niewątpliwie godny pozazdrosczenia: języka uczyć się nie musieli. Myślę, że ci, którzy wówczas, kilka lat po wojnie, zdecydowali się na studiowanie tej właśnie filologii, nie wynosili znajomości rosyjskiego ze szkoły. Jego nauczanie, choć stał się obowiązującym językiem obcym, dopiero raczkowało, brakowało nauczycieli, a niekiedy do pracy angażowano starszych ludzi, którzy mowę Puszkina i Lermontowa posiadli jeszcze za czasów carskich, to ich właśnie mieli zastąpić młodzi absolwenci. Moich kolegów ze studium wojskowego rosyjskiej mowy niewątpliwie nauczyło życie. Niekoniecznie zresztą na Syberii czy w Kazachstanie, mogło

to się stać gdzieś bliżej, po prostu – jak się wówczas zwykło mawiać – „za Bugiem”.

W taki zapewne sposób, a więc samoczynnie, nauczył się rosyjskiego ów słuchacz rusycystyki, o którym zamierzam opowiedzieć. Niewiele o nim wiem, nie dysponuję informacjami o jego przeszłości, nie mogę wykluczyć, że rosyjski znał lepiej od polskiego, zorientowałem się bowiem, że mówił, jeśli nie z trudnościami, to z niewątpliwym akcentem. Właściwie nie zwracałby uwagi, gdyby nie jeden element, który ujawnię za chwilę; niczym specjalnym się nie wyróżniał, średniego był wzrostu, zdecydowanie drobny, a jego twarz wydawała się nijaka, tak jakby pozbawiona była znamion indywidualnych, choć ci, co specjalizowaliby się w tego rodzaju poszukiwaniach, odkryliby w niej być może rysy specyficznie semickie. Taki niepozornie szary wygląd na studium wojskowym stanowił swojego rodzaju przywilęj, prowadzący zajęcia oficerowie i podoficerowie przed szeregiem lub do odpowiedzi zwywali tych przede wszystkim, którzy w swej powierzchowności czymś się zaznaczyli, choćby pewnego kolegę-anglistę, który był bardzo wysoki i bardzo szczupły, a do tego miał wielką płomienną rudą czuprynę; jego po prostu nie można było nie zauważyć. Mój bohater nie odznaczał się niczym takim, można powiedzieć, że bliżej niż do owego dryblasza-rudzielca było mu do człowieka bez zewnętrznych właściwości. Sytuacja radykalnej ulegała zmianie, gdy prowadzący zajęcia sięgali po listę, a w niej widniał student nazywający się Mordechaj Chaim Płoskirowski. Nazwisko od biedy mogło ująć w tłoku, choć mimo polskiej formy też było typowo żydowskie, gdyż wielu Żydów nosiło nazwiska utworzone od nazw miast, a Płoskirów był względnie sporą miejscowością, położoną na tej części Podola, która już w okresie międzywojennym znalazła się poza polskimi granicami. Imiona nie pozostawiały wątpliwości co do pochodzenia i siłą rzeczy przyciągały uwagę. Myślę, że nie włączały się tu ani ze strony wojskowych, ani kolegów intencje antysemickie, chodziło o coś całkiem innego: kilka lat po Zagładzie posługiwanie się imionami jednoznacznie żydowskimi było w Polsce czymś niezwykle rzadkim. Z wielu względów, przede wszystkim dlatego, że zamordowano społeczność, dla której były one oczywiste i – by tak powiedzieć – naturalne, po prostu należały do codzienności, tak funkcjonowały, że nie wymagały komentarza, podobnie jak w kulturze polskiej nie wymagają wyjaśnień lub tłumaczeń takie imiona jak Stanisław, Bolesław lub Tadeusz. Chodziło również o to, że wielu ocalałych zamieniało tradycyjne żydowskie imiona na polskie. Mordechaj Chaim Płoskirowski tego nie uczynił i w ten

sposób nie ukrywał swojej żydowskiej tożsamości, ktoś nawet mógłby powiedzieć, że wręcz demonstracyjnie ją podkreślał. I nie przeszkadzało mu to, że dla większości osób, z którymi się stykał, jego imiona brzmiały obco i dziwnie, stały się przejawem egzotyki.

A wydarzenie, o którym chciałbym opowiedzieć, zdarzyło się, gdy byliśmy studentami drugiego roku, na przełomie lat 1952–1953. Jeden z wątków propagandowych na wszystkie sposoby rozpowszechnianych stanowiło ówczasie demaskowanie i oskarżanie grupy pracujących na Kremlu lekarzy, których głównym i ulubionym zajęciem być miało przyspieszone wyprawianie na tamten świat wielkich postaci radzieckiego państwa i przewodzącej mu partii; lekarze ci nie zaprzestali swej zbrodniczej działalności, uprawianej od lat, szykowali nowe morderstwa, byli agentami międzynarodowego imperializmu, podstępными zabięcami w białych fartuchach, truciicielami – jak w dawnych kronikach dworskich i w dramatach Shakespeare’a. Władza radziecka wreszcie ich zdekonspirowała, umieściła pod kluczem, szykował się wielki proces. Trudno było żywić wątpliwości, oskarżani o tak wielkie zbrodnie kremłowscy lekarze byli w większości Żydami. Ich pochodzenie nie mogło ująć uwagi tych zwłaszcza, którym sprawy żydowskie były z takich lub innych powodów nieobojętne. Czyżby kilka lat po tym, jak wygasły krematoria Auschwitz i Treblinka, Majdanka i Bełżca, szykowano od nowa rzeź? O tej historii z lekarzami, o której trąbiła prasa i nieustannie głośno w radio, nie mogłem nie słyszeć, docierała do każdego, nawet tego, który unikał kontaktu z aktualiami, zajmował się swoimi małymi sprawami, a opowieści o tym, co się dzieje za kremłowskim murem, bliskie były gadkom o żelaznym wilku. Utrzymana w ostrym tonie, wpisująca się w ówczesną nachalną, brutalną i bezwzględną propagandę, kampania ta zapowiadała straszne rzeczy, ale nie zdawałem sobie z tego faktu sprawy, wołałem o tym nie myśleć.

Inna była postawa Mordechaja Chaima Płoskirowskiego. W przerwie między jednym a drugim zajęciem, całkiem głośno i donośnie powiedział coś takiego mniej więcej: o tych kremłowskich lekarzach mogą mówić i pisać, co chcą, a ja i tak w to nie wierzę, wszystko zostało zmyślone. Nie wiem, czy słowa te skierował do konkretnej osoby czy też do grupy kolegów, w każdym razie wypowiedział je tak, że dotarły do wielu, w ten sposób, jakby niczego się nie obawiał i niczym nie krępował. Było to zaskakujące nie tylko dlatego, w przerwach w zajęciach wojskowych na ogół nie rozmawialiśmy o bieżących wydarzeniach politycznych, podejmowaliśmy zapewne bardziej

nas dotyczące i mniej grząskie tematy. Było zaskakujące jako przejaw niezależności, rusycysta Mordechaj otwarcie, jawnie, bez niedomówień zakwestionował to, co tworzyło wówczas główny wątek propagandowy nie tylko w wymiarach polskich, ale w skali całego sowieckiego obozu. Zademonstrował niezwykłą odwagę, bo wówczas opinie tego rodzaju wypowiadało się szeptem i tylko w gronie tych, do których miało się pełne zaufanie. A on wyraził swoje przeciwstawne temu, co głoszone oficjalnie, przekonanie tak, jakby nie brał pod uwagę faktu, że jego słowa może usłyszeć ktoś niepowołany – i donieść. W tamtych ponurych czasach, będących wciąż apogeum stalinizmu, za taką wypowiedź można było zostać wyrzuconym z uniwersytetu, a nawet zawędrować do więzienia. Donosiciele wśród studentów nie brakowało, tak zwana Spółdzielnia Ucho działała sprawnie, jej aktywiści z pewnością nie mieli oporów i skrupułów w kablowaniu na kolegów; jedni robili to z ideologicznego fanatyzmu, przekonani, że delując, przyczyniają się do budowania świetlanej przyszłości, inni – ze strachu, jeszcze inni – ze złego charakteru bądź głupoty. Idea czujności, z ogromną siłą rozpowszechniana, była swojego rodzaju wezwaniem do donosicielstwa, traktowanego jako obowiązek moralny i obywatelski, w przypadku zaś członków Związku Młodzieży Polskiej – także organizacyjny. A wydarzenie, o którym opowiadam, mogło zostać potraktowane jako szczególnie oburzające, wręcz budzące grozę: zakwestionowano prawdziwość fabuły nadanej z centrali, chodziło przecież nie o zwykły reakcyjny spisek o zasięgu lokalnym, ujawniono serię zbrodni, które miały zachwiać posadami całego obozu pokoju i socjalizmu. Wszystko, co nadchodziło z Moskwy, traktowane było nie tylko jako obowiązujące, ale wręcz święte. Kwitła i rozrastała się swojego rodzaju stalinowska dewocja.

O ile wiem, Mordechaj Chaim Płoskirowski miał szczęście, nikt na niego nie doniósł, nic mu się nie stało. Widywałem go na naszych wojskowych zajęciach aż do końca roku akademickiego – i nadal nie przyciągałby mojej uwagi, gdyby nie żydowskie imiona i scena, która nie trwała dłużej niż kilka chwil, ale zapisała się w mojej świadomości. Ona w jakiś sposób zmuszała do myślenia – i zastanawia mnie do dzisiaj. Skłania mnie do refleksji pewien paradoks, który obecnie dostrzegam wyraźniej niż w tamtych latach. Ów młody człowiek niewątpliwie znał z własnego doświadczenia sowiecką Rosję, wszystko na to wskazywało, że doświadczył jej uroków od środka, nie mógł mieć złudzeń co do mechanizmów działających w stalinowskiej rzeczywistości – i iluzji nie żywił, o czym świadczyła tak jednoznaczna ocena

wydarzeń, które miały stać się pretekstem do kolejnego wzmożenia terroru. Ale też owa zdobyta własnym życiem wiedza miała również drugą stronę, nie mógł przecież nie być świadom, że głoszenie sądów niezgodnych z poglądami dyktatorskiej władzy nawet w sprawach bez porównania mniej ważnych narażało na surowe kary, na wieloletnie wyroki, zesłanie do obozu, lub nawet śmierć. Młody Mordechaj Chaim Płoskirowski nie był zachodnim lewicowym intelektualistą, który musiał czekać jeszcze ćwierć wieku na opublikowanie wspaniałego dzieła Aleksandra Solżenicyna, by się przekonać, że mówienie o sowieckim terrorze nie jest sprawą reakcyjnych wymysłów, ale że poddane mu zostały miliony ludzi. Można powiedzieć patetycznie: wybrał nie osadzone na strachu milczenie, ale prawdę. Nie wykluczam zresztą, że na tle tego, czego zaznał w kraju Lenina i Stalina, bierutowska Polska wydawała mu się krajem względnych swobód, w którym z niewielkim tylko ryzykiem można nawet w publicznych miejscach mówić to, co się myśli. Nie można zresztą pominąć przypuszczenia, że czynnikiem decydującym była młodzieńcza lekkomyślność.

Nie będę ukrywał, zdania, jakie padły z ust Mordechaja Chaima Płoskirowskiego zrobiły na mnie duże wrażenie. Nawet nie sama ich idea, którą tak szczerze i dobitnie sformułował, nie sięgając po eufemizmy i formuły wywodzące się z tradycji mówienia ezopowego, ale to, że ją śmiało i bez ogródek wypowiedział. Zapytałem sam siebie: czy zdobyłbym się na taką odwagę? Nie miałem trudności ze znalezieniem odpowiedzi, nie chciałem się okłamywać, musiałem przyznać wobec siebie samego: nie. Działo się tak z różnych względów. Na ogół nie wypowiadałem się na tematy polityczne, uznając, że nie są moją rzeczą, mogę więc nie dorzucać swoich trzech groszy. Konformistycznie uznałem, że tak się mówi, nic w tym nie da się zmienić, o buncie nie myślałem, nie chciałem się narażać, uznałem zatem, że nie są to moje sprawy, najlepiej milczeć. Świadomość jednak miałem rozdartą. Chciałem w to wszystko, co głosiła stalinowska propaganda uwierzyć, ale jednak uwierzyć nie mogłem, trudno było aprobować i uznać za swoją tę wizję świata, w której buszowało tyle agresji i nienawistnych emocji, a przy tym pojawiało się tak wiele absurdów i sprzeczności nie do pogodzenia, wchodzących w konflikt z logiką. Zaznawałem czegoś, co za Orwellem nazwę po latach dwójmyśleniem. W zasadzie chciałem traktować jak szczerą prawdę tę bliską literaturze grozy opowieść o zbrodniczych lekarzach, ale wydawała mi się tak nieprawdopodobna i w tak wysokim stopniu spełniała warunki stalinowskich powiastek o złowrogich

spiskach, a więc była w pełni konwencjonalna, że trudno było w te wszystkie straszne czyny medyków-trucicieli uwierzyć. Postawie sceptycznej sprzyjało to, co słyszałem na ten temat w domu, w mojej rodzinie – na szczęście – takie propagandowe brednie posłuchu nie miały. Wiadomość o odwołaniu tej okrutnej fabuły i wypuszczeniu lekarzy z więzień przyjąłem – jak większość – z ulgą. Ogłoszona wkrótce po śmierci tyrana, świadczyła, że jednak coś się zmienia. Wyobrażam sobie, że Mordechaj Chaim Płoskirowski przyjął ją ze szczególną radością i satysfakcją. Mógł być dumny, że nie uwierzył w opowieść o kolejnym zbrodniczym spisku, ale także z tej racji, że miał odwagę i nie bał się głośno mówić, co o tym myśli.

Jego postać kojarzy mi się jedynie z tym epizodem. Widywałem go do końca tego roku akademickiego, potem zniknął z mojego pola widzenia, choć ćwiczenia wojskowe nadal mieliśmy wspólnie z rusycystami. Nie zapytałem żadnego z nich o to, co się z nim stało, nie wiem zatem, z jakich powodów nie uczestniczył w zajęciach. Może trapiła go ciężka choroba i uznano, że do służby wojskowej się nie nadaje, może nie zaliczył roku i musiał go powtarzać, a może z jakichś przyczyn przerwał studia. Nie sądzę, by już wtedy wyemigrował, Polska pierwszej połowy lat pięćdziesiątych była krajem szczelnie zamkniętym, wyjazdy Żydów nasiliły się dopiero po roku 1956. Jakkolwiek potoczyły się dalsze losy Mordechaja Chaima Płoskirowskiego, w mojej pamięci pozostał jako rówieśnik, który w czasach terroru odważnie nie ukrywał tego, co myśli.

Michał Głowiński

Julia Hartwig

PEN Club

(Na osiemdziesięciolecie PEN Clubu Polskiego.

Uroczystość na Zamku Królewskim, 7 grudnia 2005)

Szanowni Państwo, drodzy Przyjaciele!

Przed osiemdziesięciu laty, na tym samym miejscu, gdzie dziś się znajdujemy, w sali Zamku Królewskiego w Warszawie, odbyła się uroczysta inauguracja PEN Clubu Polskiego, którego pierwszym prezesem został Stefan



Żeromski. Idea stworzenia międzynarodowej organizacji PEN skupiającej elity pisarskie narodziła się w Anglii, inicjatorami byli Joseph Conrad, John Galsworthy i Gilbert Keith Chesterton. Wówczas też powstała Karta PEN, nasza penclubowa konstytucja, której przestrzegać ma każdy członek tej międzynarodowej federacji. Karta zobowiązuje swoich członków, by występowali przeciwko każdej formie tłumienia wolności słowa w kraju i w społeczności, do której należą. By walczyli o wolność prasy i o swobodną krytykę rządów i administracji.

Autorzy, którzy układali Kartę w latach dwudziestych, w czasie, kiedy Europa otrząsnąwszy się po hekatombie pierwszej wojny światowej odbudowywała na powrót swoje nadzieje, nie mogli przewidzieć jak trudny obowiązek składają na barki przyszłych członków PEN Clubu zobowiązując ich do strzeżenia zasad Penclubowej Karty. Któż mógł bowiem wówczas przewidzieć bieg historii.

PEN Club w czasach szalejącego nazizmu? PEN Club podczas drugiej wojny światowej, kiedy samo już przetrwanie ludzi i narodów zdane było na los nieprzewidywalny? PEN Club w komunizmie?

A jednak idee głoszone w Karcie przetrwały w życiu podziemnym okupowanej Polski, która, mimo hitlerowskiego terroru i mnogości ofiar żyła intensywnym życiem podziemnym. W tym samym czasie na Zachodzie, gdzie w wojskach alianckich były się tysiące polskich żołnierzy i gdzie znalazła się pokaźna część polskiej elity umysłowej, z inicjatywy Marii Kuncewiczowej powstało wśród pisarzy uchodźców prowizoryczne centrum emigracyjne utrzymujące łączność z międzynarodową centralą w Londynie.

Wkrótce po ustaniu zmagañ wojennych Polski PEN Club nawiązał, dzięki swemu prezesowi Janowi Parandowskiemu i dzięki grupie towarzyszących mu pisarzy, wśród których znaleźli się Maria Dąbrowska, Jarosław Iwaszkiewicz, Tadeusz Breza, Zofia Nałkowska, do swoich tradycji przedwojennych. W tym samym mniej więcej czasie w Londynie Antoni Słonimski układał wraz z Wellsem, tekst deklaracji Praw Człowieka.

W pierwszych latach powojennych działania PEN Clubu polskiego były skromne; nie mogło być wówczas inaczej w kraju rządzonym – w wyniku układu jałtańskiego – siłami fałszu i przemocy. Dzieje PEN Clubu polskiego i skuteczność jego działania uzależnione były w dużej mierze od wydarzeń ogólnokrajowych, od surowości zakazów i represji stosowanych przez kolejne rządy wobec społeczeństwa i ludzi kultury. Od początku jednak PEN Club nasz czuł się niejako rzecznikiem nie tylko elit, ale również społeczeństwa i w sytuacjach trudnych odzywał się jawnym głosem. Pierwsze skierowane do premiera pismo oficjalne w sprawie zniesienia cenzury wyszło z łona PEN Clubu, który podejmował liczne interwencje w konfliktowych sprawach publicznych i występował w obronie osób represjonowanych, nie tylko w Polsce; po uwięzieniu Wacława Havla dwukrotnie zwracał się do prezydenta Husaka o uwolnienie go z więzienia.

Mimo ponawianych przez władze prób ustawienia naszej organizacji na bocznym torze, jej autorytet z latami stale wzrastał, wkrótce też zajęła ona miejsce niepoślednie w rodzinie międzynarodowej, ciesząc się rosnącym autorytetem w kraju; również dzięki uczestnictwu wybitnych pisarzy, ludzi sztuki i humanistów. Wyrazem uznania dla polskiego PEN był zaszczytny wybór dwóch polskich działaczy penclubowych na stanowisko, sprawowane dożywotnio, viceprezesa PEN Clubu światowego. W roku 1962 zaszczytu tego dostąpił Jan Parandowski, wieloletni, zasłużony prezes polskiego PEN Clubu, który rozpoczynając swoje prezesowanie przed wojną, kontynuował je po wojnie przez trzydzieści lat; drugim viceprezesem światowego PEN Clubu został w roku 1993 Artur Międzyrzecki, którego zasługą było ożywienie działalności polskiego PEN Clubu i umocnienie jego autorytetu w kraju i za granicą, gdzie pozyskał dla nas wielu przyjaciół.

Nasze sale odczytowe, zwłaszcza w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych wypełnione były po brzegi publicznością, którą przyciągała zarówno atrakcyjność poruszanych tematów jak i dobór prelegentów. Sesje organizowane w Warszawie i innych miastach mając za punkt wyjścia problematykę związaną z rzeczywistością polską miały w istocie zasięg ogólny.

niejszy. Przypomnijmy konferencję na temat „Literatura i władza”, sesję „Benedetto Croce jako instytucja kulturalna”, „Poeta wobec przemocy”, „O reformie oświaty”, czy prelekcję Leszka Balcerowicza „Przemiany w Europie środkowo-wschodniej”.

Powagę PEN Clubu polskiego podnosiły ustanowione przez zarząd nagrody za twórczość pisarską w języku polskim, za wybitne osiągnięcia wydawnicze i za przekłady klasycznych arcydzieł literatury polskiej dokonane przez tłumaczy zagranicznych. Wieczory, na których wręczane były te nagrody, należały do szczególnie uroczystych.

Warto z tej okazji wspomnieć, że jedną z roboczych zasług polskiego centrum była troska o jakość przekładu literackiego. Doświadczeni tłumacze zorganizowali dla swoich początkujących kolegów kurs doskonalenia pracy nad przekładem, dzięki czemu zyskałiśmy zastęp dobrze przygotowanych młodych tłumaczy. Dbałość o wysoki poziom tłumaczenia zarówno poezji jak i prozy ma w Polsce dobrą, starą tradycję.

Warszawski PEN Club miał zaszczyt gościć w swojej siedzibie sławy tej miary jak – Robert Graves, John Ashbery, Joyce Carol Oates, Ronald Harwood, Susan Sontag, Bułat Okudźawa, Allen Ginsberg, Natalia Gorbaniewska, Umberto Eco, Szymon Wiesenthal, Mario Luzi, Herling-Grudziński, Pierre Emmanuel, Günter Grass, Friedrich Dürrenmatt, Leszek Kołakowski, Tomasz Venclova, William Saroyan, Władimir Maskimow, Georgi Konrad, Amos Oz, i znakomici laureaci Nobla – Seamus Heaney, Josif Brodski i Czesław Miłosz. W trudnych okresach jakie przeżywał nasz PEN Club szczególnie bliskie stosunki łączyły nas z PEN Clubem francuskim, angielskim i węgierskim. Niech mi wolno będzie wspomnieć o najbliższych naszych przyjaciółach z tych lat, o Solange Fasquelle, Rene Tavernier, Alexie Blokhu, Francisie Kingu, o Miklosie Hubayu, o sekretarzującej przez wiele lat międzynarodowemu PEN Clubowi w Londynie, dziś już na emeryturze, Elizabeth Paterson i redaktorze biuletynu międzynarodowego Peterze Dayu.

Szczególnie bolesną próbą, na jaką wystawiony został nasz PEN Club wraz z całą społecznością polską, było ogłoszenie stanu wojennego 13 grudnia 1981 roku. Rozwiązano wówczas wszystkie stowarzyszenia obywatelskie, również te, które grupowały pisarzy, artystów i dziennikarzy, wielu członków tych stowarzyszeń internowano; wydano nakaz rozwiązania PEN Clubu. Ponieważ jednak zamknąć oddział PEN Clubu mogą tylko jego własne władze międzynarodowe, PEN Club polski został – używając języka naszej organizacji – czasowo „uśpiony”. Przez siedem lat nie odbywały się żadne

konferencje ani spotkania, zarząd utrzymywał jednak łączność ze swoimi członkami w kraju, zajmując się zwłaszcza pomocą socjalną. W tych trudnych latach oddziały innych PEN Clubów europejskich przyszły nam z pomocą moralną i materialną, nie osłabły też kontakty osobiste, tak cenne we wspólnotach pracujących dla kultury. Z nieoficjalną wizytą pojawił się w Warszawie prezes PEN Clubu szwedzkiego, Per Westberg i przedstawiciel Emergency Fund – Funduszu w nadzwyczajnej potrzebie – z siedzibą w Amsterdamie, Den Dollard. Odwiedziny obu naszych gości utrzymane były w wielkiej dyskrecji.

Zarząd międzynarodowej Federacji PEN Clubu na prośbę działaczy polskich skierował do naszych władz państwowych dziesiątki listów i petycji dotyczących internowanych i aresztowanych pisarzy, działaczy opozycji demokratycznej. W grupie internowanych znalazła się znaczna część naszej elity intelektualnej związanej z PEN Clubem. Grupa ta, osadzona w obozie w Jaworzu, z inicjatywy Władysława Bartoszewskiego i Andrzeja Szczypiorskiego zorganizowała w pomieszczeniach obozowych cykl spotkań penclubowych, w których brali udział członkowie PEN i inni współmieszkańcy obozu. Jest to jedyny chyba przypadek działalności penclubowej w warunkach więziennego odosobnienia.

Naturalną spłatą długu wdzięczności za pomoc otrzymaną w trudnych chwilach od naszych kolegów zagranicznych, była nasza gotowość pomocy innym zagrożonym pisarzom żyjącym w krajach ucisku. Kiedy więc po wielkim zrywie narodowym jakim była Solidarność staliśmy się znów państwem niezależnym i demokratycznym, polski PEN Club utworzył Komitet do spraw Pisarzy Uwięzionych i Represjonowanych, stanowiący oddział Writers in Prison Committee przy światowej federacji PEN. Komitet ten prowadzony z wielkim oddaniem przez Annę Trzeciakowską, objął opieką sześciu uwięzionych intelektualistów wietnamskich, którzy uzyskali statut członków honorowych Polskiego PEN. Wszystkich ich szczęśliwie udało się uwolnić i ułatwić im emigrację do Stanów Zjednoczonych. W roku 1993 Komitet nawiązał współpracę z Amnesty International.

Osiemdziesiąt lat upłynęło od momentu, kiedy w pierwszej dwudziestce kandydatów weszliśmy do międzynarodowej rodziny PEN Clubowej. Przez tych osiemdziesiąt lat historia mierzyła nasze kroki i nie poskąpiła nam najokrutniejszych doświadczeń. Wiele słów straciło wartość, wiele się zdewalowało. Budzący najwyższy niepokój stan współczesnego świata nakłada na członków PEN Clubu podwójny obowiązek przestrzegania zadań sformuło-

wanych w Karcie PEN Clubu, obowiązek rozpraszania nienawiści rasowych, klasowych i narodowych, strzeżenia wolności prasy i prawa do krytyki rządów, administracji i istniejących instytucji, do obrony ideału jednej ludzkości żyjącej w pokoju na całym świecie.

Julia Hartwig

Aleksander Jurewicz

Samotnia (5)

Gdzieś od połowy października leżakuję na tym swoim niewielkim tapczaniku niczym stara butelka wina, o której zapomniano, której nikt nie zauważa, na którą nikt nie ma apetytu. Jeden świt po drugim, zmierzch za zmierzchem, tylko smycz psa trzy albo cztery razy dziennie trzyma mnie na uwieży z rzeczywistością. Wtedy podnoszę się spod koców opornie, niechętnie, w jakimś panicznym strachu. Wracam po pół godziny, pokonując po kilka schodów naraz i już prawie na bezdechu szamoczę się z zamkiem u drzwi, resztkami sił odpinam psu smycz i wyplątuję się z wierzchniej odzieży, żeby poczuć na sobie tylko piżamę – mój kaftan bezpieczeństwa, moje koło ratunkowe, moją bawełnianą powłokę izolacyjną. W dalekosiężnej abstrakcji przestworzy zaczyna tlić się betlejemska gwiazda, żeby błysnąć krótko na początku wigilijnego wieczoru, zaiskrzyć się na niebie, pokazać się komuś, kto może przechował w sobie dawny zwyczaj i wypatruje jej w oknie, jakby na chwilę stał się stęsknionym obietnicy dzieckiem; zaistnieć i zagaśnąć, usunąć się z nieba, robiąc miejsce innym gwiazdom, co już z ledwością błyszczą odbitym światłem, a może już stały się naszym złudzeniem, zapamiętanym widokiem, którego już dawno nie ma, a tylko nam się z przyzwyczajenia przypomina.

Chociaż na kalendarzu z wrywanymi dniami jest wciąż wtorek 18 października, to jednak wiem i czuję, że mijają i minęły dni, tygodnie, prawie dwa miesiące. W miejscu, gdzie sprzedawano znicze nagrobne i gałęzie je-dliny, teraz ci sami sprzedają bożonarodzeniowe ozdoby.

Jeszcze nie tak całkiem dawno z maniacką niecierpliwością z pierwszymi zwiastunami zmierzchu zrywałem kartkę z kalendarza i z mściwą bezradnością zgniatałem ją niczym pluskwę, niszczyłem je z bezrozumną wściekłością, chociaż nie potrafiłbym nikomu wyjaśnić, nawet psu, dlaczego tak się

dzieje. Może to z powodu jakichś powikłań genetyczno-astrologicznych, nieuchronnego spełniania się przepowiedni, której nie dosłyszałem kiedyś od wróżącej Cyganki, a może po prostu nadszedł czas intensywnego przyzwyczajania się przed nadciągającym spoczynkiem wieczystym? Trudno, jest jak jest, dopowiedzieć i tak całej prawdy teraz nie mogę, zresztą nie ma powodu odsłaniać wszystkich tajemnic, nawet jeżeli może akurat teraz nadarza się jedyna okazja do przedwstępnej spowiedzi; coś jednak trzeba zostawić tylko dla siebie.

Rozpamiętuję dawne historie i wiele razy przyłapuję się na tym, że coraz dziurawsze są moje wspomnienia, a jeszcze bardziej ślepnie pamięć. Chyba już wykorzystałem wszystkie prawdziwe lub urojone wspomnienia, wyeksploatowałem je jak starą studnię i teraz wiadro tylko głucho uderza o spękane, gliniane dno. Z jakąś udręką przypomina mi się dawny wyjazd na Białoruś, chociaż wspominam go z ulgą, jaką zawsze odczuwam po powrocie z podróży, z ulgą dziecka, któremu udało się wyrwać z ciemności do jaśniejącej części życia. Odczyniam różnymi sposobami uroki przed niespodziewaną podróżą, która mnie wkrótce czeka. Nasłuchuję każdego brzęczenia telefonu z nadzieją, że zadzwonią odwołując wyjazd, ale to wciąż nie ten telefon i szansa wywikłania się z każdym dniem nieprzyjemnie się kurczy. Nawet po bilet nie muszę się fatygować i wygrzebywać z pościeli, bo wczoraj dostarczono przez kuriera do domu, w dodatku jest to bilet na samolot i to w obie strony, czyli wzięto pod uwagę absolutnie optymistyczny wariant podróży, lecz i to nie działa na mnie pokrzepiająco – panika narasta jak w dobrym horrorze. Nie pomaga wzmocniona dawka uspokajających tabletek, ani próby spisania ostatniej woli i testamentu, ani „Partity” Bacha, a już na pewno nie to, co przez całe życie wprowadzało w łagodne ukojenie, które jednak później zamieniało się w dygocący koszmar i stan zupełnego zdekompletowania myśli, woli i uczynków. Nic nie działa jak zawsze, a tylko z zamglonych przestworzy zaczynają dolatywać wpierw nieskładne, a potem coraz wyraźniej słyszalne i rozumiane zdania, które choć zdaje się mile znajome, to jednak dokuczliwe, jak każde natręctwo: „Urodziłem się w Lubece w roku 1875 jako drugi syn kupca, a zarazem senatorem Wolnego Miasta, Johanna Heinricha Manna, i jego żony Julii da Silva-Bruhns. Ojciec mój był z dziada pradziada obywatelem Lubeki... Urodziłem się w Lubece w roku 1875 jako drugi syn kupca, a zarazem senatorem Wolnego Miasta...”

Wreszcie rozpoznałem to, niczym szczególnym nie wyróżniające się, zdanie, chociaż dawno nie otwierałem książki, z której pochodziło, nawet gdy

po kilkunastu latach poszukiwań stałem się wreszcie jej posiadaczem na początku tej jesieni. Widziałem granatowy grzbiet na półce, ale nie chciało mi się wstawać, żeby sięgnąć po pisma autobiograficzne Tomasza Manna *O sobie*, jakby inna część mojej woli przypuszczała, że zabiorę ją ze sobą, jeżeli nie zdarzy się wyczekiwany z niesłabnącą nadzieją splot nieszczęść, przyjaznych mojej wyjazdowej niechęci, które pozwolą unieważnić tę krótką podróż. Dla mnie wyjście z pokoju stanowiło poważny problem, a co dopiero wyjazd – spakowanie się, dojazd na lotnisko, a potem lądowanie na obcej, niemieckiej płycie lotniska. Po co parę miesięcy temu niefrasobliwie dałem słowo, że pojedę do Lubeki, a teraz wrodzona nieśmiałość nie pozwala mi danego słowa cofnąć, czyli przepraszając zatelefonować gdzie trzeba? – wyłem niemo do sufitu okopconego oparami lampy naftowej.

Koniec listopada w Lubece jest lekko mroźny i na trawnikach połyskuje siwizna wczorajszego śniegu. Czasami myślałem, żeby zobaczyć to miasto, żeby w nim pobycć. Myślałem – nie marzyłem. Teraz tutaj jestem. Pokój hotelowy jest przytulny i za duży na jedną osobę. Odsłaniam okno i widzę za nim płynącą rzekę („stara, dobra rzeka Trave”, jak napisał o niej Tomasz Mann), a trochę dalej lubecką starówkę. Nie zdejmując prochowca siadam w fotelu i wpatruję się w widok. Okna w moim życiu – pamiętam to jeszcze z najpierwszej pamięci – są ważne, są kontaktem ze światem nie wymagającym ode mnie dużej aktywności, a po prawdzie są szklanym murem oddzielającym mnie od świata, w dodatku podtrzymują we mnie ten dziwny, niewytłumaczalny do tej pory stan wyczekiwania na kogoś lub na coś. Niebo nad Lubeką jest ciemnoniebieskie i spokojne. Co jest tam dalej – za rzeką, za murami kamieniczek, sponad których wyrasta wieża kościoła Marii Panny? Otworzyłem stojącą obok nierozpakowaną torbę z lekkim bagażem podróznym i wyciągnąłem z niej książkę. „Lubeka jako miasto, obraz miasta i jego charakter, jako krajobraz, mowa, architektura gra dużą rolę nie tylko w *Buddenbrookach*, w których stanowi niezaprzeczalne tło, ale że można ją również odnaleźć w całej mojej twórczości od początku do końca, że ją kształtuje i włada nią w sposób decydujący” – odczytałem jedno z podkreślonych zdań. Dwie strony dalej napisał: „... jako artysta byłem o wiele bardziej prawdziwym «jabłkiem» z drzewa Lubeki niż przypuszczałem (...) w całej mojej sztuce, w całej mojej twórczości, niezależnie od jej większej czy mniejszej wartości, chodzi nie o jakieś pozbawione korzeni, z ducha cyganerii płynące wirtuozostwo, lecz o formę życia, o Lubekę jako duchową formę życia”.

Jeszcze kilka godzin temu obudziłem się z głową ociążoną od snu, w którym nieustannie pojawiała się czarnowłosa kobieta ubrana tylko w satynową nocną koszulkę w kolorze burgunda. We śnie mieszały się pory roku, bo widziałem ślady jej bosych stóp na śniegu, a potem był nagle letni dzień i zdawało mi się, że widzę ją na środku jeziora w łódce, która niebezpiecznie się przechyliła, ale nie mogę pospieszyć na pomoc, bo nogi mam jakby wrośnięte w przybrzeżny piasek i z narastającą rozpaczą widzę łódkę podnoszoną niewidzialną siłą do góry i zbliżającą się do brzegu, i widzę ją w ciemnej czerwieni, ale jej twarzy nie widzę, bo stoi tyłem i wpatruje się w tamto miejsce, gdzie niedawno była w niebezpieczeństwie, jakby tam kogoś zostawiła. Nagła fala przewraca mnie i poprzez wodną mgłę widzę cień łódki nad sobą, ale jej w niej nie ma. Chcę krzyczeć, lecz brakuje mi powietrza i wtedy jej włosy opadają mi na mokrą twarz, i wtedy dzwoni budzik u wezglowia. Ten sen, a raczej ta nieodgadniona kobieta, wróciły do mnie tutaj, jak gdyby ten sen mógł mieć kiedyś jakieś znaczenie. Ale kiedy? Wkrótce czy w dalszym ciągu życia? Czy już nigdy? Odłożyłem trzymaną wciąż w rękach książkę i zapatrzyłem się znowu na rzekę i stare kamieniczki. I dopiero teraz spostrzegłem, że zasłony są w kolorze burgunda i są niczym odsłonięta w teatrze kurtyna – sceną jest okno, widok scenografią, tylko nikt nie wchodzi na scenę i nie mam przeczucia, że się kiedykolwiek pojawi. Rozejrzałem się po pokoju. Przy podwójnym łóżku na nocnej szafce stał czarny telefon, stylowa lampa, leżał czarny długopis i kartki z nadrukiem hotelu Radisson. Dwie butelki z wodą mineralną miały kartonowe kryzy z cenami zniechęcającymi, żeby po nie sięgnąć.

Idąc wzdłuż rzeki doszedłem do mostu i skręciłem w lewo ku kamieniczkom, widzianym ze swojego pokoju. I kiedy przeciąłem ulicę obejrzałem się, żeby sprawdzić, czy stąd widać hotel i zapamiętać drogę powrotną. Czulem głód, czulem niepokój połączony z ciekawością, jak zawsze, gdy zanurzamy się w nieznaną przestrzeń. Była sobota. Wszyscy mówili po niemiecku, wszystkie napisy były po niemiecku, do czego przyzwyczajałem się z zakłopotaniem. Przystanąłem na skrzyżowaniu zdając się na intuicję, która wybierze za mnie jakiś kierunek. Z niedalekiego kościoła, poprzez uliczny hałas, docierały do mnie chóralne adwentowe śpiewy, ale jeszcze nie brakowało mi muzyki. Niczego mi w tym momencie nie brakowało – w kieszeni była nowa paczka papierosów, trochę euro, miałem dla siebie kilkanaście samotnych godzin. Wciąż stałem przy skrzyżowaniu i słuchałem muzyki. Oswajałem się z Lubeką poprzez kościelne śpiewy, zmieniające się światła na ruchli-

wym skrzyżowaniu, poprzez niemiecką mowę i niemiecki śmiech młodzieży, poprzez zapach z pizzerii i tureckich barów z szybkim jedzeniem. Czułem jak wypełnia mnie dobra samotność, której ciągle w życiu szukam, choć wciąż dopadało mnie zdziwienie, że tutaj jestem, mogę pójść w prawo albo przed siebie, zejść do któregoś baru lub wejść do kościoła, usiąść w ławce i słuchać śpiewów, i nigdzie się nie spieszyć, już się nie spieszyć.

Centrum lubeckiej starówki było zatłoczone – trafiłem na przedświąteczny jarmark i pożałowałem, że wyszedłem z hotelu. Nie lubię Świąt. Dałem się jednak unosić tłumowi, nienawistnie zerkając na stragany z aniołkami, miłokajkami, szopkami betlejemskimi, choinkowymi bombkami, piernikami i marcepanami. Nie do takiej Lubeki pielgrzymowałem, nie tak miało wyglądać moje niespieszne popołudnie. Jedynym miejscem, gdzie można było jako tako uniknąć popychania, były budki z ponczem i stoiska z kielbaskami. Więc od kubka ponczu do kubka, od kielbaski do kielbaski oddalałem się od jarmarku i tłoku.

Tutaj i teraz Lubeka była cicha, prawie bezludna, przedwieczorna. Była taka, jaką chciałem spotkać – miasto cienia małego Tomaszka, który tutaj gdzieś błędził i nosił po tych uliczkach swoje dziecięce marzenia i lęki, a potem dorastał, przeżywał wszystko, co pierwsze, jasne i czyste, chociaż dość wcześnie dosięgnęła go nagle śmierć ojca – pierwszy okrutny znak dany dziecku od losu: „Tak chętnie bym jeszcze został z wami” – usłyszał od ojca w dniu jego śmierci. Po latach napisał: „Widziałem, jak umiera mój ojciec, wiem, że sam umrę i myśl ta jest mi bardzo bliska, kryje się za wszystkim, co myślę i piszę”. To tutaj, w zasięgu mojego wzroku albo parę uliczek dalej stawał się przyszły wielki pisarz. To stąd wyjeżdżając, obok niezbędnego bagażu, zabrał bagaż dla pisarza najcenniejszy – pamięć miejsca, w którym pojawił się na świecie i nosił ze sobą ten bagaż do końca swoich dni. Solidne mahoniowe łóżce, w którym się urodził, przez lata przenosił do kawalerskich mieszkań...

O siódmej rozdzwoniły się dzwony lubeckich kościołów. Słuchałem ich głosów siedząc w głębokim, miękkim fotelu w swoim pokoju. Z ulgą przebrałem się w piżamę, zakładając na nią biały hotelowy szlafrok. W rzece połyskiwały odbicia wieczornych świateł miasta. Po dzwonach znowu nastała cisza, jakbym był gdzieś na wygodnym bezludziu albo w swojej wsi. Tam pierwszy raz sięgnąłem po *Manna* – była to *Czarodziejska góra*, ale dopiero parę lat później ją przeczytałem. Tomasz Mann nie został moim mistrzem, nie jestem jego zachłannym wielbicielem. Jestem jego pokor-

nym sympatykiem, do którego dość często zaglądam, więc mógłbym zaliczyć go do swoich pisarzy potrzebnych. Jest na pewno jednym z tych demonów literatury, wobec których odczuwam respekt. Dopiero niedawno być może odnalazłem odpowiedź na mój dystans wobec niego, ów respekt, który nie pozwala mi nazwać Tomasza Manna jednym z ulubionych pisarzy. To także odpowiedź, bardzo prawdopodobna, dlaczego tej jego magicznej powieści ciągle od lat nie mogę ponownie przeczytać do końca. Jeszcze przed ukończeniem *Czarodziejskiej góry* zapisał w *Dzienniku*: „Czar. Góra będzie najbardziej zmysłową rzeczą, jaką napiszę, lecz chłodnym stylem”. Właśnie ten „chłód” jest tą barierą, która nie pozwala mi zbliżyć się jako czytelnikowi na intymną odległość, ale jednak w tym chłodzie wciąż poszukuję ciepła, kiedy wyziębienie świata jest jedynym stanem życia, jaki jeszcze odczuwam. On zaplanował albo wymarzył kiedyś swoje życie jako dzieło sztuki i zrealizował to – podziwiam tę jego konsekwencję, i to też może być jakaś kolejna odpowiedź. Wspomina o tym Sándor Márai w *Dzienniku*: „Zmarł Tomasz Mann. Był to ostatni pisarz zachodni, który «zakończył dzieło życia» – ale podobnie jak ten pisarz zakończył dzieło, skończył się też świat, z którego pochodził”; obaj pisarze spotkali się w Budapeszcie w 1935 roku – w *Dzienniku* jest zdjęcie upamiętniające ich spotkanie.

Chyba to powrót do piżamy i szlafroka spowodował, że nie całkiem udawało mi się uciekać w stronę pisarza z Lubeki. A przecież i jeszcze te zasłony w kolorze burgunda... Pamięć ze swoją chorobliwą natrętnością przywołała czas i miejsce, które opuściłem na chwilę i dłoń bezwiednie powędrowała ku podłodze, żeby pogłaskać psa, którego widmo ułożyło się koło moich stóp. Ale tam była tylko plastikowa siatka z zakupami w sklepie u Turka w jednej z bocznych, sennych uliczek. Nie było to moje ulubione ciemne niemieckie piwo, ale był to płyn absolutnie niezbędny do przepłukania tej cierniowej grudy, która od dawna utkwiała mi w przelyku. To były teraz dobre chwile, kiedy wargi dotykały chłodnej krawędzi puszki. Poznałem nieźle te „dobre chwile”, te płynne złudzenia, za które później przychodzi płacić niewspółmiernie ciężką cenę, ale bez tych złudzeń życie byłoby niemożliwe do wytrzymania. I raptem nadeszły mi do oczu te wszystkie samotne kobiety w barach albo w hotelowych pokojach, siedzące o świcie na skraju łóżka z obrazów Edwarda Hoppera, do których pragnęłoby się dosiąść i zostać na jakiś czas współtowarzyszem ich samotności; to też mogłaby być ta dobra samotność, samotność obok siebie, krótka wspólnota

albo komunii dwóch samotności. I cicho, jakby bezszelestnie otworzyła sobie drzwi, mignęła kobieta o kruczoczarnych włosach w koszulce koloru burgunda, widocznej spod rozchylonego szlafrocza w takim samym kolorze, którą znalazłem dopiero od poprzedniej nocy i która już miała prawo do istnienia w moich myślach. Niecierpliwiło mnie pytanie, kim ona jest, i co znaczyła ta dłuższa obecność w moim śnie, chociaż byłem pewien, że żadnej odpowiedzi, żadnego czasu przyszłego nie będzie, a kiedyś o niej całkiem zapomnę.

Gdyby widział mnie tu mój ojciec, jak siedzę ze zmęczoną twarzą z puszką piwa w fotelu hotelowego pokoju w niemieckim mieście, gdzie urodził się Tomasz Mann, o którym nigdy nie słyszał... Mój ojciec nie lubił ani piwa, ani Niemców, jeżeli czytał to „Express Wieczorny”. Już ponad dwadzieścia lat niosę mojego ojca na swoich przygarbionych plecach, a od paru miesięcy stukam klawiszami maszyny do pisania w nieustępliwe drzwi bramy zaświatów, gdzie on męczy się bez maszyny do szycia.

W oddali, górując ponad miastem, jaśniała wieża gotyckiego kościoła Marii Panny. Nie ma w Lubece grobu Tomasza Manna. Wyjechał z niej jako dziewiętnastoletni. W ostatnich miesiącach życia, wcale jeszcze nie przeczuwając śmierci, zapisze w *Dzienniku*, że chciałby koniecznie zobaczyć Lubekę. Jego grób znajduje się na cmentarzu w Kilchbergu z widokiem na jezioro Zurychskie i góry. Zresztą już w 1937 roku, rozgoryczony tym, co się dzieje w Niemczech, oznajmił swojemu kuzynowi Zygmuntowi Mannowi, że nie chce leżeć w Lubece. Ale to jest jego miasto i jeżeli duch pisarza krąży w pozaziemskich przestworzach, to na pewno często zatrzymuje się chociaż na chwilę nad Lubeką.

Jutro jeszcze będę tutaj i zajdę do „Domu Buddenbrooków” – starej kamienicy należącej do Mannów, przemienionej w muzeum – i tam dłużej zatrzymam się przed ich rodzinną Biblią i w jakiejś mglistej projekcji będę usiłował ujrzeć młodego Tomasza otwierającego tę wielką, ciężką księgę. Pamiętałem, a później odnalazłem w *Szkicu autobiograficznym*, fragment o ich domowej Biblii: „...sięgnąłem po starą rodzinną Biblię, przedmiot pobożnej lektury moich dawno zmarłych przodków, o czym świadczyły wyblakłe, niemal bezbarwne podkreślenia w tekście”. Stamtąd pójdę wypalić papierosa przed gimnazjum Katherineum, które niezbyt mile i chętnie wspominał („Nienawidzę szkoły...” – pisał pięćdziesięcioletni), a niedaleko gimnazjum stoi kompozycja rzeźbiarska poświęcona pisarzowi: na postumencie stronicie księgi otwieranej jakby przez wiatr – tak, to jest pomnik godny

wielkiego Tomasza Manna, bo prawdziwym pomnikiem i prawdziwą tajemnicą jego życia jest jego dzieło, pomnik wyciosany piórem. Zapisał swoje życie jako dzieło sztuki. Pokłoniłem się, odszedłem, zaczął prosić śnieg. Wieczorem miałem odjechać do Kiel.

Co pozostaje w pamięci i będzie w niej tkwiło czule jeszcze przez jakiś czas, zanim mroczna codzienność nie wypali z niej resztek śladów, jakby niczego innego nie było, oprócz tych samych melancholijnych ścian, okularów na parapecie okna, lampy na biurku, kalendarza, na którym póki co są właściwe daty, przypominające, że lat nie przybywa, ale ubywa w jakimś trwożliwym pośpiechu, słuchanej ciągle płyty z utworami na fortepian Erika Satie, tej samej popielniczki? Czasami zatęsknię za widokiem z okna któregoś z hoteli i zobaczę siebie, jak po przebudzeniu, niczym zahipnotyzowany, patrzę na Kanał Kiloński, który prawie wchodził do pokoju, natknę się na restauracyjną kartę dań, bilety lotnicze i karty pokładowe, hotelowe długopisy i miniaturowe pudełeczka zapalek, niespodziewanie usłyszę echo lubeckich dzwonów wieczornych, ale to pewnie tylko szum w uszach, pomiędzy papierami odnajdę plany miast, w których już chyba więcej nie będę, prospekty, zapiszę czyjś telefon albo adres zielonym ołówkiem z Günter Grass Haus, w mozołnie i z coraz większą niechęcią czytanej biografii Tomasza Manna, napisanej przez Hermanna Kurzke, na którą natrafiłem w księgarni zaraz po przyjeździe, prawie co wieczór będę wyjmował zakładkę kupioną w „Domu Buddenbrooków”, któryś gdański zmierzch przypomni mi śnieżny zmierzch oglądany z okna knajpy „Oblomow” w Kielu, w szufladzie zobaczę zużytą kartę telefoniczną...

Aleksander Jurewicz

Krzysztof Myszkowski

Addenda (2)

Nagle silny zacinający i mokry śnieg. Oblepił mnie i chodziłem po pustym nabrzeżu biały jak bałwan, kręciłem się w tej zawierusze, czekając.

Siedem adwentowych świec. Spalają się i topią dając ciepło i światło.

Czekanie na święto Bożego Narodzenia.

Ciepło i światło świec.

Siedzi w jasnym pokoju oświetlonym przez cztery białe świece. W każdym rogu świeca. On siedzi w środku. Jest dobrze schowany w świetle.

Takie słabe i niepewne światło. I światło wiekuiste.

Adventus – przyjdźcie. Czy jesteście już przygotowani?

„Bóg ci da światło i siłę na szczegóły.” (Adam Mickiewicz)

Czuwam. Pod gwiazdą blasku.

Dbają o swoje ciała: jedzą, ćwiczą, pływają, smarują się kremami. A jak dbają o swoje dusze? Ile minut dziennie im poświęcają? Czy wiedzą, co jest potrzebne i niezbędne dla ich dobra?

Czym je karmią i sycą? Jak je zasilają?

Dusze rozbite na części. Dusze rozmazane. Dusze kalekie. Czy istnieją dusze nijakie?

Być światłem i jednocześnie tym, który widzi to światło.

Głos w pustce. Obietnice i obietanki. Czy jest gdzieś jakieś nowe niebo i nowa ziemia? A jeżeli gdzieś są, to czy też skazane są na zagładę, która kiedyś nastąpi w świącie i w ogniu?

Słowa, które rozpalają i podtrzymują ogień w innych.

Słowo zamieszkało w ciele, aby ciało mogło żyć ze słowem i w słowie i stać się słowem, które jest życiem. Czy dobrze to rozumiem?

Słowo rodzi się z ducha, a potem dopiero zdobywa swój zakres na ziemi.

Skazy i błędy. Liczne skazy, błędy i usterki. I redukcje.

Słowo to działanie, dusza i ciało.

Słowo Boże to ewangelia, dobra nowina.

Być zwiastunem Słowa, być świadkiem jego mocy.

Światło, ciemność. W ciemności sam. Czy jest światło w twojej duszy, czy jest ona oświecona? Czym oświecona? Ogniem. Ale jakim ogniem?

Święto to rzeczy widzialne i niewidzialne, to podwójna radość serca: radość ziemską i radość niebieską razem z tymi, którzy świętują w niebiosach.

Pokutny kolor fioletowy. Roratka płonąca o brzasku. Wieczorne antyfony O do kantyku *Magnificat*.

Adwent – przyście. Adwent Pański.

Bóg przychodzi do bezbożników, ale nie po hołdy lub po to, żeby ich ukarać, ale żeby ich podnieść z grzechu i dźwigać do świętości, uczynić niemal równymi sobie.

Bezbożnicy sięją strach.

Dlaczego zabiegają o bogactwa materialne, a nie zabiegają o bogactwa duchowe? Biedni ludzie.

Jest piękno cielesne i piękno duchowe. Są głody, rozkosze, nasycenia i nienasycenia cielesne i głody, rozkosze, nasycenia i nienasycenia duchowe. Są piękne i świetliste wnętrza i wnętrza cuchnące padliną grzechu. Czy można być pośrodku?

Na kogo czekamy? Nie wiemy, na kogo czekamy? Sprawiedliwi czekają na Zbawiciela. A na kogo my czekamy?

Nasza nadzieja jest w Słowie Pana.

Czy zawodzi nas nasza nadzieja? Nie, nie zawodzi.

Bóg i jego służebnica; służebnica i jej Syn; Syn służebnicy i jego Słowo; Słowo i Bóg Ojciec tego Słowa.

Wielki i niepojęty dar Słowa, a przecież bliski i powszechny, codzienny jak nasza mowa codzienna, mieszczący się w niej i nie mieszczący, wyznaczający jej rzeczywistą skalę.

„I zamieszkać w nich, i między nimi będę chodził.” (2 Kor 6,16)

W krwi i służbie narodzin, na ten świat.

Betlejem, to znaczy dom chleba. W Betlejem urodził się król Dawid i narodził się Chrystus. Co to znaczy urodzić się w Betlejem?

Pisać tak jak Dawid, starać się jemu dorównać albo nic nie pisać i żyć tak jak Chrystus, naśladować Chrystusa.

Grota narodzenia. W żłóbku – Słowo, Bóg w widzialnej postaci, Odkupiciel i Zbawiciel w błocie stajenki. Związek i połączenie z tajemnicą śmierci i Zmartwychwstaniem Chrystusa.

Radujcie się aniołowie! Radujmy się!

W przestrzeni i w czasie jak na krzyżujących się współrzędnych. Na pustym skrzyżowaniu w deszczu, w ciemności i w wietrze. Dzień przemiany czy przekształcenia?

Jasność Boga. W ciemności betlejemskiej nocy. Nic nie zostało ukryte czy niedopowiedziane: wszystko zostało pokazane jasno, w niewielu prostych słowach, bez niedomówień.

Król nieba, stwórcy świata, bezdomny w swoich włościach, narodzony w drodze, w drodze do nas.

Czyż nie wszyscy idziemy z Galilei do Judei? Nie wszyscy?

„Pójdź za mną”, mówi Bóg i pokazuje nam drogę, po której sam idzie. „Pójdź za mną”: do śmierci i do zmartwychwstania.

Co to znaczy: być człowiekiem? Nie lekarzem czy malarzem, nauczycielem czy stroicielem, liberałem czy komunałem, rzecznikiem czy cynikiem, wujkiem czy cicią, ojcem czy matką, ale być człowiekiem, stać się człowiekiem i być nim tak, żeby inni bez wahania mogli powiedzieć: oto człowiek.

„Tylko Bóg nie podlega przemianom”, mówi Dawid (Ps 101,28). Ale w Nowym Testamencie Bóg staje się zmienny, podlega przemianom cielesnym i duchowym po to, żeby ze śmiertelnego stać się nieśmiertelnym, z żywego – martwym i znowu żywym, żywym na wieki.

„Wzeszła gwiazda z Jakuba, powstało berło z Izraela” (Lb 24,17), tak brzmi prorocтво Balaama, które nam przyświeca.

O naśladowaniu Chrystusa Tomasa a Kempis. Mickiewicz do Konstancji Lubieńskiej: „Czytaj książkę *O naśladowaniu* – tam znajdziesz źródło siły”. Święty Augustyn mówi: „Jeśli naprawdę kochamy, to naśladowujemy”. Oto źródło siły!

Puści i pychą napelnieni, zakon grzechu i śmierci.

Zajmują ich prawie wyłącznie sprawy doczesne. Ile czasu dziennie poświęcają Bogu?

Oślepieni przez zło, zaciemnieni.

Są zagłuszeni przez troski i przyjemności życia.

Błądzą w ciemności. Nie znają Słowa, które jest światłością świata.

Kiedy? gdzie? kto? w jaki sposób? Dwa pierwsze pytania dotyczą: czy jest?, a dwa następne: kim jest?

Niewykwintny styl, staranna budowa zdań, jasne myśli. Duch, siła i moc tekstu.

To, co wewnętrzne (wewnętrzne duchowe słowo) poznajemy przez słowo, które istnieje na zewnątrz (słowo zewnętrzne).

Pusto, jakby nikogo nie było. Przez chwilę jakieś głośnie i skrzekliwe głosy, ale zaraz umilkły i znowu cisza. Szare i białe przestrzenie przenikają się i mieszają. Idę główną aleją wśród płyt grobowych, krzyży i ogołoconych z liści drzew. Na niektórych grobach leżą jeszcze listopadowe dekoracje. Wiele pościnianych konarów i gałęzi. Śnieg sypie, zaciera kontury, docieram na miejsce. Kładę świąteczne wianki, zapalam świece i modłę się za dusze moich zmarłych, rozmawiam z nimi, opowiadam. Bieli jest coraz więcej. Migają trzy płomyki. Śnieg wszystko oblepia i zakrywa, spowija jak w całun czy jak do snu. Gdy wracam, nagle przesywa mnie myśl, żeby odmówić modlitwę za wszystkich zmarłych, którzy leżą tu, na tym cmentarzu. I odmawiam modlitwę za wszystkich zmarłych, którzy leżą na tym cmentarzu. Przechodzę przez bramę i ze słowami powitania wychodzę na zewnątrz.

Czy jestem dobrze przygotowany? Nie, nie jestem.

Po północy nagle błyski migających świateł i alarm syren wozów strażackich. I znowu cisza.

„O, gdyby tylko zapisane były moje słowa, gdyby w księdze były wyryte! Rylcem żelaznym i ołowiem, w skale wykute na zawsze!” (Hi 19,23-24 w przekładzie Czesława Miłosza)

Jaki jest i gdzie jest korzeń sprawy?

Przez śnieżną zamieć i wir wiatru, w nieznane.

Wigilia, godzina dziesiąta. Msza święta w Ostrej Bramie. Meta-fizyka.

Plik z życzeniami. W świątecznej harmonii. Serdeczny stos.

Boże Narodzenie 2005. Czy spotkała kogoś większa radość niż nasza?

Zielona chińska świeca w kształcie choinki.

Noel. Złoty na czarnym tle. Wojownik i obrońca. W złocistej, pięknej i skromnej szacie. Ma gładko uczesane włosy zakończone równymi lokami, twarz poważną, skupioną, duże, wylupiate, głęboko osadzone czarne oczy, małe, jakby wzdargliwie wykrzywione usta. Prawa dłoń ze złączonymi oprócz kciuka palcami podniesiona jest do góry w geście: stój, nie podchodź, nie zbliżaj się. Patrzy w dwie strony: powstrzymuje, bo widzi tam, po swojej lewej stronie, jakieś niebezpieczeństwo, kogoś, kto zagraża, kto czai się do ataku? Widoczne jest tylko prawe skrzydło w potrójnym złotym obramowaniu, z szesnastoma kolorowymi łuskami ułożonymi w ciasnych, zachodzących na siebie warstwach: od góry dwie zielone, trzy czarne, trzy niebieskie, cztery ciemnoniebieskie i cztery zielone łuski, pod nimi w poziomej linii pięć czerwonych kół w złotych otoczkach i niżej, pionowo, wąskie i zwężające się ku dołowi kolorowe pasma oddzielone złotymi liniami: od lewej strony niebieskie, czarne, białe, czarne i zielone. W prawym górnym prześwituje czy jakby wdziera się światło.

W zimnym, słonecznym blasku nurt, kry i rybitwy.

Wzdłuż szczątków pokrytego śniegiem muru obszedłem ruiny.

Brama. Po której jestem stronie?

Krzysztof Myszkowski

Mieczysław Orski

Centrum: reaktywacja?

1.

Konflikt między centralizmem a regionalizmem od połowy ubiegłego wieku wyznaczał w dużej mierze w Polsce kierunki rozwoju kultury.

Kiedy centrum zostało w PRL-u zawłaszczone przez ideę monopolityczną, regiony stały się jego reprezentantami i na ogół uległymi przewodnikami tej idei. Poprzez rozległą, hierarchicznie uregulowaną sieć swoich przedstawicielstw, systemy cenzury i armie prowincjonalnych wasali od wysokich do najniższych szczebli centrum sprawowało lub, w trudniejszych dla siebie latach, usiłowało sprawować restrykcyjną kontrolę nad ludnością – także

nad środowiskami twórczymi, nad literaturą i sztuką, a zwłaszcza nad ich upowszechnianiem, poczynając od poziomu szkół podstawowych, wiejskich bibliotek i gazetek gminnych. Żaden *Piesek przydrożny* Czesława Miłosza nie śmiał przedrzeć się przez pilnie strzeżone zasieki tej ideowej warty. Kultura poddawana była nakazom bezwarunkowego, akłamacyjnego uczestnictwa w krzewieniu monoidei i uprawianiu jedynie słusznej edukacji.

Oczywiście przez te zasieki przemykały się tu i ówdzie *Spocone Myszy* przymykające uszy na dźwięki gigantofonu, w których obrazie w latach odwilży październikowej Ludwik Flaszen werbalizował ambiwalentną sytuację dysydenta wschodniego reżimu. Nadto ten i ów region wychylały się śmieiej poza strefę dyktatu centrali. Wskutek splotu różnych czynników administracyjno-personalnych, a może i kaprysu loterii dziejowej np. ówczesny Wrocław uznano za terytorium mniejszego zagrożenia dla centrum. Kiedy z Krakowa, a potem z Opolą usunięto niebezpieczny, jak wszystko co awangardowe i niezrozumiałe, teatr Jerzego Grotowskiego – wylądował on we Wrocławiu. Realizowane na scenach wrocławskich premiery niepokornych reżyserów, Jarockiego, Grzegorzewskiego, Skuszanki, Brauna i innych przyciągały widzów z całego kraju. Wrocław przygarnął z mocno czerwonego wówczas Śląska Tadeusza Różewicza. W czasie Festiwalu Teatru Otwartego organizowanych przez Teatr „Kalambur” występowały najgłośniejsze i najbardziej niezależne zespoły teatralne z USA i Europy Zachodniej, wzbudzając donośne protesty sojuszników z obozu socjalistycznego, zwłaszcza z NRD. „Odra” publikowała teksty autorów niechcianych lub wpisywanych na cenzuralne indeksy, dzięki czemu m.in. takimi powieściami jak *Rozmowy z katem* Kazimierza Moczarskiego czy *Zdqżyć przed Panem Bogiem* Hanny Krall wyszła ponad dolnośląskie opłotki, w których chciano ją zamknąć. „Wy nie bądźcie tacy ogólnopolscy” – groził palcem redaktorom Towarzystw Sekretarz.

Wrocław był jednym z niewielu wyjątków ówczesnej regionalnej szaryzmy kulturalnej. Stał się mitem upokorzonych czasu panowania monoidei. Zapewne dlatego zaliczał się też do regionów niewdzięcznych, pomijanych w narodowych planach gospodarki i inwestycji. Może centrum uznało, że nie ma co wkładać pieniędzy w niepewne poniemieckie terytorium. Jeszcze dzisiaj dobrą szosą do stolicy można z Wrocławia dojechać tylko przez Katowice albo Poznań. Koleją do Warszawy podróżuje się z Gdańska czy z Krakowa dwie do trzech godzin, z Wrocławia pięć do ośmiu godzin.

2.

Przezwrot w relacjach centralizmu i regionalizmu nastapil po roku 1989. Polska rewolucja intelektualno-kulturalna będa następstwem przełomu ustrojowego zaczęła się w regionach, promieniując z wolna ku centrum. Postępowala oczywiście naprzód od zmobilizowanego nie tylko politycznie, ale i kulturalnie Gdańska – i objęła wkrótce kolejne oddalone od metropolii miasta. Centrum podlegało lawinowemu procesowi dezintegracji i destrukcji, zaskoczone błyskawicznym rozwojem społecznego przebudzenia; z dnia na dzień ucihły propagandowe tuby, światła jupiterów skierowały się ku innym niż do tej pory obiektom i obliczom. Kończyły byt kolejne zarządzane z Warszawy tygodniki i dwutygodniki kulturalne, często o długotrwałej tradycji w PRL-u – na ogół bezpowrotnie, czego dzisiaj można żałować, bo niektóre trzymały jak to się mówi poziom i nie poddawały się ulegle dyrektywom centrum. To, że rozprzestrzenia się u nas obecnie coraz szerzej kulturalna mizéria, zawdzięczamy także tej smutnej prawdzie, że nie istnieje w kraju już ani jeden wartościowy tygodnik lub dwutygodnik literacki bądź kulturalny. Trzymający wciąż poziom „Tygodnik Powszechny” ma szerzej zakrojony profil i określony program. Nie mamy swojego „Frankfurter Allgemeine Zeitung” z dodatkiem literackim, „Die Zeit”, „Die Welt” itd., nie mamy odpowiedników np. francuskich „Le Nouvel Observateur”, „Magazine Littéraire”, „Le Point” i podobnych zachodnich tytułów, takich, które by nie ogłupiały i tak leniwych polskich umysłów i nie zaśmiecały zbiorowej wyobraźni komercyjną sieczką. Wartościowe kiedyś periodyki lokalne, jak poznański „Wprost”, przeobraziły się w skandalizujące tabloidy, poświęcające kulturze kilka ostatnich stroniczek na poziomie ustępującym nawet rzeczystemu Springerowskiemu tabloidowi, dziennikowi „Fakt”. W ruinach centrum pogrzebane zostały w zarzewiu protestu społecznego niestety również wartościowe zjawiska i dzieła przeszłości, przyfastrygowane wraz z całym spadkiem komuny do niechlubnej peerelowskiej „czarnej dziury” (do tego wątku wróć później).

Doniosłego dzieła reformy kulturalno-intelektualnej, przeorientowania polskiej świadomości zbiorowej dokonywały w początkach lat 90. przede wszystkim przebudzone z PRL-owskiego uśpienia, ujawniające nadzwyczajne a ukryte do tej pory możliwości, środowiska lokalne. Inspirowały ich mobilność m.in. regionalne miesięczniki bądź kwartalniki, niektóre wychodzące z konspiracji, inne nowe – gromadzące wokół siebie kręgi miejscowych pisarzy, publicystów, artystów, dziennikarzy, kibiców. Spełniały kapitalną rolę.

Jedno z najbardziej mobilnych i znaczących w kraju środowisk literackich kreowało na mało obecnym wcześniej w życiu kulturalnym (nie licząc jego państwowotwórczej fasady) Śląsku powstanie czasopism takich jak „FA-art” czy „Opcje”; oczywiście wiele dokonał tu awans Uniwersytetu Śląskiego. Redakcje czasopism z gromadzącymi się wokół nich elitami stawały się katalizatorami przemian kulturowych w swoich ośrodkach, wywierając przy okazji swej podstawowej działalności wydawniczej kulturotwórczą presję na decydentów w samorządach, a także zmieniając hierarchie wartości artystycznych i rankingi literackie w kraju. W Lublinie były to „Kresy”, w Poznaniu „Nowy Nurt”, „Arkusz” i „Czas Kultury”, w Bydgoszczy „Kwartalnik Artystyczny”, w Rzeszowie „Fraza” i „Nowa Okolica Poetów”, w Białymstoku „Krasnogruda” i „Kartki”, w Olsztynie „Borussia” i „Portret”, w Gdańsku „Tytuł”, w Sopocie „Topos”, w Szczecinie „Pogranicze”, we Wrocławiu najstarsza z wszystkich „Odra” ze swoimi suplementami dla młodych autorów; później dochodziły do tej grupy tytuły takie jak „Tygiel Kultury” w Łodzi i zyskujące coraz większy prestiż krakowskie „Studium” wraz z dłużej już wychodzącą w Krakowie „Dekadą Literacką” i najmłodszym „Ha-artem”. I sporo innych. Z większymi bądź mniejszymi przerwami, kolizjami, wbrew ograniczanemu strumykowi dotacji, wiele z tych czasopism kontynuuje swą działalność. W czasie kiedy książka staje się produktem rynkowym, a jej sukces efektem zabiegów marketingowych, pochodną wycharterowanych przez wydawców recenzji w mediach, głównie czasopisma regionalne – choć przecież wymieniające się doświadczeniami i dbające o zachowanie niezależnych hierarchii kryteriów estetycznych – podtrzymują poziom debaty kulturalnej, promują młodych twórców. Niestety ich rolę doceniają dziś już tylko niektóre samorządy (takie jak Gdańsk, Sopot, Bydgoszcz, Toruń – choć w tym mieście straciły dawną świetność i zasięg Festiwalu Książki).

W owym nadzwyczajnie bujnym i obfitym okresie „wiosny regionów” wiele tego, co ważne i twórcze w nowej literaturze, powstawało i działo się w oddalonych od centrum dzielnicach; spośród nowych pisarzy albo takich, którzy wcześniej w PRL-u często uciekali w azyle twórczości „unikowej”, kompensacyjnej, na początku poprzedniej dekady dali o sobie znać: Stefan Chwin, Paweł Huelle, Aleksander Jurewicz w Gdańsku, Andrzej Stasiuk w górach Beskidu, Olga Tokarczuk i Karol Maliszewski pod Kłodzkiem, Mariusz Grzebalski i Dariusz Sośnicki w Poznaniu, Krzysztof Myszkowski w Bydgoszczy, Kazimierz Brakoniecki i Włodzimierz Kowalewski w Olszty-

nie, Feliks Netz i grupa młodych krytyków w Katowicach, Artur Liskowacki i Inga Iwasiów w Szczecinie, Tomek Tryzna w Świdnicy i wielu innych.

3.

Wszakże każdy dobry okres ma to do siebie, że się kończy.

Centrum kontratakuję.

Dysponuje teraz bronią wirtualną epoki elektronicznej, eskadrami masowego rażenia świadomości, armią zakontraktowanych pracowników zbiorowej wyobraźni, zajmujących pozycje strategiczne w odpowiednich instytucjach i środkach przekazu.

Zamiast podtrzymywać przy życiu wiele rokujący dla życia literackiego w całym kraju wymieniony wyżej poznański tygodnik „Nowy Nurt”, neo-centrum włożyło po roku 1995 olbrzymie pieniądze w reaktywowane widmo PRL-owskiej czasopiśmienniczej mierności i ZLP-owskiej solidarności pt. „Wiadomości Kulturalne”, które w sposób naturalny zostało po paru latach zmiecione z rynku. Przysporzyło to przeciwników pomysłu odtworzenia w ogóle jakiegokolwiek dotowanego apolitycznego tygodnika. Przecież niezbędnego. Dziś w wielu regionach górę zaczyna brać monopol prasowy, i to w najgorszym, dorobkiewiczowskim wydaniu. Po dwie-trzy konkurujące wcześniej z sobą gazety lokalne, wykupywane głównie przez niemieckich wydawców (np. w Gdańsku, Katowicach, Wrocławiu), łączy się w jeden tytuł, którego głównym celem jest rywalizowanie o lokalny rynek odbiorców z centralnym, Springerowskim „Faktem”. W związku z walką o czytelnika, którego poziom dorównuje z wolną aspiracjom produktu medialnego, z zestawu ich rubryk prawie znika w ogóle pozycja „kultura” i eliminowane są wszelkie teksty „elitarnie” (w tym i fachowe recenzje z przedstawień teatralnych czy książek miejscowych autorów, jakakolwiek głębsza publicystyka kulturalna, już nie mówiąc o literaturze); wszystko, co przekracza rozmiarami jedną szpalnę, trafia do kosza. Liczy się to, co zapewnia sprzedaż, a więc oglądalność i „czytalność”. A to, co zapewnia sprzedaż, wymaga dziś jak najstrawniejszej papki myślowej, obliczone jest na maksymalną pasywność intelektualną i minimalną wrażliwość estetyczną odbiorcy. Tak dochodzi do postępującego procesu samozwrotności: redaktorzy pragnąc zapewnić sobie jak najszerszy krąg czytelników (bądź widzów w TV), obniżają ile się da poprzeczkę wymagań intelektualnych i cenzusu wrażliwości estetycznej, co w naturalny sposób powoduje powiększanie się legionów leniwych odbiorców o zaniżonych wymaganiach i potrzebach.

Producenci książek, których niewielu aspiruje już do zobowiązującego etycznie i merytorycznie miana wydawcy, poprzez swoje umocowanie w centrum, w coraz większym stopniu decydują o smaku i poziomie wrażliwości czytelników. Sprzyjają im, oczywiście nie bezinteresownie, recenzenci skąpych rubryk kulturalnych wysokonakładowych gazet (albo często ewidentnie współredagowanych przez wydawców dodatków w rodzaju „Gazety o Książkach” czy „Rzeczy o Książkach”), nierzadko wcześniej zakontraktowani przez producentów książek jako tzw. „recenzenci wewnętrzni”. A trudno, by ktoś podpisujący umowę z pryncypałem ganił potem w czytanych szeroko recenzjach owoce jego trudu.

Wspominając wyżej o skorym grzebaniu wartościowych przejawów kultury PRL-u w ruinach centrum, miałem na myśli także dramatycznie dające o sobie znać zjawisko przerwanej ciągłości „pamięci kultury”. Przecież głównie temu, co było w owej przypomnianej słynnej „czarnej dziurze” (choć oczywiście nie w jej propagandowej fasadzie), polska literatura wciąż zawdzięcza swoje miejsce w światowym podziale literackiej chwały. Jednak nie rodzimym bestsellerom, proklamowanym co roku na łamach „Gazety Wyborczej” i „Rzeczpospolitej”, o których na ogół po dwu latach w Polsce się nie pamięta, a cóż dopiero za granicami, kiedy po przetłumaczeniu (często za nasze, polskie dotacje) wchodzi one do międzynarodowej konkurencji. Podobnie jak w wiadomościach o naszych coraz rzadszych sportowych sukcesach za granicą czytamy, że Marta Domachowska weszła znowu (!) do drugiej rundy turnieju wielkoszlemowego w Paryżu (z której już nie wyszła), dowiadujemy się z wysokonakładowych dzienników, że powieść Doroty Masłowskiej (która oczywiście ma swoje zalety, lecz nie o to tu chodzi) ukazała się już po francusku... Tyle że na osłodę wątpliwych i coraz bardziej lokalnych sukcesów Polaków w sporcie pokazuje się nam po raz setny w TVP bramkę zdobytą przez polską drużynę w 1974 roku na Wembley (pomijając dziesięć strzelonych nam przez Anglików w ostatnich trzech latach); a tym, że Lem w tym czasie był wydawany w milionowych nakładach nie tylko po francusku czy też że utwory np. Tadeusza Różewicza ukazały się od 1974 roku w ponad czterdziestu krajach i w ostatnich trzech latach wydano kilkanaście jego pozycji za granicą, prasa i telewizja w ogóle się nie interesuje. Cóż, Różewicz nie daje się fotografować spod grzywki i nie spodziewa się dziecka jak Masłowska, a nadto w odróżnieniu od niej ma wątpliwą przeszłość. Obywatela PRL-u.

W 2 programie TVP, uważanym chyba już tylko przez samą dyrekcję TVP, za „misyjny” w dziedzinie kultury, w porze największej oglądalności dwie

osóbki, aktorka urodziwa i sławna i redaktorka z pisma „Wprost”, do niedawna zalecały widzom, co należy kupować w księgarniach. Przed rokiem oba programy TVP zaangażowały się w reklamę powieści *Nic*, której zawartość spełnia wymogi tytułu. Teraz w nic się oba nie angażują, bo TVP1 pozbyła się wreszcie całkowicie swojego garbu „misji”, spychając wszystko co nie służy kieszeniom redaktorów do uruchomionego specjalistycznego kanału „Kultura”, oglądanego mało chętnie, także z powodów technicznych, przez nieznaczny promil widzowni.

Jak kiedyś politycznymi, tak teraz medialnymi sieciami przesyłu dekretuje się zestawy zalecanych dla publiczności lektur i widowisk. Nad katalogami pracują już nie biura polityczne Towarzyszy Sekretarzy, ale korporacje wydawców, redaktorów prasy, urzędników średniego szczebla i pośredników – amatorów głównie zarobku. Administracyjna reforma kraju doprowadziła niemal do kulturalnej zagłady wiele znakomicie kiedyś prosperujących ośrodków regionalnych, mających znaczenie ogólnopolskie. Ze zreformowanej mapy poznikały ożywiające kiedyś publiczną rutynę kulturalną festiwale, zjazdy literackie, wszelkie Wiosny i Jesienie Poezji, Dekady Prozy, Konfrontacje Młodych Autorów itp. – we Wrocławiu, Poznaniu, Kłodzku, Łomży, Lublinie, Gliwicach, Szczecinie itd. Na samym Dolnym Śląsku w Wałbrzychu, Jeleniej Górze, Świdnicy, Kłodzku jeszcze przed dziesięciu laty kultywowano tradycje świąt słowa artystycznego, działały kluby literackie, wychodziły gazetki literackie, serie wydawnicze. Dziś jak głośzą słowa piosenki, cicho-sza. Mało Mickiewicza, niewiele Miłosza. A krakowski Instytut Książki z państwowych subwencji organizuje kolejne dni poezji miłosnej i zaraz po nich książki kryminalnej, bo i jest powód, jak się dowiadujemy: przecież wielki nam się narodził polski Agat Christie tropiący trupy w Breslau. Ciekawe, kiedy przełożą go na francuski.

Regiony umierają.

W regionach buduje się multikina, aquaparki, pomniki nowoczesnej kultury medialnej, usuwając z centrów księgarnie z mniej kolorowymi wystawami, zapominając o stanie bibliotek. Niektóre przypominają już archiwa.

Droga do regionów wiedzie znowu przez centrum. Przeniesienie z Warszawy do Krakowa dysponującego według swojej woli państwowymi dotacjami na książkę ww. Instytutu było akcją z rodzaju „zamienił stryjek”; nowy stryjek oczywiście wszedł do gry ze swoją rodziną. W Poznaniu władze samorządowe przymknęły oko na likwidację tutejszych czasopism i zamierzają zamknąć nadzwyczaj pożyteczny, organizujący dzięki samorządowej po-

mocy udane ogólnopolskie festiwale poezji i wychowujący młodych autorów Klub Literacki w „Zamku”. Od czasu zniknięcia „Nowego Nurtu” i „Arkusza” najbardziej bujne po roku 1990 życie literackie, poza owym świętem festiwalowym, weszło w tym mieście w stadium przypominające słynną treść zarośniętego rzęsą stawu. Z Legnicy przeniesiono do Wrocławia spełniający tam ważną rolę Port Literacki, a dziś goszczący i wydający za pieniądze samorządu książki głównie pisarzy z centrum (czasem ekskluzywne dwutomowe wydania ich wierszy wybranych, zebranych, przebranych i dobranych), którzy mogliby swoje tomiki opublikować w każdym liczącym się wydawnictwie w kraju, i nieświadomie odbierają dotacje samorządowe młodym autorom z Dolnego Śląska. Powyższy Port przemianowany na Biuro Literackie otrzymuje rocznie sto kilkadziesiąt tysięcy od miasta Wrocław, wrocławska Biblioteka SPP parę tysięcy rocznie na dwa-trzy tomiki (w 2004 na kilkadziesiąt propozycji – wydano jeden). Wydawnictwo Dolnośląskie liczy się już tylko w kronikach minionego piętnastolecia. A miasto nie skąpi setek tysięcy na poczynania dyrektora Przeglądu Piosenki Aktorskiej, który zachęcony honorariami sam zabrał się za pisanie tekstów, scenariuszy widowisk, sztuk i w ogóle czego trzeba i założył Teatr Piosenki za astronomiczną jak na możliwości samorządu dotację.

Regiony – które przez jakiś czas były bastionami wskrzeszonej polskiej kultury – umierają. Ich ambicje skupiają się coraz bardziej na rywalizacji z Disneylandami i Festiwalami Piosenki w Sopocie. Drogi do kas samorządów prowadzą przez centrum. Liczy się to, co zapewnia oglądalność, słuchalność, „czytalność”, to, co radni zobaczą rano na stronach gazet, i o czym ewentualnie po południu usłyszą w Teleekspresie. Co lokalni potentaci przemysłu i bankowości zechcą wspomóc. A że o tym decyduje na przykład głośna aktorka czy dziennikarka z działu zdrowej żywności tygodnika, mało kogo już obchodzi.

Mieczysław Orski

Leszek Szaruga

Lektornik (18)

ZAKRYTE ODKRYTE Lucyny Skompskiej (Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2005) to tom poetycki, który już w tytule postępuje się formułą

paradoksu. Dalej tak samo: „(ja?) byt-niebyt”, „nie mówię po węgiersku mówię po węgiersku”. A czasem bardziej skomplikowanie:

jesteśmy głównie wodą
na tyle jednak niepłynną
by można nas było odróżnić
od rzeki w której stoimy

Taka gra Heraklitem. Rzeka przepływa mimo, omywa nas, a przecież mimo tego przepływu wciąż pozostajemy sobą, choć już widzimy się inaczej, jak wówczas, gdy oglądamy dawną fotografię. Tak dzieje się w wierszu *Ona*, gdzie bohaterka przenosząc przeszłość w teraźniejszość konstatuje: „stoję z papierosem (och, dawno nie pałę)/ rozmawiam z facetami którzy od paru lat/ fruują w zaświatach/z Jackiem Witkiem Zbyszkiem”. Imiona nietrudno powiązać z nazwiskami: chodzi o Jacka Bierezina (pojawi się tu raz jeszcze w wierszu *International Klein Blue*: „niebo jest tu szare jak woda widziana z mostu Alma/ z którego pewien polski poeta uleciał/niedaleko pomnika Adama M.”), Witolda Sułkowskiego i Zbigniewa Dominiaka (któremu poetka zadedykowała wiersz – *Punkt widzenia*). Wyłania się z tego wiersza świat miniony, który wszakże wciąż przenika we współczesność, wciąż pulsuje życiem umarłych. I choć gdzie indziej zapisze Skompska – trawestując Peiperowską formułę o tym, że „zmięła się skóra świata” – że „świat znów zmienił dykcję”, to przecież owe zmiany są powierzchowne, istota rzeczy się nie zmienia, zaś to, co za zmianę bierzemy, jest jedynie przelotną zmarszczką na tafli wody. Czasem ulegamy złudzeniom: „patrz w lustro wody obserwuj/ twarz zmienia się wolniej i trzeba lat nim zauważysz, że nie jest twoja” (*Plaża du Men Du*). Tracimy swą tożsamość i jednocześnie przecież ją zachowujemy – to jeden z ważnych paradoksów tej poezji. I nie jest przypadkiem, że podstawowym jej żywiołem jest woda: „Do nieba Kleina niełatwo trafić/ jest rozproszone po świecie/ /Przez otwory w ludzkim ciele widać je czasami/ jako płynącą rzekę lub stojącą wodę”.

Świat Skompskiej coraz bardziej się zagęszcza, przeżycia nabierają intensywności, czas – znaczący przemijanie, wypełniony bólem i chorobami, wspomnieniami o wciąż rosnącym zastępie zmarłych – przyspiesza. Kierunek, w jakim się poruszamy, jest zawsze ten sam – ciągle prosto:

jakiś dziwny facet wskazuje nam drogę
todo recto! todo recto! wymachuje rękami
dobrze będziemy jechać przed siebie
tak właśnie jechaliśmy
całe życie nie robimy nic innego

Poruszamy się w przestrzeni Księgi, która jest naszym światem: „Jeśli wiatr jest wieczny/to tego dnia raz jeszcze ruszył/między Samarią i Galileą między wersami/wiał we wszystkie strony księgi i świata” (*Duch, proch*). W tym samym wierszu pojawia się japoński turysta, który filmuje Grób cyfrową kamerą i:

wszystko wokół przemieniało się w cyfry (...)
słowo cyfra oznacza pustkę
obejmuje nic

Owo „nic” jest zarazem Pełnią. Jest złączeniem istnienia z nieistnieniem, jest poświadczeniem własnej (nie)tożsamości. Szczegóły rozplývają się w tym, co ogólne, jednocześnie jednak to, co ogólne poświadczane zostaje przez detal, czego doskonałym przykładem jest tytułowy wiersz tomu zasługujący na szczegółową analizę i nie dający się „cytować”. Ale już sam tytuł zasługuje przecież na baczną uwagę, ta formuła – „zakryte odkryte” – dobrze oddaje migotliwość istnienia, w którym pozorny chaos naszej doraźnej, przypadkowej egzystencji zyskuje „po drugiej stronie” ład niepodległej czasowi konieczności. Wiemy wszak, że „przecież tak naprawdę/wszystkie chwile czeka szafot”, a przecież przeczuwamy, że ścięte, tworzą w przestrzeni pamięci pozaczasową całość: owo „nic”.

SZKICE O POEZJI Jana Józefa Lipskiego (Instytut Literacki, Paryż 1987) czytam już niemal od dwudziestu lat i wciąż ta książka urzeka mnie swą mądrością. Jest wyzwaniem. Ale jest też wyzwaniem dla wydawców, gdyż sygnalizuje tylko wielki, rozproszony dorobek krytycznopoetycki autora. Jest to bowiem tom wykrojony z tomu o wiele obszerniejszego, który Lipski złożył swego czasu – bodaj w połowie lat siedemdziesiątych – w jednym z państwowych wydawnictw i który, ze względu na społeczne zaangażowanie autora, współtwórcy KOR-u, ukazać się nie mógł. Można więc – za innym wybitnym i godnym przypomnienia krytykiem poezji, Jerzym Kwiatkowskim – powtórzyć: „Trzeba wydać tę książkę”.

Trzeba ją wydać dla paru względów. Przede wszystkim dlatego, że był Lipski od lat pięćdziesiątych uważnym i twórczym komentatorem ruchu poetyckiego. Ale także dlatego, że możemy w ten sposób uzyskać ważną kronikę rozwoju naszej poezji powojennej stworzoną przez czytelnika o wyjątkowych kompetencjach. Jego recenzje to często małe, spójne i do dziś się znakomicie broniące traktaty. Wynika to z przewagi poznawczej dociekliwości nad dążeniem do wartościowania, które w istocie jest demonstracją

„władzy” krytyka. Lipski jest skromny. We wstępie do tomu pisał: „W recenzji, takiej jak ją rozumiem i widzę, winna dominować postawa poznawcza, chęć zrozumienia – nad oceną (mimo że zwykle w innym porządku widzi się obowiązki recenzenta). Bardziej zależy mi, by odpowiedzieć na pytania: «Jak?», «co?», niż by osądzić, czego zresztą nie unikam, wątpiąc jednak, by oceny tego rodzaju mogły być przedmiotem płodnego sporu”. I jeszcze jedno, ważne zdanie ze wstępu: „W swej «strukturze głębokiej» poezja jest bowiem, jak sądzę, swoistą manifestacją światopoglądową”.

Niewielu mamy krytyków tej miary. Dorobek Lipskiego należy usytuować w konstelacji takich dokonań krytycznoliterackich, jak dzieła Brzozowskiego i Irzykowskiego, Zawodzińskiego i Wyki, Łukasiewicza i Błońskiego, spośród młodszych Burka i Barańczaka. Rzadko się jednak zdarza, by krytyk tak wyraźnie wyznawał swoje *credo*, jak to w tej właśnie książce uczynił Lipski. Podkreślając subiektywizm swych odczytań, pisze: „Sądzę jednak, że niezależnie od stopnia subiektywności procesu poznawania poezji – poznanie to może być przynajmniej w jakiejś części intersubiektywne, że zarówno nasze analizy jak i syntezy, choć może pełne błędów i niedostatków, nie są jednak po prostu dowolne, a przynajmniej takimi być nie muszą; i wreszcie – że Świat stworzony poetyckim słowem jest wieloaspektowy, a więc dopuszczający wielość interpretacji. Rzeczą krytyka jest więc nie tylko interpretacja, i nie tylko analiza – lecz i wybór, strukturalizujący tę potencjalność wiersza, którą krytyk uważa za szczególnie ważną”.

Lipski jest krytykiem o tyle ważnym, iż – podobnie jak Kwiatkowski – jest „wszystkożerny”. Dostrzega bogactwo poetyk i – nie kryjąc przecież swych własnych preferencji, które najpełniej doszły do głosu w tej właśnie książce, stanowiącej z konieczności skromny wybór z całego dorobku (może kiedyś rzecz się wyjaśni w udostępnionej korespondencji Giedroycia, wiem jednak z rozmów z Redaktorem, że redukcja tekstu była warunkiem opublikowania tomu – druk całości byłby zbyt kosztowny) – stara się je odczytywać bez podporządkowywania swym własnym gustom: tu właśnie najpełniej ujawnia się poznawcza pasja autora.

Których więc poetów uznał za najważniejszych, a przynajmniej istotnych z punktu widzenia prezentacji swych własnych wyborów? Po kolei: Słonimskiego, Wata, Jastruna, Ważyka, Leca, Bieńkowskiego, Ostromięckiego, Wirp-szę, Słuckiego, Kamińską, Międzyrzeckiego, Ficowskiego, Herberta, Białoszewskiego, Czachorowskiego, londyńską grupę Kontynenty, Grochowiaka, Skwarnickiego, Bierzina, Baranowską i Barańczaka. Przekrój od Skaman-

drytów po Nową Falę – oczywiście subiektywny, ale, co najważniejsze, jakby unieważniający skonstruowany swego czasu przez Błońskiego biegunowy układ wyznaczany przez poezje Miłosza i Przybosia (głośny szkic *Biegunowy poezji*). Mamy tu i „klasycystów”, i poetów „awangardowych”. Raz skupia się na próbie scharakteryzowania całości dorobku autora, innym razem poświęca uwagę jednemu tylko utworowi, jak dzieje się to w wypadku wiersza Słonimskiego *Dwugłos o wiosnie*. Przy tej okazji wypowiada dość ważną konstatację: „nasz kontakt z poezją musi być w swym elementarnym wymiarze nie tylko intymny, lecz i dla nas samych tajemniczy. Przychodzi co prawda i czas analiz, próby odnalezienia ukrytej formuły magicznego wiersza i przetransponowania na język racjonalny. Są to usiłowania zawsze w ostatecznym swym rezultacie jałowe – nie wyrzekłbym się ich przecież za nic: dopiero po nich wiersz poety staje się naprawdę «mój» – choć wiem, że wybrałem go sobie już przy pierwszej lekturze i przy pierwszym olśnieniu”.

Za „swoje” uznawał Lipski wiersze utrzymane w różnych poetykach, w tym tonie – w którym musi zwrócić uwagę brak Miłosza, Przybosia czy Różewicza – jednak znaczącą przewagę zyskują autorzy „awangardowi”, uznawani za trudnych w odbiorze. Warta też jest mimochodem – w trakcie omawiania tomu Jastruna – rzucona uwaga: „Utarł się mit o rzekomej niekomunikatywności Przybosia i jego uczniów, podczas gdy zrozumienie tej najbardziej ametafizycznej poezji spośród wszystkiego, co znam, jest tylko funkcją treningu wyobraźni przestrzennej i asocjacyjnej. Również niekomunikatywność poetów awangardowych młodszego pokolenia (...) jest na ogół mitem, z wyjątkiem tych nielicznych stosunkowo wypadków, w których daleko idąca ekspresjonizacja liryki doprowadza do zaniku semantycznej funkcji «wypowiadania się co do treści», ale nie jest to kwestia niekomunikatywności”.

Cytaty z tego szczupłego (zbyt szczupłego) tomu można mnożyć i stworzyć z nich swoiste kompendium krytycznoliterackie. Kapitalna wydaje się choćby zapisana na marginesie rozważań o poezji Wata uwaga o „poetyce neobarokowej, która zdaje się wykluwać z gmatwaniny tendencji współczesnej liryki”. Nietrudno odnaleźć potwierdzenie tej tezy w poszukiwaniach nawet najmłodszych, teraz właśnie debiutujących autorów. I myślę, że do dzieła krytycznopoetyckiego Jana Józefa Lipskiego będziemy wracać jeszcze nie raz, gdyż to autor, którego studiować należy, a warto też u niego terminować.

Mamy zgubną, wręcz samobójczą tendencję do gubienia, spychania w niepamięć naszego dorobku humanistycznego. Rwą się wątki, rozsypują szko-

ły, rozpada tradycja. Dzieło Lipskiego – nie tylko przecież na tym polu odkrywczycze (by przypomnieć jego studia dotyczące ekspresjonizmu, ale także badania nad ONR Falangą) – należy jak najszybciej scalić i opublikować. Jest okazja – w tym roku mija 80. rocznica jego urodzin.

Leszek Szaruga

Piotr Szewc

Z powodu i bez powodu (4)

Moherowa kwestia

Połowa listopada. Wietrznie, coraz chłodniej, skracają się dni. W sklepie, na ulicy, w tramwaju wypatruję jakie nakrycia głowy noszą kobiety. Zgadza się: jeśli nakrywają głowy, to najczęściej moherowym beretem. Wbrew pozorom jeden moherowy beret niepodobny drugiemu. Odróżnia je nie tylko kolor, ale i (w trudnych do nazwania przeze mnie szczegółach) fason. Sprzedawczyni beretów powiedziała w audycji telewizyjnej, że najpopularniejsze są beżowe, szare i czarne. Dostępne są oczywiście w całej pałecie barw. Krótko: popyt i podaż. Moja Mama nosi moherowe berety, gustuje w ciemnych. Ma ich co najmniej kilka. A ja w latach osiemdziesiątych miałem moherowe swetry. Były wygodne i ciepłe. Lubilem je jako rzeczy zwyczajne i „przyjazne”. Nie kojarzyły mi się z niczym. Modne, zdaje się, nie były, co w moich oczach podnosiło ich wartość.

Z moherem zetknąłem się jeszcze wcześniej. Na ulicy Ormiańskiej w Zamościu, nieopodal hotelu Renesans, mieścił się pewex. Kipiał obfitością dóbr wszelkiego rodzaju, niedostępnych w zwykłych sklepach. Luksusowe słodycze, soki, kandyzowane owoce, kawa, papierosy, perfumy, dezodoranty, bielizna, spodnie dżinsowe, moher... Czasem ktoś coś kupował, z reguły jednak do pewexu wstępowało się „po drodze”, aby popatrzeć. Polizać, mimo że przez szybę. Pobyć przez chwilę w otoczeniu „luksusu”, wyobrazić sobie, że... Moherowe szaliki i sweterki zaczęły pojawiać się w szkole: docierały z zagranicy w paczkach, trochę nimi handlowano. Niespiesznie moher przestawał być przedmiotem cennym i rzadkim. Wreszcie spowszedniał, jak kulkowe długopisy, kawa, camele czy chesterfieldy. Jak flamastry: pierwsze z nimi zetknięcie było dla mnie czymś nadzwyczajnym.

W Sejmie ogłoszono istnienie moherowej koalicji. Miało być dowcipnie. Ale nie było. No i nie było – co pewnie najważniejsze – merytorycznie. Została wyznaczona linia podziału: chcesz czy nie, jesteś po którejś stronie. Pewnie, że strasznie to głupie i że nie o moherowe berety tu chodzi. Maciej Rybiński napisał w „Rzeczpospolitej”, że temu, który z sejmowej mównicy ogłosił istnienie koalicji moherowych beretów, „chodziło o te wyrzutki społeczne z nizin i depresji, które pakują na siebie mohery z lumpeksu, żeby tylko nie mieć głów otwartych na prawdziwe wielkości”. Kto wie. Moherowe berety – koalicja wyrzutków społecznych – stały się gorącym tematem coraz chłodniejszej jesieni. Czy sprawa przebrzmieje i pójdzie w niepamięć? Przypuszczam, że metafora „moherowej koalicji” przeobrazi się w nader skuteczną polityczną pułapkę. Jeszcze Rybiński: „stanowczo, Polska nie wybije się na cylindry bez wyborczego *numerus clausus* na moher”.

Rozbita szyba

– Moje dzieło – powiedziałem dzisiaj Babci, wkładając dłoń w puste miejsce po rozbitej szybie w drzwiach z kuchni do pokoju. Tego „dzieła” dokonałem dawno temu. Miałem kilka lat (nie chodziłem jeszcze do szkoły), gdy za karę za złe zachowanie Mama – a może Babcia – zamknęła mnie w pokoju. Rozzłoszczony, rzuciłem w drzwi butem. Posypało się szkło. Nikt już niewielkiej szyby nie wstawił – i tak po prostu zostało.

Przez tę rozbitą szybę zaglądam w moje dzieciństwo. Myślę, że każdy ma narzędzie, które ułatwia mu kontakt ze swoją przeszłością. Nie w tym teraz rzecz. Jest wigilia Bożego Narodzenia 2005 roku, te słowa piszę w Czółkach. Mieszkalem w różnych miastach, w różnych miejscach, ale wszystkie bez wyjątku święta Bożego Narodzenia spędzałem tu, w Czółkach. Inaczej nie chcę i nie umiem. Dziadek Edward nie żyje, została Babcia Alfreda, niedawno skończyła 84 lata. Od dwóch lat ma telefon komórkowy: palców u obu rąk za dużo, by policzyć, do ilu osób dzwoni. Ale dzwoni. Nie wie, co to są sms-y, nigdy sms-a nie przeczytała ani nie napisała. Tego już się nie nauczy.

Babcia ma małego rudego pieska. Był też kot, ale – słyszę – od tygodnia go nie widać. Może wróci. Kiedyś, gdy żył Dziadek, były tu krowy, konie, świnie, kury, gęsi, kaczki. Wiejskie gospodarstwo. Zastanawiam się, czy więcej przebywałem w Zamościu, czy w Czółkach. W Zamościu musiałem być (bo szkoła), a w Czółkach wolałem (bo cała reszta...). Hodowałem gołębie i kró-

liki. Znałem w okolicy wszystkich i wszyscy mnie znali. Ale to się z czasem zmieniło. Teraz tu bywam. W twarzach miejscowych dzieci w autobusie czy w kościele rozpoznaję ich rodziców i dziadków. Ich rysy są przekazywanym z pokolenia na pokolenie dziedzictwem.

Tak wielu mieszkańców Czołek już nie żyje. Poumierali bliżsi i dalsi sąsiedzi. Pewnie dlatego, gdy do Czołek przyjeżdżam, coraz mniej jestem „u siebie”. Inaczej mówiąc, te bezpowrotne odejścia ludzi, których znałem, sprawiają, że czuję się w Czołkach niemal obco. W tych dniach umarła pani Stanisława Pałkowa. Pamiętam ją jako dziarską, silną kobietę. Zmarła w sędziwym wieku. Wieczny odpoczynek racz jej dać Panie...

Za oknem odwilż. Usmażyłem ryby – inne wigilijne potrawy Babcia ma przygotowane. Dziadek przynosił pod choinkę siano. Po wieczery siedłem z Dziadkiem do obory, by w kromkach chleba podać krowom opłatek. Tak było. Krowy zdawały się na opłatek czekać. Dzisiaj będzie mi dzielenia się z krowami opłatkiem bardzo brakowało.

Czołki, 24 grudnia 2005

Piotr Szewc

Zbigniew Żakiewicz

Ujrzane, w czasie zatrzymane (26)

„UMIŁOWANIE ŻYCIA I POCIĄG DO ŚMIERCI – to przyczyna odwiecznej wojny w człowieku” – pisze Erich Fromm, psychoanalityk i filozof, uczeń Freuda, w swym studium: *Wojna w człowieku – psychologiczne studium istoty destrukcyjności w człowieku* (Wydawnictwo Jacek Santorski, Warszawa 1994). Książkę tę wraz z komentarzami wybitnych amerykańskich uczonych i myślicieli, otrzymałem dosyć dawno od lekarza psychiatry, doktora Piotra Pankiewicza, tłumacza dziełka. (Mówiąc nawiasem, pochodzącego z rodziny wielkiego malarza Józefa Pankiewicza, którego twórczość właśnie oglądamy na wystawie monograficznej w Muzeum Narodowym w Warszawie.)

Może wbrew intencjom Pankiewicza, zafrapował mnie nie tyle tłumaczony tekst, autora głośniejszej i popularniejszej *Ucieczki od wolności*, ile polemiczny komentarz Thomasa Mertona – pisarza, poety, zakonnika trapisty, dziś w Polsce obficie tłumaczonego, znanego też z korespondencji z Czesławem Miłoszem.

Jego *Posiew kontemplacji* czytałem przed wielu laty z wypiekami na twarzy, a był on drukowany w odcinkach w miesięczniku „Znak”, na lichym, żółtym papierze, tuż przed zamknięciem miesięcznika wraz z „Tygodnikiem Powszechnym” w roku 1953.

Umysł uczonego – nawet tej miary co Fromm, zawsze dąży do uproszczenia, gdyż z samej istoty swej naukowości redukuje on człowieka do racjonalnych wymiarów, nawet wówczas, gdy uważa się za analityka i to do tego „ludzkiej głębi”. To właśnie oni są dziś kapłanami-spowiednikami milionów Amerykanów.

I oto po latach okazało się, że amerykańskie społeczeństwo nie stało się ani mądrzejsze, ani szczęśliwsze; wręcz przeciwnie. Zjawisko to tłumaczy przenikliwie pisarz-zakonnik, następująco: „Nie ma prawdziwej miłości życia, jeśli nie jest ona skierowana na odkrycie naszego prawdziwego, duchowego «ja», poza i ponad poziomem jedynie empirycznej jednostkowości z jej powierzchownymi radościami i lękami”. Owe prawdziwe, duchowe „ja” jest niedostępne psychoanalitykom, którzy zajmują się jedynie „obszarem psychosomatycznym zakorzenionym w biologii człowieka”. Istnieje natomiast w człowieku obszar „nieporównywalnie bardziej duchowy i metafizyczny, który mistycy reńscy zwali p o d s t a w ą d u s z y” – pisze Merton.

Właśnie, któż z ludzi otwarty na Nieskończoność nie odnajdywał w sobie owej p o d s t a w y d u s z y – niezmiennej, wciąż tej samej od najgłębszego dzieciństwa (mistycy Wschodu nazywali ją: „Twoja prawdziwa twarz sprzed narodzenia”). Ona to powoduje, że nasza osoba, która poddana jest funkcjom biologicznym, ta „biologiczna maszyna”, która się starzeje, wciąż jest w swej tajemnej głębi, w swej p r a w d z i w i e p r a w d z i w e j d u s z y – ponad czasem, przestrzenią i materią.

Merton w pewnym miejscu cytuje „niezwykle przenikliwego pisarza średniowiecza” Guido Kartuzia. Pisze on, że człowiek, który jest świadom i ma żywą p o d s t a w ę d u s z y, „musi kochać niezniszczalne. Człowiek taki nie ma w sobie miejsca, które ktokolwiek mógłby zranić. Nie sposób takiego dotknąć, bo nienaruszalne są wartości, które kocha on tak, jak powinny być kochane”. Nie żywi też pogardy, ani nienawiści do rzeczy przemijających. „Są one dla niego jak sylaby wypowiedane przez Boga we właściwym czasie – słyszy je i idzie dalej.”

Dodajmy od siebie: stąd właśnie ludzie prawdziwej głębi duchowej – kochają codzienność, chwilę, drzewo, kwiat, przelatującego ptaka, a równocześnie są zanurzeni w wiecznym TERAZ. Takimi właśnie są święci.

Dzisiejsza filozofia człowieka, która nie czerpie radości życia z duchowego wnętrza osoby ludzkiej – pisze dalej Merton – „każe się cieszyć rzeczami zewnętrznymi i pustymi. Dokładniej mówiąc: kiedyś czerpaliśmy energię życia, optymizm w walce z siłami natury. Obecnie, gdy materia jest nam poddana, my także jej się poddaliśmy”. Merton z goryczą stwierdza, że Stany Zjednoczone „żyją w gorączkowym pośpiechu i beзуżytecznym aktywności (...), w społeczeństwie, które wciąż nas oszołamia błyskotkami i zalewa potokiem radosnych sloganów”. Życie takie „wzmocnia instynkt śmierci obecny w naszej koncepcji wojny, w naszej ekonomii i kulturze”.

Wizja „wojny w człowieku” przedstawiona przez Fromma jest bardzo prosta. Rozróżnia on dwie orientacje w człowieku: nekrofilną i biofilną.

Osobę nekrofilną „pociąga i fascynuje wszystko, co jest martwe: zwłoki, gnicie, brud. Lubi mówić o chorobie, pogrzebach, śmierci. Klasycznym przykładem typowego nekrofila był Hitler. Fascynowało go zniszczenie, a zapach śmierci był dla niego przyjemny”. Fascynuje ich przemoc, gdyż jest to zdolność „przekształcania człowieka w zwłoki”. Są zimni, zdyscyplinowani i oddani sprawie „prawa i porządku”, a więc urodzeni dyktatorzy w krajach martwych, biurokratycznych systemów.

Osoba, którą cechuje „orientacja biofilna, w pełni kocha życie i pociąga ją proces życia we wszystkich sferach”. Widzi raczej całość niż część, nie znosi biurokratycznego administrowania. Radość jest dla niej cnotą, a smutek grzechem. Jak u podstaw biologii leży łączenie się komórek, osoba biofilna zafascynowana jest „biegunowością męskości i kobiecości opartą na przyciąganiu się biegunów męskich i żeńskich”.

Wywody swe Fromm podsumowuje następująco: „Eros i destrukcja, afirmacja życia i afirmacja śmierci, to faktycznie najbardziej podstawowe sprzeczności istniejące w człowieku”.

Jakże naiwne wydają się nam dzisiaj te profesorskie wywody, nawet tak wybitnego humanisty jak Erich Fromm. Nie na tej drodze szukamy odpowiedzi – kim w swej istocie jest owa Pascalowska „myśląca trzcina”, chwiejąca się w wiecznym rozdarciu i rozdwojeniu w wichrach Niezmierzonego Wszechświata.

W TRUDNYCH LATACH STANU WOJENNEGO, a i później, gdy na półkach sklepowych był tylko ocet i nie zawsze musztarda, Polskę, a może szczególnie Gdańsk, zalały paczki żywnościowe wysyłane z RFN-u. Ku memu zdziwieniu i na nasz adres przyszła takowa paczka, ale nazwisko odbiorcy

było niemieckie. Sądząc, że to omyłka, odszukałem w książce telefonicznej mieszkańca (akurat Gdyni) o nazwisku podanym na paczce, ale kobiecy głos w słuchawce wyjaśnił, że od nikogo z Niemiec paczki nie oczekuje. Zanio-łem więc paczkę na pocztę, co wywołało wielkie zdumienie. Wyjaśniono mi, że stamtąd wysyła się paczki pod znane sobie adresy, tyle że nazwiska są fikcyjne, bo niby skąd mogą wiedzieć w Niemczech, kto dziś mieszka pod tym adresem? Następną i ostatnią paczkę, która była zaadresowana na zna-ne mi już nazwisko, przyjąłem.

I wówczas to pomyślałem: przecież dom, w którym mieszkam, postawio-no w latach trzydziestych, podobno dla ludzi pracujących na lotnisku. Czyż-by dawny lokator mieszkania nr 4, a może syn owych gdańszczan postano-wił sprawić tę niespodziankę? – Zacząłem zastanawiać się: czyje życie toczy-ło się w ścianach domu, w którym zamieszkuję od prawie ćwierć wieku? – Co przeżywała nieznana mi rodzina 1 września 1939 roku, gdy wybuchały pociski na Westerplatte, i później, w zimowe dni, gdy Gdańsk zdobywały i paliły wojska sowieckie? – Może mieszkańcy Magdeburger Strasse 26 leżą na dnie Bałtyku, we wraku „Wilhelma Gustloff”? – Może zginęli podczas panicznej ucieczki na Zachód? – Albo też opuścili Gdańsk w wagonach to-warowych, tylekroć obrabowywanych przez naszych bezwzględnych sza-browników?

Na podany na paczce adres wysłałem list z podziękowaniem. Odpowiedzi nie było. Do dziś dnia jest dla mnie zagadką: kim był ów Herr X – nadawca paczki i ów człowiek, na którego nazwisko trzykrotnie adresował swe dary?

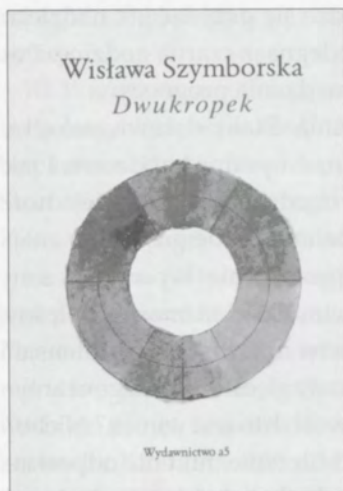
Zrozumiałem wówczas, że żyjemy w mieście, w którym amputowano pa-mięć o tych setkach tysięcy ludzi, którzy od pokoleń żyli tu i umierali. Pozo-stały tylko wydrażone domy, przedmioty i rzeczy z napisami. Jakże trudno zakorzenić się tam, gdzie nie wyrastały korzenie moich przodków. Polonia Gdańska była mniejszością. Dlatego, siłą rzeczy, wciąż wracam pamięcią do ziemi, której nie ma – do Wileńszczyzny...

Zbigniew Żakiewicz

RECENZJE

Julian Kornhauser

Siedemnaście mgnień wiosny



1. Mogło być inaczej. Inny ojciec, inna matka. Inne śluby, inne nadzieje. Mogła urodzić się im córka, ale niekoniecznie Wisława S. Może jakaś Kasia, jakaś Zosia, o innej fizjonomii, odmiennych zainteresowaniach. Ale stało się tak, jak się stało. Niewiele brakowało, by życie potoczyło się w inny sposób. Komu należą się podziękowania? Przypadkowi? Przeznaczeniu? Nie otrzymujemy odpowiedzi. Hipotetyczna nieobecność wśród żywych każe pamiętać o darze losu. Ktoś nim kieruje? Jesteśmy jego poddanymi? Ale przed

aparatem fotograficznym stajemy wszyscy: i ci, którzy mogli zaistnieć, i ci, którzy zaistnieli. Nieobecni i obecni obok siebie. Wyobrażenia wraz z ich realizacjami. Dziwny tłumek uśmiechniętych postaci.

2. Już nie można się dowiedzieć, co nasi najbliżsi myśleli o nas. Już ich nie ma. Zniknęli. Nie odpowiedzą na nasze pytania. Ich milczenie jest denerwujące. Także dlatego, że nie zdążyliśmy ich zapytać o tyle spraw trudnych i niewyjaśnionych. Jakie było nasze znaczenie dla tylu ludzi? Może żadne, może wielkie. Nie znając ich wyobrażenia o nas, gubimy się w świecie. Jakże potrzebne byłyby ich oceny, sądy, kpiące uśmieszki! Bez nich wydajemy się ubożsi, mniej warci. Zamknęła się potencjalna księga życzeń i zażaleń.

3. Właśnie ktoś kogoś przejechał na szosie. Ale nikt jeszcze o tym nie wie. Jeszcze nie odezwały się telefony, jeszcze telewizor milczy o wypadku. Na razie trwa wesola godzina obiadowa. Dzieci piszczą, w ogródku ruch, kot przymila się jak zawsze. Nie ma wiadomości o wypadku, czas biegnie zwykłym torem. Wprawdzie już chmury znad miejsca wypadku znalazły się nad domem, ale nikt ich nie wiąże z katastrofą. Ta chwila między tym, co się stało

a brakiem o tym wiedzy, ta przerażająca pauza, kiedy nic się nie dzieje, odkrywa nam istotę czasu. Dlaczego nie jesteśmy świadkami wypadku, dlaczego nie wzywamy pomocy, dlaczego nie jesteśmy świadomi rzeczy, które właśnie się stały?

4. Czekanie na kolejny dzień. Śledzenie prognozy pogody. Słońce czy deszcz? Przygotowania, plany. Ale kto z nas doczeka jutra? Nie każdy. Wprawdzie zapowiadają przejaśnienia i będzie ciepło, ale ci, „co ciągle żyją”, niech na wszelki wypadek wezmą parasol. Może się przydać jak nadzieja. Weźmiesz parasol, który czeka już u drzwi, a odegnasz czarną godzinę. Pokonasz myśli o zniknięciu i niemożności sprawdzenia prognozy.

5. Leśna wolność jak dziecięce przekomarzania. Ptaki, drzewa, zakątki, szczeliny i listowie. Arcydzieło natury, życie nad i podprzyrodzone. I jak tu nie można się zatracić, zagubić, poczuć swobodnie! Wszystko jest normalne, pospolite, nawet śmierć, o której się nie myśli. Ale gdy tylko znajdziesz się na powrotnej drodze, już ogarnia cię przerażenie. Wpadasz w sam środek ludzkiej złości i szukania win i przewin. Cóż ten moralitet leśny oznacza? Że lepiej wsłuchiwać się w szept klonów niż w ludzkie pretensje?

6. Zdarzają się w przyrodzie śmierci nagle, bezwzględne. Lwica goni antylopę do utraty tchu i dopada ją w niepewnej chwili. Kto jest winien? Niebo? Ziemia? Czas? Lwica? Obserwator z lornetką? Milczenie, nikt nie odpowiada. Winien jest sam ten przypadek, że doszedł do skutku właśnie teraz, o ósmej piętnaście. Tak być musiało, tak się stało bez niczyjego udziału, bez niczyjej winy. Poranek jest świadkiem, nie oskarżonym.

7. Biedny Darwin. Nie mógł czytywać powieści pozbawionych *happy endu*. Przynajmniej od fikcji wymagał pociechy. W swojej teorii ewolucji widział wyłącznie wymarłe gatunki, wyższość silnego nad słabszym, daremność przetrwania. Szukał w literaturze szczęśliwych zakończeń. I znajdował. Cieszył się z ukarania przestępców, upokorzenia pychy, nagrodzonej wierności. Czuł się usatysfakcjonowany. Ale dlaczego nie szukał takiej satysfakcji wśród ewoluujących gatunków?

8. Stary profesor o przeszłości nie chce mówić. Wszystko, co najdroższe, przeminęło. Przyszłość nic nie znaczy. Najbardziej lubi obserwować nocne niebo. Nie może się nadziwić, „ile tam punktów widzenia”. Nie przeszłość zatem, ani przyszłość, a może nawet nie teraźniejszość stają się istotne pod koniec życia. Zwłaszcza dla kogoś, kto wie więcej niż inni. Ale profesor już nie wie, co dla ludzkości dobre, a co złe i czy naiwność skończyła się wraz z dojrzałością. Punkty widzenia nad głową: w niebie czy na niebie? Może to

nieważne. Ważniejsze, że nie wśród ludzi, ale w międzygwiazdnej przestrzeni. W niewyobrażalnej rzeczywistości.

9. Od perspektywy wiele zależy. Można się pomylić, albo trafić w sedno. Z okna widać kobietę i mężczyznę. Ona wchodzi do sklepu, on do samochodu. Z daleka wyglądają na zakochanych. Ale czy naprawdę? Może wcale nie. Łatwo się pomylić, ale czy to ważne? Przecież ta chwila pewności, że coś się stało, może stworzyć historię o smutnym wydarzeniu, nawet jeśli nie nastąpiło. Perspektywa „z daleka” kusi, by stworzyć coś na niby. Tam gra życie.

10. Wzruszająca sytuacja: poeta czyta wiersze niewidomym. Jak przekazać im kolory, blask, wysokość, odległość? Każde zdanie „wystawione jest na próbę ciemności”. Ale niewidomi słuchacze są wyrozumiali i wspaniałomyślni. Słuchają, klaszczą i proszą o „niewidzialny dla siebie autograf”. Paradoks, który uczy pokory. I daje znać o sile poezji. Wiersz otwiera oczy innym.

11. Niesamowity monolog psa. Spowiedź szczenięcia wieku. Dopóki żył jego pan życie układało się szczęśliwie. Wzajemna ufność, wzajemna miłość. Pies miał obowiązki, pan troszczył się o psa. Ale nagle los się odmienił trochę wiosny. Pan znikł, w domu „rozpętała się dziwna bieranina”. Przeprowadzka, zamęt i nienawiść w oczach obcych ludzi. Ruszyli w drogę. Psa zostawili. Ktoś „strzelił” do niego „dwa razy”. Umierał długo „i boleśnie”. Pieskie życie podniesione do rangi ludzkiego cierpienia. Podkreślenie wzajemnego szacunku, radosnego zaufania.

12. Wywiad z Parką, która w rękę trzyma nożyce. Jest pracoholiczką, nie śpi, nie wypoczywa. Nadgorliwość i brak uznania. Dzięki wojnom jest „na bieżąco”. I niesłychane pytanie: „ma Pani Zwierzchnika?” pozostaje bez odpowiedzi. Słychać szcęk nożyczek, które tną nitki żywota. I czy rzeczywiście Atropos nie ma zwierzchnika? A może odpowiedź nie przechodzi jej przez gardło?

13. Koszmarny sen poety: jest taka kraina, gdzie nie ma miejsca na zdziwienie, niepokój, niejasność. Wszystko tam oczywiste, ściśle określone, bez zaskoczenia. Nie istnieją nawiasy, czasy wyobrażalne. A to oznaczają, że „nie ma poezji i nie ma filozofii, i nie ma religii”. Nic, tylko prędko się zbudzić, odegnąć ten koszmar. Jakże pięknie rozeznaczyć się w niepewności i zadziwieniu! Poezja w swoim żywiole.

14. Żyjemy w labiryncie. Miotamy się od ściany do ściany, nie możemy się cofnąć, stale naprzód bez względu na okoliczności, zakręt za zakrętem, na rozum i na chybił trafił. Tysiące korytarzy, bram i prześwitów. I raptem, na

końcu urwisko, ale na szczęście jeszcze mostek. Mostek „chwiejny, ale jedyny, bo drugiego nie ma”. Najpierw więc schodki i próg, a potem urwisko i chwiejny mostek. Czy to jest wyjście z labiryntu? To urwisko i niepewny mostek? Stanąc na nim i spróbować przejść? Tam jest wyjście, tylko że to nie my go szukamy, ale ono nas. Wyjście od początku jest w pogoni za nami, a labirynt jest ucieczką.

15. Przez nieuwagę przeżyło się dzień w sposób bezrefleksyjny, bez zadawania istotnych pytań, tylko na „zwykły użytek”. I co? Przecież zachodziły zmiany, deszcz padał zupełnie inny, coś trwało, ale bez naszego udziału. A świat domaga się naszej uwagi, nawet najmniejszej, nawet na kilka sekund. Choć kosmos o nas nic nie wie, to my winni mu jesteśmy naszego zainteresowania. A nuż regułem swej gry nada nowe znaczenie?

16. Greckiemu posągowi czas nie szczędził ran: pozbawiał kolejno nosa, genitaliów, palców, głowy i pośladków. Zachował się tylko tors. Ale nie zniknęło piękno, „wdzięk i powaga utraconej reszty”. Więc mimo wszystko trwa i olśniewa. A czas „ustał w pracy i coś odłożył na potem”. Posągi umierają bialo i „nie zawsze do końca”. Inaczej niż ludzie. Piękno „marmuru” mimo niszczycielskiego działania czasu jest nieśmiertelne. Okaleczony posąg olśniewa, bo pamięta o utraconej reszcie.

17. Każdy wiersz zapisuje chwilę: szelest, błysk, cień. I już ta chwila inaczej wygląda, inaczej rozmawia z nami, nieruchomieje, zastyga. Jest nazwana, zobaczona, napomknięta. Może zaistnieć z błahego i ważnego powodu. Stawia znaki zapytania i dwukropek. A co jest za dwukropkiem? Za dwukropkiem otwiera się, jak w książce Szymborskiej, biała, pusta strona, a to znaczy nasza niecierpliwość, moment zastanowienia, jedna z wielu interpretacji.

Postscriptum

W siedemnastu wierszach *Dwukropka* czas przegląda się w lustrze wieczności. Jedna z trzech córek konieczności, groźna Atropos straszy nożyczkami, ale nie przecina nici. Opowiada o swoich siostrach, nie zapominając ani o pocieszce, ani o umykającym czasie. Szymborska studiując czas, analizując jego rozmaite przyspieszenia i cofnięcia, kładzie nacisk na chwilę jako ostateczne i najważniejsze przesłanie. Pisząca ręka nie tylko nazywa, ale konserwuje nieobecność. Nietrwale zamienia w trwałe, ruchome w nieruchome. To, co żywe, zrywa się do biegu. Są ucieczki i pościgi. Zegary i oczekiwania. Poetka ogląda początek i koniec, wejście i wyjście, ustawiczny ruch ku try-

bowi warunkowemu. Nie w bezruchu, lecz szybkiej ucieczce szuka znaków zapytania i powodów zdziwienia.

Julian Kornhauser

Wisława Szymborska, *Dwukropek*, Wydawnictwo a5, Kraków 2005

Jacek Łukasiewicz

Intonacje

1. Siedemnaście wierszy, mówią one, że życie trwa, jakie jest – przypadkowe. Każdy zależy od nieskończonej ilości przypadków, z wielu etapów ewolucji – od praczasów, poprzez kolejne pokolenia, aż do rodziców: „moja matka mogłaby poślubić/pana Zbigniewa B. ze Zduńskiej Woli/(...) a mój ojciec pannę Jadwigę R. z Zakopanego”. Urodziłyby się im córki, m n i e by jednak nie było, a przecież nie brakowałoby nikogo. Możliwości niezrealizowane nie liczą się bowiem we wszechświecie. Przypadek rządzi życiem i śmiercią, nie znamy losu, nie znamy siatki zależności międzyludzkich, w które jesteśmy wpłątani; ignorujemy je i inni też ignorują moje miejsce w tej sieci, moją w niej ważność i niepowtarzalność: „Czy fakt, że byłam obok, / miał jakiegokolwiek znaczenie / dla J. dla K. i reszty alfabetu?”. W każdej chwili zdarzają się wypadki drogowe zaskakujące ofiary i ich bliskich. W każdej chwili Parka tnie nożycami kolejne nici ludzkich żywotów. W każdym momencie nie wiemy, co się zdarzy. Żyjemy w przypadku i on nas stale zadziwia. Nie znamy naszego prawdziwego miejsca w świecie, jak nie znał swojej sytuacji pies Adolfa Hitlera, pospiesznie i śmiertelnie postrzelony po śmierci swojego pana. Przypadek, wszelki przypadek... Przecież on był jednym z głównych tematów wierszy Szymborskiej od początku niemal: od *Wołania do Yeti*, a naprawdę znacznie wcześniej, gdy to przypadkiem się ocalało, unosząc „nasz łup wojenny”. Taka była świadomość generacyjna znajdująca się u początku tej poezji.

Doniosłość przypadków, które nas kształtują, poznajemy z wiekiem – pisał Odo Marquard w *Apologii przypadkowości*. „Przechodzimy przez życie i dochodzimy do siebie samych nie tyle drogą wyboru – a więc poprzez plany – ile raczej przez przypadki, i nie jest to – jak chce nam wmówić filozofia absolutnego wyboru i absolutyzacji człowieka – katastrofa; przypadek nie jest

bowiem nieudaną absolutnością, ale – uwarunkowaną przez śmiertelność naszą historyczną normalnością” (przełożyła Krystyna Krzemieniowa). Z przypadkowością chcą się uporać religia i sztuka. Sztuka – powiada ten sam autor – z przypadkowością naszych wyborów, religia – z przypadkowością losu. Wisława Szymborska konstruując wiersz zapanowuje nad przypadkiem „płynącym z dowolności” wyborów. Przypadkowość zaś losu (po zawieszeniu pytania o to, czy ktoś tym losem rządzi, gdyż to wykracza tu poza horyzont poznawczy poezji), odkrywana jest przez nią z nieustającym zdumieniem. Przemienia się w przygodę.

Przygoda to pozytywnie przeżyty przypadek, nasycony emocją, zmieniony w dzieło. Droga zaś twórcza to wiele takich przypadków-przygód, układających się linearnie. Radość zaś z życia-przygody ważniejsza jest od grozy, która także nasycza los człowieka. Żyjemy, jak na ruchomej krze, ale lepsze to od piekielnego ładu, „w którym panuje tryb bezwarunkowy” (*Okropny sen poety*). Mieszkańcy zaś tej strasznej krainy – „Bardzo by się zdziwili, gdyby umieli się dziwić, że istnieją gdzieś jakieś powody zdiwienia”.

A więc żyjemy niepewnie. Na tych wyspach, które sami sobie tworzymy, a są to w tym tomie wyspy wierszy. Każdy utwór ma swoją ideę, przedstawianą precyzyjnie w najmniejszym detalu, z dbałością o intonację słowa mówionego (czytanego), kierowanego do adresata (słuchacza), który jest w wierszach Wisławy Szymborskiej stale obecny – i to najczęściej adresat konkretny, jednostkowy. Starannie skomponowane zostały wiersze-opowiadania, takie jak *Stary profesor* lub wspomniany *Monolog psa zaplątanego w dzieje*. Forma stwarza złudzenie stałości, tak jak na innej, fabularnej płaszczyźnie złudzenie stałości daje życie codzienne, z jego powszednim rytmem czynności. Musimy mieć pewność rzeczywistości wiersza, odpowiadającej rzeczywistości życia. Nawet gdy posługujemy się z konieczności albo z wewnętrznej potrzeby iluzją ułatwioną czy sentymentalną – zrymowaną. Ona też jest utrwaleniem ładu. Będzie to przecież z konieczności tylko ład (zatrzymanej) chwili, a obrazem jego jest w świecie przedstawianym układ chmur obserwowanych na niebie i przez nasz umysł sfotografowanych, gdy naprawdę chmury są ulotne, prędkie, jak u Horacego. Ileż chmur jest w tym tomie Wisławy Szymborskiej! Ileż pejzaży nieba, podobnych do tych z siedemnastowiecznych obrazów o obniżonym horyzoncie.

Ale to tylko naturze możemy narzucić nasz ład, to w jej obrazie – na nasze żądanie – stosunkowo łatwo wszystko się rymuje, tak, jak w wierszu *Morali-*

tet leśny. Ludzka rzeczywistość nie poddaje się takiemu narzucanemu ła-
dowi. Chcemy innych przykroić do naszej mentalnej rymowanki, a tu nic z te-
go: „Każdy mu jest winny, kto od innych inny”. Ludzkich spraw nie da się
tak obserwować, jakby się było na safari, jak lasu czy buszu z ich fauną. Czy
też – można tak czynić, ale będzie to nieetyczne. Tak przynajmniej z tych
wierszy wynika, z ich postawy moralnej.

Ale z tego, według poetki, cieszyć się trzeba, a w każdym razie raczej dzi-
wić niż oburzać, współczuć niż gardzić. Zamykając formy, otwierając idee.

Teologia i teodycea są tu obecne, ale jakże dyskretnie. Obok wymiaru
ziemskiego jest wymiar kosmiczny, w pewnym aspekcie stanowi on konti-
nuum naszej czasoprzestrzeni, a w innych nie stanowi. Jest przerastającą
naszą wiedzę i wyobraźnię tajemnicą. W tym wymiarze jest nasz los. Może
ten wymiar przerażać, zwłaszcza, gdy nie znajdujemy w nim odpowiedzi
na pytania eschatologiczne. Bohaterkę Szymborskiej – ani na moment nie
uchybiającą regułom inteligentnej konwersacji – wprawia raczej w zdumie-
nienie. W zakończeniu *Wywiadu z Atropos*: „Spytam inaczej: ma Pani
Zwierzchnika? ... Proszę o jakieś następne pytanie”. Odpowiedzi nie bę-
dzie, i jej brak w tym świetnym, konstruowanym z dystansem świecie po-
etyckim przyjmowany jest jako otwarcie. *Dwukropek*, kończący ostatni
utwór w tomie, został powtórzony na osobnej, końcowej stronie. Sam ją
zajmuje. Znak przestankowy, po którym coś musi nastąpić, najprawdopo-
dobniej cytata albo wyliczenie (Marian Stala w „Tygodniku Powszechnym”
pisał w związku z tym tomem o „metaforze interpunkcyjnej”). Ten dwu-
kropek stanowi wygłos wyznaczający intonację tomu. Bo podobnie jak po-
szczególny utwór, tak każdy skomponowany tom wierszy posiada swoją
„intonację”, która znaczy i go wyróżnia. W bardzo obszernych tomach do-
strzec ją trudno, ale *Dwukropek* zawiera tylko siedemnaście utworów i za-
wieszenie intonacji całości jest wyraźnie wyczuwalne.

2. Jakże inne są intonacje tomu Urszuli Koziół *Supliki*. Tytuł wskazuje na
podanie, prośbę, a więc na wypowiedź w trybie instytucjonalnym, publicz-
nym, kojarzy się też z suplikacją – modlitwą błagalną. Ale zarówno w po-
daniu, jak i w modlitwie słowo jest tu gwałtowne. Wypowiedź swoją dyna-
miką przeciwstawia się śmierci, choć jej, jak wiadomo, nie można skutecz-
nie się przeciwstawić, ani zakląć magicznym gestem czy wyliczeniem. Nie-
które z tych zaklęć zatytułowała poetka traktatami, jakby chcąc ukryć ich
rzeczywistą funkcję. Zaklina mnożeniem słów, zaczynających się od częst-

ki wyrażającej brak: „... bezzębny bezręczny bezgłowy bezowocny bezpłciowy bezgłośny bezcielesny bezrozumny...” (*Traktat o pewnym wieku I*) i: „... niedowidzi niedosłyszcy nie domaga nie dojada nie dopuszcza nie dożywa nie dożywia nie dosypia nie dotrzymuje nie dopatruje...” (*Traktat o pewnym wieku II*).

Różnice z tomem Szymborskiej najlepiej widać w formułowaniu teodycei. W wierszu *Wywiad z Atropos* mamy dystans gatunku (wywiad) i kolejny dystans powstały przez powołanie mitologicznej postaci – Parki. Za tym dopiero stoi pytanie autorskiego, egzystencjalnego „ja”, choć i bezpośredniość pytania, i powaga pytającego autorskiego „ja” zostały starannie ukryte – przecież odpowiedzi i w tym wierszu, i w tym życiu nie będzie. U Urszuli Koziół w *Małym traktacie o Bożych niesprawiedliwościach* jakby odwrotnie: wszystko wypowiedane, ba, wykrzykiwane jest wprost, z romantycznym impetem: „Bóg – jeśli jest – doprawdy nie zna umiaru w zadawaniu nam bólu (...) w wynajdywaniu w nas najczulszych miejsc, by nieomylnie i znienacka ugodzić w nie. Zatem wyrok śmierci, już sam w sobie jakże złowrogi i niepojęty, nie jest wystarczającą miarą ostateczną, rachunkiem wystawionym niejako na wyrost, bez względu na rozmiar winy”.

Życie bowiem bohaterki tego tomu przypadło na czas burzliwy, w którym trzeba się bronić przed uzurpatorskim obrazem Boga, przed Historią, która czyha na autonomię jednostki, mojej jednostki – mnie „w dobie rozłamu dwu czy nawet trzech epok/które bez pytania o zgodę/wtargnęły w dzień moich narodzin” (*Zamiast wiersza I*). Trzeba walczyć w obronie swojej autonomii, a walka bywa rozumiana dosłownie. Wiersz jest bronią (łukiem) „nakierowuję (...) ciężewę tej strofy” na „nieistniejące ty”, rozpaczliwą modlitwą: „próżno szturmuję niebo/słaniem supliki za supliką//nadęty obłok/przynosi mi niezmiennie wymijającą odpowiedź” (*Wieczny Szyzyf*). Hiperbole są gwałtowne i osobiste, nawet wtedy, gdy ich materia jest kulturowa i mitologiczna: „miecz Damoklesa nad Madejowym łóżem/oto jakie są moje sny”. Ale także: „w każdej chwili na nowo/umieram z zachwyty/nad urodą tego świata//choć ten właśnie wyslizguje mi się z rąk”. Widok opadających jesienią liści zwykle bywa melancholijny i uspakajający, a tu: „drzewa rozrzucają ulotki jaskrawe jak alarm/że już-już nastanie powszechna biel” (*Wyrywki 4*).

W całej dotychczasowej poezji Urszuli Koziół ton był modulowany, a intonacja zmienna. Tu jednak modulowany jest nieco inaczej – jakby głośniejszy. Bezpośrednie „ja” mówiącej przeważa nad głosem gatunków, konwen-

cji. Stylizuję – sugeruje poetka – ale ode mnie przeżywającej pochodzi temperatura tej językowej stylizacji. Pohańbioną trumnę Stanisława Augusta „ryj świński ma za koryto/wieprze żłopią zeń bełty taniej garkuchni/kaczki i gęsi ogwadzały łajnem/ostatnie łoże króla wytworknisa” (*W barwach amaro*). Podmiot autorski chciał się tu, być może, wycofać poza styl, ale przesadzając nie zdołał.

Pisany wiersz – a jest to zapis niezwykle – dopiero w pewnym momencie staje się własny, to taka „Chwila w której rodzący się wiersz/zostaje zroszony tchnieniem/mojej duszy//chwila/w której to tchnienie/przenika go na wylot”.

Nad formami panuje się oczywiście (Urszula Koziół to wytrawna poetka). Panuje się jednak nie do końca, pozostaje coś z używanej konwencji, co nie zostało przez „ja” piszące w pełni przywłaszczzone, „ulirycznione”, co jest w jakiś przykry dla poetki sposób – cudze.

Słowo wystaje poza mój kontur
 Stwarza poza mną wielość innobytów
 Wśród nich płacze się i błąka zagubione „ja”
 moje – nie – moje

W stylizowanym na piosenkę, a mówiącym o starzeniu się, *Scherzo* – sarkastyczny dowcip ma Rabelaisowską nutę. Czytamy też: „język tego wiersza to język wywieszony do samego pępka” (*Wyrywki 6*). A w tym „nie do końca obmyślany Bóg” – transcendentny, ale jak? Czy tylko w obszarze wiersza?

Pyta w obliczu starzenia: „gdzie tu jest miejsce na słowo/bo niby jakie – w tym świetle – mogłoby być”. Występuje dziwne i rzadkie zjawisko: odpychanie pisanego wiersza. On wobec kategoryczności losu, wobec śmierci, nic nie znaczy. Pali się więc poetyckie notatki w ognisku na działce, zjada się (bardzo fizycznie, zmysłowo) wiersz, jak makaron. Boi się swojego wiersza, swojego „ja” wewnętrznego? czy przeciwnie – transcendentnej wobec mnie konwencji?, odsuwając, odrzucając wiersz: „Pocóż więc miałabym cię zapisać? Znikaj./ / Albo spróbuj przyjść jutro./ Kiedy indziej. Potem”.

Czy to wyraża zwątpienie w skuteczność słowa wobec tragizmu własnej egzystencji podmiotu? Zapewne też. Również jednak chodzi tu o to, że słowo „wystaje” poza życie, że je niebezpiecznie, zatrważająco przekracza. Zmienia się w „lodowaty inicjał wiecznego snu”. Śmierć przedstawia się tedy jako tekst (jest przestrzenna a nie punktowa), to nieznanne pismo. Przeróżający wiersz. Zaraz potem następuje w tym tomie oswojona, rodzima i zanu-

rzona w obyczaju kolęda (*Z kolędą*). Nie równoważy ona jednak nastroju, ale pogłębia poprzez kontrast wymowę poprzedzającego utworu.

Egzaminowane jest też to własne poetyckie słowo, które w przeszłości nie potrafiło sprostać traumatycznemu przeżyciu utraty bliskiego człowieka: „to było wtedy kiedy słowo odmówiło mi podania klucza//do sensu nadciągających godzin” (*Wtedy*). Jakże trudno – widzimy – jest to wysłowić bez katachrezy. Ani własna poezja nie załatwi, ani cudza nie pomoże „w poskładaniu od nowa utraconych światów/z potłuczonych/i już raczej nie pasujących do siebie kawałków” (*Lizbona II*). Wiersze są tu uznane za instrumenty, ale również za instrumenty uznane są sny, do których wiersze zostają porównane: „igły nie pasujące do nici/które w dodatku nie prowadzą do kłębka” (*Igły snów*).

Bywa jednak też w tym tomiku doskonała przyległość słowa (emocji) i pejzażu, wiersza i pejzażu:

góra zachodzi za górę
chmura zachodzi za chmurę
słowo zachodzi za słowo
zapada wczesny
wiersz

(*Wyrzywki 5*)

Nie ta jednak łagodna, rytmicznie opadająca fraza wyznacza intonację tomu, ale niespokojne pytanie i wykrzyknienie – gwałtowne, retoryczne, z jakąś nadzieją, ale i z poczuciem daremności. Nie-przystawanie. Los to alfabet: „Ktoś z wyżyn zsyła litery/w których nam nie do twarzy”. Wyrażenie „do twarzy” można rozumieć „konfekcyjnie” – kokieteryjnie, wtedy naszego uczucia wypadnie się raczej wstydzic, gardzić nim. Albo jest to twarz wyrażająca, skupiająca wszystko (jak u Lévinasa). I dlatego odpycha się wiersz?

3. W *Suplikach* słowo ma swoje źródło poza człowiekiem. Nie jest tylko narzędziem, ale także rodzajem objawienia, danym, mającym swoje przedłużenie. I funkcja poety to funkcja tym danym i jeszcze (być może) przez kogoś kierowanym narzędziem władającego.

W *Dwukropku* słowo poetyckie, też tajemnicze, ma całkiem ziemski, nie kosmiczny wymiar. Nie skupia też na sobie uwagi, przynajmniej w ten sposób i w tym stopniu. Język tutaj jest instrumentem innym niż sny. Można nad nim panować. Jest też przygodą, obszarem wolności i jej funkcją, tedy funkcją życia. Życia traktowanego podmiotowo, którego horyzont ciągle się

przesuwa, którego składnia – w tej perspektywie z wewnątrz życia-zdania – nigdy nie kończy się kropką. A jednocześnie w *Dwukropku*, tak jak we wszystkich wierszach Szymborskiej składnia poszczególnego utworu jest rygorystycznie spójna. Poszczególne wiersze poddane są rygorowi kropek, wyznaczanej przez nie segmentacji i zawsze zamknięte są kropkami. Podział wersyfikacyjny odpowiada składni. Nie rządzi tu przerzutnia. Charakterystyczny jest ostatni w tomie utwór (*Właściwie każdy wiersz*), złożony z anaforycznych współrzędnych zdań, przedzielonych średnikami. Otrzymujemy jedno, przejrzyste składniowo zdanie współrzędnie złożone. Dwukropek na jego końcu nie jest znakiem interpunkcyjnym, ale pełni funkcję ikonyczną. Jest ilustracją. Po nim powinna następować kropka. Dopiero na ostatniej, oddzielnej stronie powtórzony dwukropek, zamykający nie wiersz ale tom, i wyznaczający nie intonację wiersza, ale intonację tomu – jest sobą. Bo wypowiedź się nie kończy. Będzie ciąg dalszy.

W *Suplikach* słowo poetyckie umyka, rozprasza się. *Znikopis*: „wiersze mi się porozpra-/szały w proch spro-/szyły mi się szer-/sze ni się popro-”. A tom kończy się lamentem. Pamiętamy, czy był od bardzo dawna w poezji Urszuli Koziół lament (jako gatunek). Był obrzędową powinnością poetki, która powinna oplakiwać zmarłych. Był skierowany na zewnątrz: do żywiołów, do Boga... W tym lamencie jest miejsce na zaklęcie (daremne „Supelki węzełki supliki/paciorki koronki mod-/liszki/nic tu po was”), na krótki dramatyczny dialog, na autorytet cytatu. Na inwokację, modlitwę rozpacziwą do Boga, którego transcendencja wciąż jest niepewna, choć upragniona: „chyba potrzebujesz mnie żeby zaistnieć/zanim pochłonie mnie wielkie/i nieopjęte NIC”. Lament przechodzi w pytanie, dlaczego nie znajduję pociechy poza modlitwą, dlaczego nie znajduję ciebie, dlaczego –

Zamyka ten tom nie kropka, nie dwukropek, i nie – jak spodziewać byśmy się tu mogli pytajnik, lecz myślnik: *perche* – Ten znak interpunkcyjny wyraża m.in. wyodrębnienie, stawia się go też zamiast domyślnego członu zdania albo przed wyrażeniem uogólniającym to, co zostało poprzednio wyszczególnione. Podkreśla odstęp, granicę, która w poezji jest nie do przekroczenia. To przeciwstawienie się i otwarcie, gwałtowne. Zawieszenie w falującej, rwanej intonacji lamentu.

Jacek Łukasiewicz

Wisława Szymborska, *Dwukropek*, Wydawnictwo a5, Kraków 2005

Urszula Koziół, *Supliki*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005

Leszek Szaruga

Satyr

W wywiadzie, jaki dla „Gazety Wyborczej” przeprowadziła z Różewiczem Anna Żebrowska, powiada poeta: „Nie można żyć tylko martyrologią, prawda? Oprócz *Dziadów* i *Kordiana* jest ironia Norwida, są *Śluby pannieńskie* i *Zemsta* Fredry. Bez Fredry dramaturgia polska chodziłaby na jednej nodze. Ja staram się chodzić na obu nogach. Dlatego oprócz wierszy o starości są w tym tomiku (*Wyjście*) satyry. Nie takie satyry jak u Trembeckiego, Reja czy Kochanowskiego, lecz pisane moim metrem, moją formą. Na przykład wstawiłem do jakiegoś wiersza receptę – wyliczyłem wszystkie leki, jakich zażywam, i sam się z tego pośmiałem. (...) Wiersze satyryczne to moja furtka psychiczna. Niech pani nie myśli, że jestem wystrugany z jednego kawałka drewna”.

W zasadzie mało się o tych „satyrach” Różewicza mówi, a to wszak poeta, który satyryczny dyskurs „wpisał” w „poezję poważną”: to od niego wszak uczyli się także poeci Nowej Fali, których poezja przecież, szczególnie w pierwszej swej fazie, ma sporo satyrycznej energii. I nic dziwnego, że to oni przede wszystkim przyznali Różewiczowi Nagrodę Poetów 71. Pisał wówczas Adam Zagajewski: „Ani lingwistyczny, a i klasycystyczny, Różewicz zdecydował się jako poeta odegrać przede wszystkim całą swoją tragedię pomyłek”. I nie jest tak, iż można wyodrębnić w twórczości autora *Plaskorzeźby* wiersze satyryczne jako osobną grupę. Przeciwnie: coraz wyraźniej widać, że „satyryczne” (mimo wszystko, właśnie z uwagi na owo Różewiczowskie „metrum”, należy tu posłużyć się cudzysłowem) tło przenika całą tą poezję, nadaje jej dynamikę. Nie – w żaden sposób nie da się skutecznie wypreparować z całości dorobku pisarza „wierszy satyrycznych” jako osobnego zbioru.

I nie trzeba. Bo choć sam autor w początkach swej drogi takie próby czynił – czego świadectwem tom *Uśmiechy*, później uzupełniony (tymi dopełnieniami, uzupełnieniami, zmianami będą się jeszcze zajmować uczeni mężowie i równie uczone niewiasty przez lata całe) – to przecież jest to zabieg mylący (przy okazji: te uzupełnienia sprawiają, że tom obecnie prezentowany odrzuca przyjęty na ogół w wydaniach „dzieł zebranych” porządek chronologiczny – mamy tu wiersze z lat pięćdziesiątych oraz utwory pisane w ostatnim okresie). W tym kontekście warto też przeczytać słowa, które

w tym tomie zamykają wybór z socrealistycznego zbioru *Czas, który idzie* (nawiasem mówiąc w stosunku do pierwodruku zmieniony został – poza pominięciem niektórych utworów – porządek wierszy, także ich tytuły, jak choćby *Pejzaż*, który obecnie zatytułowany został *Pejzaż węgierski*: znów cała masa pracy dla skrupulatnych filologów):

stare wiersze opadają ze mnie
o nowych nie śmiem jeszcze marzyć
o nowej poezji
którą
można przeczuć
w chwili szczęśliwej

(*Nie śmiem*)

To przecież wyeksponowanie „nieszczęśliwej chwili”, w której utwór ten był pisany. Reinterpretacja? Do pewnego stopnia na pewno: wszak układ jest znaczący (w tomie ten wiersz był umieszczony jako czwarty z kolei, a więc na miejscu mniej niż obecnie eksponowanym). Z drugiej jednak strony to ważne, że ten tom – jeden z najbardziej dziś „trudnych” w odbiorze – nie został przez autora pominięty czy zredukowany. Wręcz przeciwnie: został „satyrycznie” zrekonstruowany.

Satyr – co warto jednak przypomnieć – był konspiracyjnym pseudonimem poety. Pod tym pseudonimem ukazał się jego tom pierwszy – *Echa lesne* – w obecnym wyborze nie uwzględniony, choć już czytelnikom przypomniany przy innej okazji (1985). Nie brak tam utworów „satyrycznych”, lecz przecież sam tytuł – a i niektóre, nie pozbawione patosu teksty, łącznie z patetycznym autorskim zwrotem do czytelnika – nawiązuje do Stefana Żeromskiego. I ten właśnie patos zostaje w powojennych wierszach Różewicza wzięty w nawias (choć przecież pojawia się czasem, ale właściwie tylko w wierszach socrealistycznych): język Muz – jak to pisał Różewicz w posłowniu do swego wyboru poezji Leopolda Staffa – zastąpiony został „językiem ludzkim”, w którym „satyryczna” tonacja zdaje się dominować.

Leszek Szaruga

Piotr Michałowski

Oślepiające lustro świata

Klasycyzm dzisiejszy nie może być ani prostoduszny, ani oczywisty. Wygnanie poety z raju niewinności skazuje go na manifestacje głęboko intertekstualne, a niekiedy karkołomnie polemiczne apoteozy odległej tradycji, wielowarstwowo uwikłane w historyczne odmiany nurtu, opozycje i spory, nie wyłączając batalii z barbarzyńcami lat 90. ubiegłego stulecia. Dlatego klasycyzm jako swoisty neokonserwatyzm staje się paradoksalnie opcją najbardziej prowokacyjną, a więc wymagającą wciąż nowych uzasadnień i usprawiedliwień. Poezja Janusza Kryszaka sieć takich odniesień i motywacji pozwala w pewnym stopniu zrekonstruować, choć trudno zgodzić się na jej implikowane przesłanie, iż chodzi o jedynie możliwą reakcję współczesnego poety na rzeczywistość. Krzyżują się tu bowiem różne nurty myślenia o tradycji i tym samym różne ujęcia klasycyzmu, a w splotach jego komponentów wyłania się jakaś ruchoma hierarchia, świadcząca o poszukiwaniu oparcia dla takiej sztuki słowa, która byłaby zarazem formą estetyczną, metodą poznania i sposobem bycia w świecie. Na pytanie, czym jest klasycyzm – przez autora postulowany i realizowany – odpowiedzi możliwych jest kilka, ale każda z nich zostaje sformułowana w cieniu krytyki lub zaprawiona romantyczną goryczą niemocy, świadomością ograniczeń i przecuciem klęski.

Klasycyzm to triumf formy, gdyż niewątpliwie widoczna tu jest dbałość o dostojeństwo frazy, harmonię zdań skończonych i niepodważalnych. Ideał poety i przedmiot jego tęsknoty to aleksandryjska doskonałość, stąd próby wskrzeszenia sztuki słowa we wzorach Teokryta i Kallimacha, co prócz deklaracji programowej wiersza *Poeta aleksandryjski* znajduje ujście w tonacji elegijnej i sielankowej całego tomu, a tytuł *Elegia na odejście szpaka* wyraźnie parafrazuje Herberta. Kunszt wersu i brzmienie domkniętych zdań okazuje się jednak wartością drugorzędą, natomiast celem głównym jest osiągnięcie maksymalnej precyzji zmetaforyzowanego obrazu. Takie imagistyczne skłonności wykazuje bowiem wiele sugestywnych fragmentów, a data i adres umieszczony pod *Elegią ulicy Złotej* nadaje im status manifestu: „Lublin, 15.03.2003 100. rocznica urodzin J.Cz.”. Chodzi oczywiście o Józefa Czechowicza, choć katastroficzne konteksty Drugiej Awangardy

mogą tu wprowadzać w błąd*, gdyż realistyczne obrazowanie wolne od symboliki kieruje raczej na inne obszary tradycji poezji:

jasny brąz ostatnich liści
 jak naszyjnik na obnażonych jeszcze gałęziach
 polyskuje światłami
 i nagle
 śnieg znowu zawirował w szybach
 zmatowiałych

w połowie marca
 listopad mocno trzyma mnie w ramionach

Sensualistyczna bezpośredniość doznań często jednak okazuje się tylko pozorem, gdyż **klasyzm to dystans** dzielący autorskie „ja” od świata przedstawionego, dystans, który wydaje się większy niż wobec języka i przyjętej tu archaicznej konwencji literackiej. Zamiast umocowanego autobiograficznie wyznania wiary otrzymujemy więc portret sędziwego filologa albo malarza, który – „światła szuka w ciemnym stuleciu” (*Pracownia artysty*). W ten sposób zamaskowane *credo* i uwagi metapoetyckie od razu przekraczają horyzont autobiografizmu, tworząc uniwersalną estetykę z dylematami każdego twórcy. Wiersz *Filologia* niewątpliwie przedstawia doświadczenia zawodowe i poetyckie autora – jak skądinąd wiadomo, profesora UMK w Toruniu, historyka literatury i krytyka. Poeta jednak eksponuje znowu nie aspekt osobisty, ale dylemat Fausta – przeciwstawiając świat ksiąg światu realnemu. Stwierdza, iż dawniej zagrożeniem był ten drugi, a pierwszy służył za azyl; dziś natomiast relacja została odwrócona i niepokój budzi rozległość przestrzeni intelektualnej jako grząski grunt i nieskończone *continuum*, które nie może dać bezpiecznego schronienia, ale budzi agorafobię. Wnioski takiego kontrastowania wydają się oczywiste: agnostycyzm i postulat powrotu z *universum* biblioteki do rzeczywistości. Czyli – odrzucenie znaku na rzecz bezpośredniego obcowania z desygnatem.

Najmniej odległa od osobistego doświadczenia wydaje się mitologia rodzimiej Bydgoszczy, gdzie autor urodził się tuż po wojnie i w dzielnicy Szwedero-wo, cieszącej się nienajlepszą sławą, ale za to położonej na wzgórzu, skąd u podnóża stromych uliczek rozciąga się panorama Starego Miasta – ale dodaję te szczegóły już z doświadczenia własnego, gdyż poeta je przemilcza, zacie-

* Janusz Kryszak jest w tej dziedzinie specjalistą, m.in. jako autor książki *Katastrofizm ocalający. Z problematyki tzw. Drugiej Awangardy*, Warszawa 1978, wydanie drugie rozszerzone, Bydgoszcz 1985.

rając konkrety sentymentalną mgłą uogólnień. A zatem nawet zjednoczenie z historią sprowadza się bardziej do deklaracji ocalania widoków niż jakiejś „małoojczyźnianej” archeologii; „ja”, usytuowane na zewnątrz, wybiera raczej rolę kustosza niż uczestnika czy choćby świadka minionego czasu.

Klasycyzm to wiara w ocalenie przez słowo. Ale i moc słowa pozostaje pośrednio ograniczona, gdyż opiera się na pamięci, a ta zdolna jest ocalać jedynie uchwycone w „tu i teraz” konkrety. Rysy wspomnianych osób zastygły w portretowanych twarzach i w znieruchomiłych jak na fotografii epizodach. Dopiero pod tą bezwładną migawkową błoną, przechowującą wzrokową pamięć spotkań, zalegają nieprzeniknione pokłady cudzej tajemnicy, jak na przykład w wierszu pt. *In memoriam*.

Ocalone baśnie dzieciństwa bezużytecznie błakają się w pozbawionych wiary, a więc pustych ramach po utraconych pejzażach rzeczywistości wieku dojrzałego (*Z daleka patrząc*). Pustość tę określa stan niewiedzy o przeszłości a równoważy zaledwie domysł sensu, jako aprioryczne, pozbawione przesłanek założenie, które skłania do pogodnej, afirmatywnej rejestracji obrazów bieżących. Imperatywem nadrzędnym staje się więc dokładność i trafność opisu, który ma ubezpieczać czyhanie na epifanię:

W pełnym słońcu styczniowego południa,
gdy drobny śnieg pokrywa oblodzone ulice,
pies nienawykły traci równowagę i raz po raz
uderza nosem o płytę chodnika,
a trzymający się smyczy mężczyzna drobi kroki
jak dawne niewiasty.

(*Spacer zimowy*)

Klasycyzm to wiara w trwanie. Wiara niezależna od tematu, toteż niwelująca różnice przestrzeni przedstawionych, co zaznacza symetria tytułów dwóch cykli: *Elegie domowe* – *Elegie podróżne*. Klasyczną orientację poety utwierdzają wędrówki w czasie i tematy antyczne, ożywiane impulsem lektury bądź turystyki. Są tu przygodne refleksje nad historią starożytną, snute z perspektywy współczesnej – niekoniecznie związanej z kompleksem „barbarzyńcy” – o przemijaniu epok i przeciwstawionym mu stabilnym trwaniu Wszechświata (*Według Plutarcha*). Pewnie i Herbert przestraszyłby się tu banału przesłania, przyczajonego za każdym skrawkiem opisu. Moje streszczenie zabija tę poezję, wskazując zarazem na to, co się wymyka intralingwistycznemu przekładowi, a co stanowi siłę wiersza, dzielnie broniącego się przed trywialnością arcyepigońskiego morału.

Wiara w trwanie opiera się na założeniu idealnej przyległości współczesnej percepcji odwiedzanego w podróży widoku do dawnego zapisu; adekwatność ta ma otwierać drogę pełnego powrotu do zabytkowej czasoprzestrzeni, ma być do niej mostem i zrostem pękniętej tożsamości.

Spisane kiedyś wracają do mnie słowa i zdania,
Których uczyłem się niegdyś pilnie
Z nadzieją, że ich krucha treść
Objawi się zmysłom dotyku i wzroku,
I będą na wyciągnięcie ręki, tuż, tuż.

Że wystarczy tylko jeden krok
I będę w ich wnętrzu. Już nie obcy,
Ale swój. W nich zadomowiony
(*Nie moja to ziemia*)

Wreszcie – **klasycyzm to pokora**, która nie przeszkadza zaufaniu do języka, ale wyklucza zadufanie poety. Wobec świadomości, że „nie możesz nic, człowieku, patrzący w osłepiające lustro świata” (*Nad ranem*), pozostaje tylko pragnienie, by –

otworzyć oczy i pozostać we śnie
by zobaczyć nieskończoność rzeczy
tych najdrobniejszych
nie dostrzeganych jeszcze

Częściowym spełnieniem tego postulatów jest trzecia część tomiku, zatytułowana *Kostki domina*. Dystans zostaje uchylony a szczelna forma – otwarta. Widoki przyrody, kojarzone z refleksją o życiu i śmierci, przemijaniu i starzeniu się ciała, przybierają postać liryki osobistej, niekiedy erotyku. Tu składnia obrazów najszerzej otwiera się na przygodność epifanii, a wiersz niekiedy zbliża się do bezzałożeniowej percepcji obrazu, właściwej haiku. Tu najwyraźniej widać, że znikąd nie ma ratunku przed ostateczną niewiedzą i pozostaje wiara w przypadek, gdy wysiłki klasycysty spotykają się z coraz dotkliwszym milczeniem Boga.

Piotr Michałowski

Janusz Kryszak, *Elegia na odejście szpaka*, Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2005

NOTY O KSIĄŻKACH

*

Oto kolejny przekład nazywany Torą Pardes Lauder – Księga IV *Bemidbar*, znana w przekładach polskich jako *Księga Liczb*. W żydowskim świecie, a więc w świecie Tory, obowiązek tłumaczenia łączy się z obowiązkiem wysiłku rozumienia i ten trud podejmowany jest, można powiedzieć, nieustannie. Głównym źródłem wszystkich żydowskich tłumaczeń jest *Onkelos*, aramejski przekład Tory dokonany w I wieku, który uważany jest za natchniony i najbliższy hebrajskiemu oryginałowi, najlepiej go wyjaśniający. Ale Tora nie została napisana po hebrajsku, lecz w *leszon kodesz* (języku świętym), który jest połączeniem Tory Ustnej i Pisanej i to połączenie jest dopiero Pełną Torą (*Tora Szlema*) i to ona powinna stanowić właściwy przedmiot tłumaczenia. Liczne komentarze do Tory osadzone są na mocnym fundamencie analizy językowej – semantycznej, gramatycznej, frazeologicznej i etymologicznej. Jak napisał we *Wstępie* rabin Sacha Pecaric: „Nasze tłumaczenie, bazując na tradycyjnych odczytaniach, chce przekazać *pszat* – podstawowe znaczenie tekstu w żydowskiej tradycji, oraz wskazać miejsca, z których wywodzona jest Halacha – religijne prawo żydowskie. Liczne nawiasy w tekście dodane zostały nie ze względu na jakieś jego usterki, lecz zawierają właśnie Torę Ustną, bez której, jak to już zostało powiedziane, przekład byłby niepełny”.

W świecie Tory domniemane usterki, rysy, błędy czy niekonsekwencje są zaczątkiem najwznioślejszych i fundamentalnych reguł halachicznych, więc jakiś pedantyczny tłumacz, który chciałby „poprawiać” i „wygładzać” tekst, tylko by go psuł i paczył, a właściwie niszczył. Tora nie jest literaturą w powszechnym rozumieniu tego słowa, ale stanowi, jak mówi rabin Pecaric, fundament literatury i dziwne jest wyjaśnianie Tory przez analizy różnych rodzajów, gatunków i chwytów literackich, gdyż odwrotnie, to te rodzaje, gatunki i chwyt trzeba by badać w świetle tego biblijnego fundamentu. W świecie Tory, tak jak w świecie literatury, wiele dzieje się w języku. Czasami tłumacz musi spróbować zastąpić istniejące i ugruntowane w tradycji słowa: tak było z kluczowym dla zrozumienia Tory słowem *korban* w Księdze III *Wajikra* („oddanie” zamiast „ofiara”) lub jak w przekładzie Bubera i Rosenzweiga, którzy słowo „ołtarz” zastąpili „miejscem zarzynania”. Tu, w tej Księdze, też i to już od pierwszego wersetu są problemy, jak przełożyć kolej-

ne kluczowe słowo: *midbar*, które oznacza „pustynię”, ale zawiera w sobie *daber*, które oznacza „rzecz” i „słowo” jednocześnie; a w tym samym wersecie mamy jeszcze jedno słowo oznaczające mówienie – *amar*, które jest jednym z najistotniejszych słów w Torze (oznacza także „mowę”, „myślenie” oraz „chcenie” i „wolę”, a także „uczenie”, a ponadto jest jednym z dziesięciu słów oznaczających prorocstwo). Pomiedzy tymi dwoma słowami, które w Torze oznaczają mówienie, istnieje wyraźna polaryzacja znaczeń – *amar* jest manifestacją Miłosierdzia Boga, a *daber* jest cechą Jego Sprawiedliwości i w ten sposób te dwa mocno spolaryzowane słowa łączą się ze sobą w sposób nierozzerwalny i bardzo trudno zrozumiały dla człowieka.

Na zakończenie *Wstępu* rabin Pecaric proponuje za tradycją mistyczną spojrzenie na Torę jako na zapis kształtowania się i dojrzewania nie tylko narodu, ale także pojedynczego człowieka: w Księdze I *Bereszit* opisane jest kształtowanie się psychiki, załączki przyszłej osobowości, podstawowe relacje osobiste. Księga II *Szemat* relacjonuje urodzenie tej psychologii, pokazuje, czym jest wolność i czym jest przekształcanie egoistycznie nastawionej woli w altruistyczną wolę dawania. Księga III *Wajikra* przedstawia dojrzałość i szczytowe osiągnięcie dojrzałości człowieka, w którym *korban* jest sposobem i manifestacją oddania się, czyli najwyższego stopnia altruizmu. Z kolei Księga IV *Bemidbar* opisuje psychologię człowieka dojrzałego, wszystkie jego archetypiczne bunty i problemy, z którymi spotyka się on w tej fazie swojego rozwoju. I wtedy i dziś największym problemem człowieka i pokusą jest bałwochwalstwo, które ma różne formy – dziś jest to czczenie idoli materialnego świata i pieniędzy.

Teraz, znowu czytając *Bemidbar*, obserwujemy czterdziestoletni marsz przez pustynię, bunty, zdrady i okrutne wojny, które dziesiątkują naród. Człowiek musi stać się jak pustynia („uczynić z siebie pustynię”), żeby poznać Torę i przykazania. Rabin Pecaric mówi, że „pustynia”, która w pierwszym odruchu myśli kojarzy się z karą, na głębszym poziomie powinna być rozumiana jako „miejsce mowy” czy „miejsce słowa” – kładąc akcent na owo nieprzetłumaczalne na język polski *daber* obecne w słowie *midbar*. O jaką pustynię, o jaką pustkę tu chodzi? – pyta rabin Pecaric, i odpowiada: „Jak wycofania przez Boga Jego światła podczas stwarzania świata nie należy rozumieć w kategoriach przestrzennych, lecz etycznych, jako uobecnienie najwyższej cechy moralnej, jaką jest pokora, tak samo w ludzkim wymiarze wycofać siebie, ograniczając swoją dominującą mowę (*daber*), znaczy uczynić miejsce dla słowa innego i dla łagodnej mowy (*amar*). W kategoriach sformułowa-

nych przez Lévinasa, uczynienie miejsca dla obecności drugiego jest tożsame z uczynieniem w sobie miejsca dla słowa Boga – które na pustyni (*bemidbar*) rozbrzmiewa dla każdego, kto zechce się tam z nim spotkać”.

K.M.

Tora Pardes Lauder, Księga czwarta *Bemidbar*, przekład Pięcioksięgu z języka hebrajskiego z uwzględnieniem Tory Ustnej, opatrzonego wyborem komentarzy Rabinów oraz hebrajski tekst komentarza Rasziego i Haftary z błogosławieństwami, tłumaczenie rabin dr Sacha Pecaric, Fundacja Rolanda S. Laudera, Edycja Pardes Lauder, Kraków 2005

*

Ten wyjątkowy tom prezentuje normy halachy – religijnego prawa judaizmu, jest do niego bramą wejściową (*Szarej halacha*) i zachętą (słowo *halacha* pochodzi od rdzenia „iść”, „postępować”). Halacha wywiedziona została z Tory, a jej zrab zapisany jest w Talmudzie, który składa się z Miszny i Gemary oraz okalających je i dopełniających setek komentarzy powstałych na przestrzeni stuleci. Talmud może wydawać się bardzo różnorodny i w tej swojej różnorodności chaotyczny, ale w rzeczywistości jest konstrukcją bardzo formalną, precyzyjną i logiczną (na przykład każda strona podzielona jest na moduły, w których wszystko ma swoje miejsce). „Talmud to przede wszystkim sposób myślenia, ukazujący głębokość umysłu, przepelniony mądrością.” Pilni studenci jesiwy mogą zgłębić w ciągu roku około czterdziestu stron, tak jest on gęsty i skondensowany. Tu mamy przystępne kompendium, które jest dobrą pomocą w dążeniu do osiągnięcia wyżyn duchowości.

Całość jest podzielona na pięć części. W części pierwszej omówione są czynności wykonywane każdego dnia, a więc wstawanie, wprowadzenie do modlitwy, błogosławieństwo poranne, przygotowanie do modlitwy i modlitwy: poranna, popołudniowa i wieczorna. Modlitwa jest najważniejsza, gdyż werset „Zawsze stawiam Boga przed sobą” (Psalm 16,5) jest podstawową ideą Tory i wyraża najwyższy poziom duchowego rozwoju, do którego osiągnięcia każdy powinien dążyć. Dlatego od rana trzeba być silnym jak lew, żeby „służyć swojemu Stwórcy”. Jak mówi Biblia, każda modlitwa dosięga nieba. Człowiek potrzebuje struktury, według której będzie mógł się modlić, dlatego członkowie Wielkiego Zgromadzenia ustalili teksty modlitw, w słowach, w których ukryli kabalistyczne tajemnice oraz misteria *Maase merka-*

wa, które tylko w niewielkiej części mogą zrozumieć najwięksi mistrzowie kabały. Trzech Praojców ustanowiło trzy pory modlitwy: modlić się trzeba rano, po południu i wieczorem. Modlitwa jest równie niezbędna dla duszy, jak pokarm dla ciała. W modlitwie nie można powtarzać słów jak papuga, ale świadomie wypowiadać każde słowo i tak ostrożnie, „jak ostrożnie liczy się monety” i trzeba skupić się na znaczeniu każdego słowa i na nim się koncentrować. Trzeba być świadomym, kim się jest i przed Kim się stoi, tym prawdziwsze będzie nasze wychwalanie Boga i dziękczynienie. Mamy tu szereg bardzo praktycznych i pomocnych rad.

Także bardzo ważne jest studiowanie Tory, którą – jak mówi Bóg – trzeba studiować „dnem i nocą”. Według Talmudu, osobie, która przybywa po śmierci do Przyszłego Świata, stawia się natychmiast pytanie: „Czy wyznaczyłeś sobie czas na studiowanie Tory?”; studiowanie Tory jest micwą najwyższej wagi, toteż przed każdym jej czytaniem trzeba wypowiedzieć konieczne błogosławieństwa. Za wszystko dziękujemy Bogu, bo wszystko mamy od Niego. Jest to wielka łaska, a nagroda za studiowanie Tory jest ogromna.

W części drugiej omówione są prawa dotyczące błogosławieństw, które są naszym sposobem powiedzenia – „Dziękuję”. Błogosławieństwa podobne są do modlitw, rodzą w nas zrozumienie tego, iż wszystko należy do Boga oraz że wszystko, co posiadamy, posiadamy dzięki Jego łaskawości.

W części trzeciej omówiony jest święty dzień – Szabat, „znak na zawsze”, który jest upamiętnieniem Aktu Stworzenia oraz Wyjścia z Egiptu, a także przedsmakiem świata, który nastanie. W kolejnych rozdziałach omówione są przykazania, modlitwy oraz świąteczne posiłki przypadające na ten tak wyjątkowy dzień. Od piątkowych przygotowań i zapalania świec przed zachodem słońca („micwa jest świecą, zaś Tora światłem”), przez ściśle określone czynności piątkowej nocy, posiłki szabatowe („nazywaj Szabat rozkoszą”), modlitwy, studiowanie Tory, aż po sobotni wieczór po zakończeniu Szabatu, kiedy trzy małe gwiazdki pojawiają się na niebie obok siebie. Mamy tu dokładny spis czynności oraz prac, których wykonywanie w Szabat jest zabronione. Wiele reguł, jak również zasad tworzących fundamenty wiary żydowskiej, jest zawartych w idei Szabatu.

W części czwartej omówione są prawa i zwyczaje związane z obchodzeniem świąt, *Rosz Chodesz* (początków miesiąca księżycowego), różnych dni postnych, jak również innych szczególnych dni roku. Rok żydowski składa się z dwunastu lub trzynastu miesięcy, które ustala się zgodnie z cyklem księżycy, poczynając od nowiu każdego miesiąca. Ostatni dzień roku – *Erew*

Rosz Haszana przygotowuje na zbliżający się Dzień Sądu – Rosz Haszana, oraz na Dziesięć Dni Skruchy, które są pierwszymi dziesięcioma dniami roku, aż do *Jom Kipur*, który jest dniem świętym, który należy poświęcić na rozwój duchowy i zbliżenie się do Boga. Żal stanowi pokutę za grzechy i zbliża człowieka do jego Stwórcy.

W ostatniej piątej części omówione są zagadnienia związane z przestrzeganiem koszerności (te prawa stanowią jedną z podstaw żydowskiego życia), jak również halachy, które dotyczą rolnictwa oraz różnych *micwot* związanych z życiem codziennym i relacji międzyludzkich (studiowanie Tory jest fundamentem, na którym opiera się przestrzeganie nauk Tory oraz *micwot* – każdy Żyd jest zobowiązany do studiowania Tory). Tę część kończy omówienie halach dotyczących odejścia człowieka z tego świata, jak również praw, które obowiązują bliskich krewnych osoby zmarłej, a całość zamykają dwa zdania, które jednocześnie są otwarciem:

„Wierzę pełnią wiary, że zmarli zmartwychwstaną do życia, kiedy tylko Stwórca, błogosławione jest Jego Imię, tego zechce. I niech pamięć Jego będzie wychwalana na zawsze po wieczne czasy”.

K.M.

Rabin Zew Greenwald, *Bramy Halachy. Religijne prawo żydowskie. Kicur Szulchan Aruch dla współczesności*, redakcja rabin dr Sacha Pecaric, Stowarzyszenie Pardes, edycja Barry Stein, Kraków 2005

*

„Homer był astronomem” – tak zaczyna się ten wybór *Zdań* Heraklita z Efezu. Tłumacz Adam Czerniawski z ocalałych fragmentów ułożył całość zbudowaną z dwunastu miniaturowych rozdziałów, a czy dobry jest taki układ, można się przekonać, czytając ten tomik raz jeszcze w autorytatywnym (alfabetycznym) wydaniu Dielsa (Berlin 1951), gdyż każde zdanie jest tu sygnalizowane odnośnikami (D = Diels) do edycji Dielsa. I tak na przykład zdanie Heraklita, które u Dielsa zaczyna, u Czerniawskiego umieszczone jest jako trzecie od końca. Ale i tak jakakolwiek lektura Heraklita może nam wyjść tylko na dobre.

Dante umieścił go w pierwszym kręgu piekła, a Gerard Manley Hopkins nazwał poganinem, chociaż paradoksalnie to głównie Ojcom Kościoła zawdzięcza swoje przetrwanie. To dobrze. Miłośnik ognia, autor sławnego zdania, że

„Nie można wstąpić dwukrotnie do tej samej rzeki” – Heraklit inspirował takich poetów jak Jan Kochanowski, G.M. Hopkins, T.S. Eliot czy Czesław Miłosz, i dalej nic nie traci na sile swojej inspiracji, brzmi lapidarnie, współcześnie, bardzo świadomie i intrygująco, na przykład:

„Nawet gdybyś przewędrował wszystkie ścieżki, nie odkryjesz granic duszy – tak głęboki jest jej *logos*”.

„O rzeczach najważniejszych nie wyrażajmy sądów pochopnych.”

„Mądrość polega na tym, by poznać myśl, która wszystkim kieruje.”

„Osioł woli sieczkę od złota.”

„Świnie wolą błoto od czystej wody.”

„Przeciwieństwa osiągają zgodność, a z dysonansów powstaje idealna harmonia; wszystko rodzi się z walki.”

„Nie pojmują, że to, co jest wewnątrznie sprzeczne, jest ze sobą zgodne; harmonia oznacza odwrotne strojenie, jak w łuku i w lirze.”

„Spoczywa się w zmianie.”

„Nocni włóczędzy, magowie, bachantki, menady i mistycy; ich misteria przyjęte przez lud szerzą bezbożność.”

„Pan, którego wyrocznia jest w Delfach, ani nie oznajmia, ani nie ukrywa, tylko daje znak.”

„W przeciwieństwie do boskiej, ludzkiej naturze brak ustalonego celu.”

„Nie potrafią ani słuchać, ani mówić.”

„Nie pojmując, słyszą jak głusi. Do nich odnosi się powiedzenie: są, a nie ma ich.”

„Choć *logos* obowiązuje wszędzie, na ogół każdy rozumuje po swojemu.”

K.M.

Heraklit z Efezu, *Zdania*, przekład i posłowie Adam Czerniawski, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2005

*

Święty Antoni Pustelnik (ok. 251–356) to założyciel ruchu monastycznego: Jego życie ukazuje *Żywot* pióra Atanazego, który znał go osobiście. Został nazwany przyjacielem Boga; gdy miał niespełna dwadzieścia lat, cały majątek odziedziczony po rodzicach oddał ubogim i odszedł na pustynię. Tak mało stracił, a tak wiele zyskał: jedynym jego bogactwem stał

się Pan Bóg. Ten święty pustelnik najpierw mieszkał w komorze grobowej, a potem przeniósł się do opuszczonej fortecy, gdzie żył w izolacji od świata ludzi; tam też powstało wokół niego pierwsze w Egipcie skupisko monastyczne, które stało się wzorem dla późniejszych sławnych ośrodków pustelniczych. Otoczony przez przybywających ludzi, szukających u niego cudu i duchowego wsparcia, uciekł na wschód, w głąb pustyni, do mikroskopijnej oazy nad brzegiem Morza Czerwonego (w VII wieku wzniesiono tam klasztor, który stoi do dziś). Zmarł w wieku 105 lat nakazując, żeby grób jego został ukryty.

Tom otwiera wspomniany już *Żywot św. Antoniego* pióra Atanazego, który na podstawie pogańskich biografii zapoczątkowuje nowy gatunek literacki – hagiografię. Reakcja św. Augustyna opisana w *Wyznaniach* (VIII, 6) pokazuje siłę tego dzieła. Zasadniczą rolę spełnia motyw odrzucenia *grammata*. Ważną rolę odgrywają w nim demony i tworzone przez nie zjawy, które pragną zła i szkód i ciągle atakują świętego, który jawi się jako bohater, heroiczny męczennik. Diabeł, władca demonów, ciągle przybiera inne kształty, jest bardzo niebezpieczny, stawia na drodze pułapki. Wielkością ascezy Antoniego było to, że miał dar rozróżniania duchów i że znał ich poruszenia, zasadzki i dążenia. Wiedział, że gdy przychodzą, nie można się ich bać i trzeba zapytać: „Kim jesteś i skąd pochodzisz?“, wtedy odstępia. Był pokorny i ciągle się modlił. Budził podziw swoją gorliwością, żarliwością, bojaźnią Bożą i skromnym, ascetycznym życiem. Silną wiarę stawiał nad sofistyczne dysputy („W naszej religii nie ma sztuki słów, działa w niej wiara przez miłość“, „Wiara jest wcześniejsza niż dowodzenie“, „Wasze bałwany zginą, nasza zaś wiara rozprzestrzeni się wszędzie“). Czytamy opisy cudów, jakie czynił mocą Chrystusa, dobrze wiedząc, że czyni je mocą Chrystusa. Ten *Żywot*, tak bardzo popularny w średniowieczu, został włączony do *Złotej legendy* Jakuba de Voragine, a święty Antoni pojawił się na obrazach Boscha czy Grünewalda.

Siedem listów przypisywanych Antoniemu dotyczy doktryny. Jądro jego ascetycznej nauki stanowi przekonanie, że wszystkie byty (w tym diabeł i złe duchy) pochodzą z jednej istoty duchowej: *ousia noera*, która ma początek, ale nie będzie miała końca; poza nią pozostaje jedynie Trójca Ojca, Syna i Ducha Świętego. Podobne poglądy głosił Orygenes.

Antoni był także bohaterem kilkudziesięciu apoftegmatów: nauk, sentencji czy krótkich historyjek z kręgu mnichów egipskich. Widzimy w nich obraz Świętego, jego zmagania i mądrości wynikających z doświadczeń ascetycz-

nych. Oto przykład: „Jak ryby, które za długo leżą na brzegu, giną, tak i mni-
si, którzy zwlekają z powrotem do celi albo wdają się w rozprawy ze świec-
nikami, tracą zdolność do skupienia. Toteż jak rybom do morza, tak nam trzeba
wracać do celi: abyśmy przebywając zbyt długo na zewnątrz nie zapomnieli
o czujności wewnętrznej”.

Następnie mamy sześć pism ascetycznych w formie katechezy skierowa-
nej do mnichów, zawierających rady i zalecenia (np. *W jaki sposób mnich
powinien śpiewać psalmy?*). Tom zamykają świadectwa Sokratesa Scholastyka,
Palladiusza i Pawła Prostaka o św. Antonim, dodatek ze szkicami o św. Pu-
stelniku oraz indeksy. W lekturze poszczególnych części pomagają wprowad-
zenie oraz wstępy Ewy Wipszyckiej.

K.M.

Święty Antoni, Żywot. Pisma ascetyczne, przekład: Ewa Dąbrowska, Adam Ziółkowski, s. Mał-
gorzata Borkowska OSB, Stefan Kazikowski, Stanisław Kalinkowski, Zofia Brzostowska, wpro-
wadzenie i wstępy Ewa Wipszycka, dodatek: Ysabel de Andia, Louis Bouyer Cor, przekład
Janina Dembska, seria „Źródła monastyczne” pod redakcją ks. Marka Starowieyskiego, tom
35, TYNIEC Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2005

*

Po sześciu latach od wydania tomu 1 (TYNIEC, Kraków 1998) ukazał się
tom 2 *Pism ascetycznych* Ewagriusza z Pontu (ok. 345–399), wielkiego mi-
strza doktryny ascetycznej i wielkiego propagatora myśli Orygenesusa. I to już
jest całość, tzw. *corpus asceticus* Mnicha z Pontu. Tom 2 jest wykładem nauki
o ludzkich myślach, które są załączkami dobra lub zła. Według Ewagriusza
stan moralny i duchowy człowieka kształtuje się w jego psychice. Mnich,
w przeciwieństwie do ludzi świeckich, którzy głównie żyją w świecie rze-
czy, żyje w świecie myśli, to jest jego główna przestrzeń i dziedzina, które
muszą być utrzymywane w jak najlepszym porządku, żeby prowadziły do
modlitwy, a czysta modlitwa wymaga odsunięcia wszystkich myśli. Ewa-
griusz pisze o ascezie myśli i o dyscyplinie życia wewnętrznego: w człowie-
ku kłębią się namiętności, wyobrażenia i próżność, które wydają go we wła-
danie demonów. „Myśli prawej przeciwstawiają się dwie myśli: pochodząca
od złych duchów i od złej woli. Złej myśli zaś przeciwstawiają się trzy: po-
chodząca od natury, dobrej woli i anioła.” Grzech, który wprowadza w życie

człowieka nieład, bardzo często zaczyna się od myśli („zła myśl jest nasieniem grzechu”). Myślą można grzeszyć tak jak czynkiem. Ewagriusz analizuje źródła myśli: te pochodzące z zewnątrz, te pochodzące z wewnątrz (naturalne) oraz te od Boga i od dobrych duchów i te od duchów złych (nadprzyrodzone). Złe myśli gnieżdżą się w zwierzęcej (nierozumnej) części duszy, tam jest ich siedlisko: zniewalają, kalają i zwodzą, sięją spustoszenie i niszczą człowieka, zamykają mu dostęp do światła Bożego. Trzeba się przed nimi bronić i walczyć z nimi przez praktykowanie przykazań i zdobywanie cnót przeciwnych namiętnościom, przez modlitwę, lekturę Pisma Świętego, czuwania, post, jałmużnę i pracę fizyczną. Złe myśli należy od razu odrzucać i zwalczać powtarzaniem fraz Pisma Świętego. Ewagriusz radzi: „Bądź mądry przed szkodą”; „Bądź pasterzem własnych myśli”.

Tom zawiera jedno pismo spekulatywne (*List do Melanii*), grupę pism monastycznych (*Traktat dla Eulogiusza Mnicha, Zachętę, Pouczenie, O sporze z myślami*) i kolekcję sentencji o tematyce ascetyczno-monastycznej (*Pouczenie dla mnichów, Rozważania, Definicje różnych namiętności duszy, Gnomy, Sześć sentencji*). Oto trzy gnomy dla zachęty do lektury tej niezwyklej książki: „Miłym jest ten z przyjaciół, który żywi duszę”. „Mów, co trzeba i kiedy trzeba, a nie usłyszysz tego, co nie jest konieczne.” „Jeśli dzień Pana jest jak tysiąc lat, a nikt z ludzi nie dożył tysiąca lat, zatem nikt z ludzi nie poznał pełnej długości dnia Pana.”

K.M.

Ewagriusz z Pontu, *Pisma ascetyczne*, tom 2, przekład: Marek Grzelak, Leon Nieścior OMI, Arkadiusz Ziemiński, Beata Spieralska, wstęp i opracowanie Leon Nieścior OMI, seria „Źródła monastyczne” pod redakcją ks. Marka Starowiejskiego, tom 36, TYNIEC, Wydawnictwo Benedyktynów, Kraków 2005

*

Edycja jubileuszowa w 50. rocznicę śmierci Juliana Tuwima – nowy *Wybór dzieł* poety w wyborze i opracowaniu Tadeusza Januszewskiego w wydaniu Zakładu Naukowego im. Ossolińskich otwiera *Przedmowa*, w której autor wyboru przypomina główne wydarzenia z życia i twórczości autora *Kwiatów polskich*, jednego z najważniejszych polskich poetów XX wieku. Debiut Tuwima przypadł na przełom modernizmu i Dwudziestolecia, czas odzy-

skania przez Polskę niepodległości, szukania nowych dróg rozwoju, także w poezji, która w okresie „Młodej Polski” zeszła w niebezpieczne, manieryczne koleiny. Patronami Tuwima są Staff i Walt Whitman, a więc od początku duża skala i rozpiętość wpływów duchowych i literackich. Trzeba szukać nowych możliwości polszczyzny, odbudowywać ją i umacniać w różnych rejestrach. Dla Tuwima język polski był ojczyzną i miłością. Przemiany jego poezji ściśle wiążą się z językiem: od debiutanckiego *Czyhania na Boga* (1918) – po wiersze ostatnie; od Skamandra, przez emigrację, do powrotu do kraju (PRL-u).

Tuwim to mistrz słowa i mistrz wyobraźni – mistrz polszczyzny, którego Bruno Schulz umieścił w „mitologicznej głębi”, a Kot Jeleński postawił na równi z Juliuszem Słowackim. W każdym razie wiersze Tuwima są na pewno kamieniem milowym w rozwoju poezji polskiej, otwarciem przed nią nowych dróg i możliwości w czasie dla niej marnym i trudnym.

Układ książki jest przejrzysty: po kolei wybory z poszczególnych ośmiu, w kolejności chronologicznej, tomików, z których ostatni pt. *Treść gorejąca* (1936) uważany jest za najwybitniejsze osiągnięcie poetyckie Tuwima. Wybór jest reprezentatywny: z pięćset pięćdziesięciu wierszy wybrano trzysta osiemnaście, w tym także wiersze z rękopisów (młodzieńcze, z lat międzywojennych i powstałe po II wojnie światowej), wiersze ocalałe (z lat 1937–1939, które miały złożyć się na dziewiąty tomik poety), tzw. wiersze nowe (wiersze ostatnie, tak nazwane przez poetę), a także wspaniałe i tak popularne wiersze dla dzieci. W sumie ponad pięćset stron wierszy (nie ma próż poetyckich).

K.M.

Julian Tuwim, *Poezje*, Wybór dzieł, wybrał i opracował Tadeusz Januszewski, Zakład Narodowy im. Ossolińskich – Wydawnictwo, Wrocław 2004

*

To bardzo dobry pomysł, żeby ogłosić pierwodruki wierszy i innych utworów Miłosa publikowane w jednym miejscu przez wiele lat: „Kwartalnik Artystyczny” zrobił to w 2004 roku w wydany po śmierci Poety numerze 3 (43), a teraz „Zeszyty Literackie” w specjalnym numerze 2005/5 publikują wiersze i prozy Miłosa drukowane u nich w latach 1984–2004 (tytuł całości

jest mylący, gdyż nie są to, jak podano, *Jasności promieniste i inne wiersze*, tylko *Jasności promieniste i inne wiersze i prozy*, gdyż ani *Tematy do odstąpienia*, ani *Piesek przydrożny* to nie są wiersze!).

Ma rację Barbara Toruńczyk pisząc, że Miłosz bardzo świadomie dawał do druku swoje wiersze (głównie do „Tygodnika Powszechnego”, „Zeszytów Literackich” oraz „Kwartalnika Artystycznego”) i że był w tym zamysł (np. *Traktat teologiczny* dla „Tygodnika Powszechnego”, *Piesek przydrożny* i *Księżniczka* do „Zeszytów Literackich”, a *Czeladnik* do „Kwartalnika Artystycznego”), chociaż dwa razy miałem możliwość wyboru, a wybrać musiałem, bo gdy mówiłem przekornie, że najchętniej wydrukowałbym wszystkie przysłane do mnie wiersze, to śmiał się, a potem mówił, że muszę wybrać.

Cenne jest to, że możemy porównać pierwodruki utworów w piśmie z ich wersjami opublikowanymi w tomikach (tu w *Objaśnieniach* podane są różnice). Tak, jest to ważna i cenna publikacja, bo każda publikacja utworów i tekstów Czesława Miłosza jest ważna i cenna. Ten tomik został pięknie wydany i duża radość i pożytek, że jest. Teraz czekamy na tom nie drukowanych wierszy Miłosza, który ukaże się nakładem Wydawnictwa Znak.

K.M.

Czesław Miłosz, *Jasności promieniste i inne wiersze*, pierwodruki (1984–2005), zebrał, przypisał i spisem incipitów opatrzył Henryk Citko przy współpracy Barbary Toruńczyk, redaktora tomu, „Zeszyty Literackie” 2005, nr 5 (numer specjalny)

*

Jest to najobszerniejszy wybór z Lichtenberga (1742–1799) i warto go czytać uważnie nie tylko dlatego, że Nietzsche zaliczył te niepozorne zapiski do pięciu najwybitniejszych pomników literatury niemieckiej, że cenili go m.in. Goethe, Schopenhauer, Wittgenstein czy Canetti, ale także dlatego, że w postępującym kryzysie literatury przyszłość ma właśnie taka bardzo trudna forma pisarstwa (a nie jakieś byle jakie, samo siebie napędzające postmodernistyczne gadulstwo). Tu mamy wzór aforystycznej techniki pisarskiej, dla której głównym postulatem jest zwięzłość i jasność (nie bez przyczyny Lichtenberg to: „świetlista góra”).

Miał niedługie i w jakiejś części okropne życie: od dzieciństwa był bardzo chory, karłowaty i garbaty. Był spełniony i niespełniony – ktoś o zdawałoby się nieokreślonych zainteresowaniach: fizyk i matematyk, filozof (*Professor Philosophiae Extraordinariae*) i przyrodnik, filolog, redaktor „Getyńskiego Kalendarza Kieszonkowego”, krytyk i publicysta. Pisarz. Jego głównym dziełem są *Bruliony*, notatniki prowadzone od 1764 roku, w których zapisywał różne fragmenty, cytaty, pojedyncze zdania czy wyrazy, rozważania i krótkie, cięte myśli. *Bruliony* to klasyka europejskiej aforystyki, chociaż ich autor nie wiedział, że pisze aforyzmy. Tak objaśnia swoją metodę: „Kupcy mają swój *waste book* (po niemiecku, jak sądzę, *Sudelbuch*, *Klitterbuch*), w nim zapisują z dnia na dzień wszystko, co sprzedają i kupują w nieładzie i bez jakiegokolwiek porządku, stamtąd przenoszą te zapisy do *journala*, w którym wszystko zanotowane zostaje w sposób bardziej niż systematyczny, by w końcu znaleźć się w *leidger at double entrance*, podług włoskiego wzoru prowadzenia ksiąg. (...) Metoda ta zasługuje na to, by naśladowali ją uczeni. Najpierw więc książeczka, w której zapisuje wszystko tak, jak to widzę, później notatki te mogę przenosić do innej, w której materia zostanie podzielona i uporządkowana, *leidger* zaś mógłby stanowić miejsce, w którym poszczególne elementy zostałyby ze sobą powiązane, a płynące stąd wyjaśnienie znalazłoby swój ujednolicony wyraz”. W *Brulionach* nie ma fajerwerków, jest rzetelna praca myśli formułowanych w sposób precyzyjny, jasny i przenikliwy.

Lichtenberga trudno jest przyszpilić w jakiejś jednej nazwie: na pewno był sceptykiem i to radykalnym, ale i sceptycznym co do swojego sceptycyzmu. To tak jak z jego wiarą i niewiarą: krytykował katolicyzm, ale z całej duszy wierzył w naukę Chrystusa, a także w tożsamego ze światem Boga Spinozy; odgrywał ateistę, ale jak sam wyznał, „wyłącznie *exercitii gratia*” (dla ćwiczenia); był oświeceniowym racjonalistą, ale wierzył w zjawy i upiory; podważał zasady wiary, ale także i zasady racjonalizmu; nieustannie wątpił, ciągle zadawał pytania i szukał, gromadził „fenigi prawdy” („fenigi fałszowane bywają rzadziej niż talary”, mówił). Warto iść tym tropem.

K.M.

Georg Christoph Lichtenberg, *Pochwała wątpienia. Bruliony i inne pisma*, wybór, przekład, wstęp i przypisy Tadeusz Zatorski, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2005

*

Fiaskiem zakończyła się świąteczna próba przeczytania nowego przekładu *Pani Bovary* w 150. rocznicę publikacji tego arcydzieła Gustawa Flauberta. Zacząłem od posłowie tłumacza, które, mimo że wzywa czytelnika do ponownej lektury, to raczej nie zachęca, kiedy natrafia się w nim na takie zdania jak: „Kiedy aptekarz bryluje pełnym bzdur wykładem meteorologicznym i wkrada się w łaski felczera, ten zaś skarży się, że cały dzień nie schodzi z konia, tamtych dwoje rozmawia o rzeczach wiecznych” i im podobne. Nie, to nie jest cytat z nowym przekładem prozy Flauberta, ale streszczenie fragmentu tejże prozy w wykonaniu tłumacza Ryszarda Engelkinga. No cóż, niestety ten nowy przekład wygląda fragmentami podobnie. Nijak nie mogłem wejść w rytm i tok tej prozy, raz po raz natrafiając na dziwne łamańce stylistyczne, trudno zrozumiałe opisy oraz jakieś sformułowania, które nie kleiły się do narracyjnego ciągu. Zaskakiwany i zdziwiony zacząłem sięgać do mojego starego wydania tej prozy Flauberta w przekładzie Anieli Micińskiej i z przedmową Jana Parandowskiego, z serii „Biblioteki Klasyki Polskiej i Obcej” Państwowego Instytutu Wydawniczego z 1976 roku i wątpliwości mi się rozjaśniały jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tłumacz tłumaczem, pomyślałem, ale co robił redaktor tej książki i współpracujący z nim łowca błędów, ciekawostek i sensacji Jan Gondowicz? W końcu przeczuciłem się z Engelkinga na Micińską, bo niestety u Engelkinga brnie się dalej w różne mniejsze lub większe nieporozumienia, a po co. Ten przekład źle istnieje w polszczyźnie, jego duch jest słaby i w żadnym razie nie jest w stanie odwzorować flaubertowskich krystalizacji, a jedynie jakieś mgły i zarysy. Jak obserwuję, od lat nie mamy szczęścia, poza nielicznymi wyjątkami, do dobrych przekładów prozatorskiej klasyki i jest to – moim zdaniem – odbicie stanu współczesnej prozy polskiej i szerzej – stanu współczesnej polszczyzny.

We wspomnianym starym wydaniu PIW-owskim druk jest mały i ciasny, słowa i zdania są na stronie słoczone i czyta się niewygodnie. Wydanie gdańskie jest pod tym względem wzorcowe, książka jest wydana bardzo pięknie, przejrzysto i starannie.

M.W.

Gustaw Flaubert, *Pani Bovary. Z obyczajów prowincji*, przełożył i posłowiem opatrzył Ryszard Engelking, Wydawnictwo słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2005

*

Ta książka Canettiego z Anglią w tytule jest właściwie książką o nim. Natchnieniem do niej stała się, jak sam mówi, Anglia („angielska p y c h a”) i *Brief Lives* Johna Aubreya, a ja widzę w niej jakąś istotną (duchową? pisarską?) niemożność autora, której nie zdążył ostatecznie zamaskować, z czego zdawał sobie sprawę. Ostatnie fragmenty dyktował córce kilka miesięcy przed śmiercią i nigdy ich nie skończył („Nie widzę jeszcze żadnego porządku w tych wspomnieniach, ale roi się w nich od ludzi, losów, upokorzeń, wzruszeń, sposobów mówienia”, mówi na końcu narracji); do druku całość skomponował i opracował już ktoś inny. Dziwna to książka, najdziwniejsza z jego szeroko znanych wcześniejszych trzech książek autobiograficznych, ale kto wie, czy nie najprawdziwsza, bo w najostrzejszym świetle pokazująca autora tych angielskich wspomnień („Kiedy opowiadam o Anglii, zauważam, jak bardzo to jest fałszywe”, napisał już na początku tej narracji).

Książka zaczyna się od furiatycznego ataku na „niejakiego” T.S. Eliota („z gruntu zły”, pelen pychy, suchy i lakoniczny „rozpustnik nicości” i „profanator Dantego”), którego Canetti odsądza od czci i wiary, bo, jak się okazuje, nie poznał się na wielkości *Auto da fé* („nie mogę skreślić na papierze nazwiska Eliota, by nie rozpocząć znowu kampanii przeciw niemu”, mówi i jest wierny temu wyznaniu). Ale ceni literaturę angielską: Szekspira, Bena Johnsona, Johna Donne’a, Milтона, Swifta, a szczególnie Williama Blake’a.

Anglia, „wyspa wspomnień”, to dla Canettiego „wiersze, zdania i jeszcze coś oprócz tego: słowa”, miejsca i wydarzenia, które miały dla niego następstwa oraz cała galeria bardzo różnych postaci – od lorda poczynając a na zamiataczu ulic kończąc (a może właśnie odwrotnie). Wzorem Aubreya daje Canetti w skrótach i błyskach żywe i barwne opisy dziesiątków ludzi i zapisy ich losów, między innymi Herberta Reada, Bertranda Russela, Henry Moore’a, Oskara Kokoschki czy Iris Murdoch i sam jest zawsze w tle, odbija się i przewija w tych obrazkach. Czytając te strony myślałem o *Ruchomym święcie*, ale przecież dobre są różne wzory, byle byłyby to wzory dobre (Canetti na pewno nie jest tu wzorem najważniejszym; żałuję, że nie znam na przykład Aubreya). W każdym razie jest to ostatnia książka Canettiego (1905–1994) i warto ją poznać.

K.M.

Elias Canetti, *Party pod wojennym niebem. Lata w Anglii*, przełożyła Maria Przybyłowska, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2005

*

Wstęp do „Pism” Benjamina Theodora W. Adorno z omawianego w tym numerze „Kwartalnika Artystycznego” jego wyboru esejów pt. *O literaturze* dobrze wprowadza do lektury *Pasaży* – „skazanego na fragmentaryczność” najważniejszego dzieła niemieckiego filozofa, teoretyka kultury, tłumacza, krytyka literackiego i eseisty – Waltera Benjamina, w którym z brawurową determinacją stawia wszystko na jedną kartę, dając niezwykle świadectwo możliwości i niemożności stworzenia arcydzieła z tworzywa, które uznał za najlepsze, w łączności i w rozłączności z teologią i z wyznawaną przez siebie doktryną prawdy. Koncepcję fragmentu jako formy filozoficznej, „która przez swą kruchość i niepełność potrafi uchwycić coś z siły tego, co uniwersalne, ułatwiającej się z form pojemniejszych”, przejął od Schlegla i Novalisa, uzupełniając ją i rozwijając według wzoru Goethego zasadą i praktyką „kancelisty własnych spraw wewnętrznych”. Theodor W. Adorno (według Benjamina idealny czytelnik *Das Passagen-Werk*, ich współpracownik i współwydawca) mówi, że fragmentaryczność dzieła Benjamina, która istnieje w „strukturze jego myślenia, w jego podstawowej idei” („jedna komórka rzeczywistości jest równoważna z całą resztą świata”), zbratana jest z tym, co znaczące, karmi się rodzajem teologii (teologią „odwróconą”) i na tym polega jej nieukończoność (jest to kolejne „dzieło w toku”).

Co zawierają Benjaminowskie *Pasaże*? W centrum tego dzieła jest Paryż w świetle XIX wieku i XIX wiek w świetle Paryża („Wszystko, co jest gdzie indziej, jest w Paryżu”, mówi Hugo). „Przedmiotem tej książki jest pewna sformułowana przez Schopenhauera iluzja, zgodnie z którą do uchwycenia istoty historii wystarczy porównać Herodota z poranną prasą.” Benedyktyńska praca: rój cytatów z najważniejszych dla autora pisarzy (np. Baudelaire – cytaty z niego i o nim zajmują około dwieście stron, Balzak, Hugo, Verlaine, Proust), a także m.in. z Fouriera, Engelsa, Marksa i Saint-Simona, tudzież z codziennych gazet ułożonych w dyscyplinie porządku danego czy naddanego, a może i jednego i drugiego, w toku, w ciągu i w kalejdoskopie, zredagowanych i przeredagowanych według planu i według planu poprawionego. *Pasaże*, czyli „miasto, a nawet świat w miniaturze”, labirynt („miasto jest urzeczywistnieniem starego marzenia ludzkości o labiryncie”), „król świata” – handel (pasaże to początek wielkich wystaw światowych, a także wielkich domów towarowych i supermarketów), fetysz towaru, tłum (masa) w ruchu, moda, aura, klimaty i nastroje, reprodukcje, fotografie i fotomontaże,

litografie, lornetki, sny i fantasmagorie, *modern style* i surrealizm, który jest rodem z pasaży, muzea i wystawy, hotele i dworce, podziemia i cmentarze, architektura i wnętrza mieszkań, progi, lustra i odbicia, *boheme* i *art nouveau*, policja i konspiracje, narkotyki, prostytutka, pieniądze i gry giełdowe, *rites de passage*, różne punkty widzenia, konstrukcje, destrukcje i rekonstrukcje, feria dialektyczna (*Eine dialektische Feerie*), teologia („Myśl moja tak się ma do teologii jak bibuła do atramentu. Jest nią całkowicie przesycona. Gdyby to zależało od bibuły, nie pozostałoby nic z tego, co napisano”), czas („W każdej sprawie staraj się przeciągnąć Czas na swoją stronę”), kulminacje i aporie, zło, szatan, piekło, nuda, sekty, dewiacje, komuna, kanały i Sekwana, dekadencja, monotonia, *spleen*, czekanie, światło, światła, różne rodzaje oświetlenia. „W pracy tej powinna zostać do perfekcji rozwinięta sztuka cytowania bez cudzysłowów. Jej teoria jak najściślej wiąże się z teorią montażu”, mówi Benjamin (metodą tej pracy jest literacki montaż), „Nie mam nic do powiedzenia; tylko do pokazania. Niczego, co wartościowe, nie kradnę; nie przywłaszczam sobie także żadnego wyrafinowanego sformułowania. Tylko łachmany i odpadki, ale nie po to, by je zinwentaryzować, lecz by oddać im sprawiedliwość w jedyny możliwy sposób – wykorzystując je”.

Jest tu wiele efektownych, głębokich i płytkich, dziwnych, zastanawiających i zaskakujących fraz i ciągów słownych jak na przykład: „Nie kupuj nic przy świetle księżycy”; „Prostytucja może rościć pretensje do miana «pracy» z chwilą, gdy praca staje się prostytutką”; „Nuda to krata, zza której kurtyzana drażni się ze śmiercią”; „Wnętrza mieszkalne z naszego dzieciństwa jako laboratoria do wywoływania duchów” (on to zna! – przyp. mój: K.M.) czy: „Kasjerka w blasku gazowych lamp jako żywy obraz, alegoria kasy”. Jest tu mnóstwo różnorodnego i bogatego materiału (prawie tysiąc dwieście stron), a jednak ma się wrażenie, że ten wielki tom jest pusty, wydrążony w metafizycznym sensie (np. jest tu przewaga formy pustej nad pełną, jak w *Zaratu-strze*). „Ta książka (...) ma w sobie piękno złowieszcze i zimne” i widać, że pisana była „z wściekłością i cierpliwością” (tak jak *Kwiaty zła* Baudelaire’a według jego opinii). Paryż i księga o Paryżu – jak to połączyć, jak sprzęgnąć ze sobą? Jest rzeczywistość i jest tekst: komentowanie rzeczywistości wymaga całkowicie innej metody niż komentowanie tekstu; w pierwszym wypadku naukowym fundamentem jest, według Benjamin, teologia, w drugim – filologia.

Wydawca napisał, że ta książka jest do dzisiaj niewyczerpalnym źródłem inspiracji dla kolejnych myślicieli i pisarzy. I rzeczywiście: prawie dla każde-

go jest w niej coś ciekawego i dobrego, a jej puste przebiegi są niekiedy tylko pozornie puste, bo raz po raz natrafiamy w nich na coś, czego przedtem nie zauważyliśmy. Jest to bardzo absorbująca i intrygująca książka. Czy stanie się źródłem inspiracji dla współczesnych polskich pisarzy? Nie wiadomo. Podziw budzi ogrom pracy tłumacza, lokalizacja tak wielu cytatów z dzieł, których bibliografia liczy dwie strony.

K.M.

Walter Benjamin, *Pasaże*, pod redakcją Rolfa Tiedemanna, przełożył Ireneusz Kania, posłowiem opatrzył Zygmunt Bauman, seria „Pisarze języka niemieckiego”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2005

*

Tom mistrzowskich esejów Theodora W. Adorno (1903–1969) o literaturze niemieckiej pochodzących, oprócz wcześniejszego szkicu o korespondencji Georgego i Hofmannsthal, z kolejnych czterech tomów liczących w oryginalnej prawie siedemset stron *Noten zur Literatur*, czyli z lat 1949–1969. Główne teksty to otwierające eseje dotyczące twórczości Goethego i Hölderlina; ponadto znajdujemy tu omówienie twórczości Eichendorffa, Heinego, Georgego, Hofmannsthal, Karla Krausa i Benjamina. Adorno nie analizuje całości jako takiej, ale zgodnie z wyznawaną „nieciągłą” koncepcją prawdy, która według niego objawia się w konstelacji momentów, „kryształizuje się w szczegól” („jedna komórka rzeczywistości jest równoważna z całą resztą świata”, mówi), stara się w nią wejrzeć poprzez fragment, w pęknięciach i nierozwikłanych „zawężeniach” konkretnie pokazać jej różne punkty, główne napięcia i wątki.

W trzech pierwszych esejach porusza zagadnienia tak wielkiej wagi jak: tworzywo mityczne a chrześcijaństwo, podmiot a mit, centralne miejsce formy jako konstrukcji całości i części (fragmentaryczność wielkich hymnów Hölderlina ukazuje niedokończoność jako ich cechę konstytutywną), autonomia formy a napięcie treści, nadrzędność języka wobec podmiotu („podmiot staje się podmiotem dzięki językowi”), „zadanie wiersza” a „życie” czyli to, co jest „ujęte w wierszu” (*das Gedichtete*), wewnętrzne oczyszczenie („idea postępującego oczyszczenia”), ograniczoność jako warunek wielkości („Duch dociera do siebie tylko przez oddalenie i uzewnętrzenie-

nie”), nieskalany język poezji a język komunikacji (w słowie skalanym starać się budzić poezję; język w czystej postaci, którego ideę konfigurują np. późne hymny Hölderlina, powinien być prozą, jak język świętych tekstów), słowo a sens, wzniosłość a styl („Krok, jaki dzieli wzniosłość od śmieszności, podobno najmniejszy, rozstrzyga o wielkości stylu; tylko to, co wciążane jest w jej otchłań, ma w sobie dość grozy, by stała się ona miarą ocalenia i by dzieło się udało”), intencja a kształt artystyczny – tu: dyktat dzieła (obiektywna prawda a subiektywna intencja), uchwycenie prawdy w wierszu (*Wahrheitsgehalt*): „Nie ma prawdy wiersza bez jego struktury (*Gefüge*), bez totalności wszystkich jego momentów; lecz zarazem jest ona tym, co tę strukturę ułudy estetycznej przewycięża: nie od zewnątrz, poprzez wypowiedzenie jakiejś treści filozoficznej, lecz dzięki konfiguracji owych momentów, które łącznie znaczą więcej, niż struktura miała pierwotnie wyrażać”, metafizyka i teologia a literatura, czego próbką niech będzie ten jedyny w tej książce cytat dotyczący Becketta: „Bezintencyjny język Hölderlina, którego «naga skała (...) raz po raz występuje na powierzchni», to ideał, ideał języka objawionego. Tylko jako do ideału odnosi się jego poezja do teologii, nie próbuje być jej namiastką. Dystans wobec teologii świadczy dobitnie o nowoczesności Hölderlina. Na końcu procesu, który zainaugurował poeta ideału, są wydrążone z sensu zdania z protokołów Becketta. Chyba to właśnie pozwala rozumieć Hölderlina nieporównanie szerzej niż przedtem” (w innym miejscu Adorno pisze o bierności metafizycznej jako istotnej treści poezji Hölderlina).

W szkicu o poezji Eichendorffa mówi o języku jako głównym środku wyrazu poezji i służącym mu wymazywaniu siebie przez podmiot. „Wielkości Eichendorffa nie należy szukać tam, gdzie nic mu nie grozi, lecz tam właśnie, gdzie bezbronnością gestu najbardziej naraża się na atak”, mówi Adorno, przytacza wiersz pt. *Tęsknota* (*Sehnsucht*) i stwierdza: „W tym wierszu, nieśmiertelnym jak mało który napisany ręką człowieka, nie ma chyba ani jednego rysu, któremu nie można by wytknąć zapożyczenia i wtórności; jednakże każdy z tych elementów zmienia swój charakter w zetknięciu z następnym”. To są już bardzo wysokie rejestry literatury, ale czy warto zajmować się innymi, tracić swój cenny czas, po co?

K.M.

Theodor W. Adorno, *O literaturze. Wybór esejów*, wyboru dokonał Lech Budrecki, przełożyła i posłowiem opatrzyła Anna Wołkowicz, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2005

*

Część czwarta *Listów (1849–1855)* to już ostatni tom zapoczątkowanej w 1993 roku rocznicowej edycji *Dzieł* Adama Mickiewicza. Siedem ostatnich lat życia naszego największego poety mało ma wspólnego z literaturą. W roku 1849 zajęty jest legionem, „Trybuną” i sprawami politycznymi, żyje i trwa „w środku mgły i burzy”. Od Towiańskiego odszedł, ale nadal pisze do niego „Mistrzu i Panie”. Trwa choroba żony i zamęt w jego domu rodzinnym, w którym rej wodzi Ksawera Deybel. Najciekawsze są listy do Konstancji Łubieńskiej-Wodpolowej, przyjaciółki poety. W marcu 1850 roku przyjeżdża Zofia Szymanowska, przyrodnia siostra Celiny, a Deybel wyprowadza się na dobre; w grudniu rodzi się Józef, szóste dziecko Adama i Celiny. W 1851 roku sytuacja nie zmienia się, nadal jest „bieda, skwirik i rozpacz”. Do córki Marii, która przebywa w Rzymie, pisze: „Każda dusza musi czymkolwiek być poruszana; jeśli nią nie ruszają wielkie rzeczy, to się będzie ruszać w niskości i podłości”. W innym liście cytuje stare litewskie przysłowie: „mowa – wiatr, pismo grunt”. W 1852 roku udziela się towarzysko, działa w Towarzystwie Historycznym, traci katedrę w College de France, choruje, zaczyna w Bibliotece Arsenалу pracę bibliotekarza, która jest, jak mówi, bardziej nudna niż trudna. Lato spędza na wsi w Montgeron pod Paryżem (lata później będzie tam mieszkał Miłosz). Z Towiańskim nadal się nie spotyka, chociaż pisze do niego list zatytułowany „Najdroższy Bracie, Mistrzu i Panie” i układa *Memoriał w obronie proroka Andrzeja...* Choruje. Do Domeyki pisze o śmierci Czeczota. W 1854 roku potęguje się choroba Celiny. Z tego roku pochodzi najważniejszy według mnie cytat z tego tomu, z listu do Konstancji Łubieńskiej: „Pisemko twoje ostatnie ma swoją wartość, bo tam wiele jest rzeczy własnych, z własnego uczucia idących. Ile razy dusza się poruszy, sama zawsze wyda głos idący do dusz bliźnich i ten głos zawsze zachowa swoją siłę i cechę. Ale uczucie twoje w tym pisemku jest oddane słowami często obcy mi, naciągnionymi, zmienionymi, słowem: n i e m i e c k i m i. Styl jest ciężki. Dobry styl, czyli po prostu dobra właściwa m o w a jest ta, która najbardziej zbliża się do mowy, do r o z m o w y, a nawet wszystkie zwroty pisma, szczególnie kiedy się rozprawia o rzeczach poważnych, wyższych, powinny prostotą i szczerotą wchodzić w tok rozmowy prostodusznej, prosto serdecznej. To, co piszemy o rzeczach Bożych lub ojczystych, powinno być zrozumiałe dla każdego, kto kocha Boga i Ojczyznę, a zatem dla pokojowej, dla ekonoma, dla stangreta (czy jak u was mówią: dla fornała) nawet.

Nie idzie tu o to, żeby sposób mówienia zniżyć, zblaźniać, skarczemniać. Wszakże pieśni pobożne i wiele pieśni ludowych nie mają nic zestawionego (czyt.: złożonego, skomplikowanego), wszakże katechizm jest prosty, ale razem poważny. Owóż trzeba brać wzór z katechizmu i pieśni ludu, i dawnych naszych kronikarzy (Strykowskiego, Bielskiego), a mianowicie (czyt.: szczególnie, najbardziej, przede wszystkim, zwłaszcza – przyp. K.M. z przypisów do listu) Skargi.

Kto chce pisać, powinien też czytać, mianowicie (patrz wyżej – K.M.) mówić, a mimowolnie słuchać. Sposób i tok, i ciąg rozmowy między ludźmi zajętymi może rzeczą, chociażby małą, służyć”. Dla mnie jest to arcywzór definicji dobrego stylu i w ogóle całego ludzkiego pisania.

Rok 1855 zaczyna się źle. W styczniu pisze do Maynarda: „Znajduję w Panu nastrój ducha najzupełniej odpowiedni twemu obecnemu położeniu. Staraj się, staraj się w nim wytrwać: obowiązek nade wszystko; reszta przyjdzie sama przez się. Wystrzegaj się przede wszystkim napadów melancholii, które przychodzą wprost z dna piekła. Nic tak nie osłabia charakteru jak to. Trzeba, drogi Przyjacielu, by każdy z nas dokonał w sobie samym duchowego zamachu stanu i znalazł się w krainie rzeczywistości i prawdy”. Złe nowiny, bieda. 5 marca 1855 roku umiera Celina. „Żyjemy zawsze z dnia na dzień”, pisze pod koniec lipca. Do Zana pisze o śmierci Czeczota. Nie żali się i nie skarży, bo „Litwin, póki nie ma co dobrego donieść, jest niemy jak ryba” („milczenie litewskie jest ściślejsze niż pitagorejskie”, mówi). Planuje podróż na Wschód. Choruje, o czym znajdujemy wzmianki. Wyjeżdża 11 września. Ciekawa jest jego opinia o Norwidzie z listu do Zofii Szymanowskiej, że wpadł w chorobę i jest nudny (z przypisu: „to dusza zakłeta, miotać się bezowocnie będzie, aż uwolni się z opętania”). 15 listopada pisze list do córki Marii. Potem pisze jeszcze trzy listy dotyczące spraw politycznych (powołanie pułku żydowskiego) do Michała Czajkowskiego (Sadyka Paszy), Seweryna Gałęzowskiego i ostatni, z 19 listopada, do Władysława Czartoryskiego, syna Adama. Umiera w Konstantynopolu 26 listopada o godzinie dziewiątej wieczorem.

W *Variach* znajdujemy dedykacje, wpisy w albumach, napisy nagrobkowe, napisy i notatki różne. Tom i edycję zamykają *Addenda* oraz *Dodatek krytyczny*.

K.M.

Adam Mickiewicz, *Listy, część czwarta 1849–1855*, opracowały Maria Dernałowicz, Elżbieta Jaworska, Marta Zielińska, *Dziela*, tom XVII, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2005

*

Trzydzieści jeden listów Miłosza do Kridla i osiem listów Kridla do Miłosza pozwala nam znowu zbliżyć się do Miłosza i słuchać tego, co mówi. Kridl był profesorem na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, a po wojnie wykładał na uczelniach amerykańskich – w 1948 roku objął katedrę im. Adama Mickiewicza na Columbia University. Miłosz z Kridlem zetknął się już w Wilnie, a kontakt odnowił w 1946 roku, gdy pracował w Nowym Jorku i w Waszyngtonie jako zupełnie nietypowy dyplomata rządu komunistycznego w Warszawie. Obserwujemy, jak Miłosz angażował się w powołanie do życia tejże katedry, której zadanie tak przedstawiał: „to tworzenie przeciwwagi dla tej olbrzymiej pracy historyczno- i krytycznoliterackiej, jaka jest wykonywana w Polsce, a polegającej na niesłuchaniu przewrotnym przystrzyganiu prawdy dostatecznie upartym, żeby zamieniała się w kłamstwo”. Drugą ważną sprawą, w którą Miłosz był bardzo zaangażowany, było stworzenie tzw. księgi mickiewiczowskiej dla upamiętnienia 150. rocznicy urodzin Poety („W dziedzinie zapoznawania Amerykanów z Mickiewiczem dużo trzeba by zrobić” – pisze w marcu 1948, a w styczniu 1950 roku: „Musimy dbać o to, żeby nie rozwodnić i nie odradykalizować Mickiewicza (...) Im ostrzej zarysuje się Mickiewicz z *Trybuny*, tym ciekawsze będą jego poglądy głoszone w Collège de France”).

W pierwszym liście, pisanym w marcu 1946 roku z Nowego Jorku, Miłosz nazywa Kridla swoim „wileńskim opiekunem” i prosi o pomoc w zorganizowaniu odczytu o literaturze polskiej (bez żadnych „politycznych zadrażnień”), której dobro ma na celu. W kolejnych listach wspomina swoją pracę w dziedzinie kultury w czasie okupacji („praca w dziedzinie kultury nie powinna ustawać, niezależnie od upiornych warunków. Robiłem, co mogłem”), „Bardzo przejmuję się losem Polski”, pisze w kwietniu 1946, troszczy się o poziom polskich pism literackich („Poziom pism literackich, na ile mogę sądzić, miejscami wyższy od przedwojennego, ale ilość nieludzkich bredni pokaźna, chyba większa.”). W 1947 roku pisze: „Osobiście jestem najdalszy od tego, co nazywało się kiedyś «literaturą społeczną» i dreszcz obrzydzenia mną wstrząsa, kiedy ten termin słyszę. Sądzę jednak, że dzisiejsze obowiązki ludzkie pisarza nie mają nic wspólnego z tym terminem; jestem wielbicieleм np. czysto metafizycznej poezji T.S. Eliota na równi z balzackowską prozą różnych pisarzy typu realistycznego. Jest to jednym słowem jakieś zaciekle poszukiwanie *essentials*”. Wspaniały jest zarys tła historycz-

nego, które planuje Miłosz do swojego tekstu o Mickiewiczu: „Polska na tle Europy była tworem dziwnym – zwłaszcza kontrastowała z Rosją. Te wieki szlacheckiej demokracji, ale bądź co bądź demokracji, ta łacina, później ta francuskość Oświecenia (która, jakkolwiek czasy saskie były wyrwą, nie przyszła na grunt tak surowy, jak w Rosji) cały *background* historyczny – czyż tego nie trzeba dać? Mickiewicz, jeżeli górował nad Puszkinem znajomością greki i łaciny i w ogóle wykształceniem, to tylko dlatego. Otóż ta dziwność historyczna dawnej Rzeczypospolitej, to jedno. No i Konstytucja 3 Maja i wolterianizm etc”. Jakże dzisiaj splyca się i spłaszca piękną polską tradycję.

Ostatni list z Brie Comte Robert został napisany w grudniu 1954 roku, cztery lata po zerwaniu przez Miłosza z reżimem warszawskim. Miłosz mówi w nim o wściekłych atakach na niego, całej kampanii, w której dużą rolę odgrywały donosy, ale już patrzy na to z dystansem i mówi, że będzie wierny literaturze polskiej (a przecież o ile łatwiej by mu było, gdyby wszedł w międzynarodowe i kosmopolityczne komeraże). Tylko polska głupota może tak łatwo oczerniać i pomniejszać Miłosza, co niestety będzie się jeszcze działo nie raz, jak nie tak dawno w „Naszym Dzienniku” w wykonaniu bodajże historyka literatury pana Majdy, a ostatnio na łamach „Tygodnika Powszechnego” w wykonaniu postmodernisty i dekonstrukcjonisty, a obecnie felietonisty i specjalisty (od mistyki?) – pana Markowskiego.

Książkę zamykają piękne portrety: Miłosza autorstwa Kridla i Kridla autorstwa Miłosza.

K.M.

Czesław Miłosz, „*Mój wileński opiekun*”, *Listy do Manfreda Kridla (1946–1955) z uzupełnieniem o listy Manfreda Kridla i addendum*, z autografu do druku przygotował, słowem wstępnym, przypisami i notą edytorską opatrzył Andrzej Karcz, Archiwum Emigracji, tom XIX, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 2005

*

Czwarty tom *Pism zebranych* Aleksandra Wata (w poprzednich tomach ukazały się: 1 – *Poezje*, 2 – *Mój wiek* oraz 3 – *Dziennik bez samogłosek*) zawiera w części pierwszej listy Wata z różnych lat m.in. do Marii i Józefa Czapskich, Jerzego Giedroycia (sześćdziesiąt cztery listy), Mieczysława Grydzewskiego, Pawła Hertza, Jarosława Iwaszkiewicza, Czesława Miłosza (siedemnaście dłu-

gich listów), Jana Nowaka-Jeziorańskiego, Jerzego Stempowskiego, Józefa Wittlina, do żony Oli i syna Andrzeja. Znajdujemy w tych listach wyraziście zarysowane sylwetki np. Iwaszkiewicza, Wierzyńskiego, Dąbrowskiej, Parandowskiego, Gombrowicza, Miłosza, Przybosa, Ważyka, Kisiela, opinie o nich, anegdoty, fakty, wydarzenia, w ogóle odbicie życia literackiego toczącego się w kraju i na emigracji. To wszystko podszyte jest biografią Wata, jego chorobą, sytuacją życiową i literacką (np. to, co napisał o sobie do Dedeciusa). Niektóre sprawy, tematy, wątki pojawiają się w różnych listach, w świetle ich przedstawień dla różnych adresatów. To jest ogromny materiał do badania, lektura fragmentami pasjonująca, ale niekiedy nużąca łatwością tego pisania, tak jakby mówił i mówił, monologował (patrz: *Mój wiek*). Prześwitują różnego rodzaju konflikty, idiosynkrazje, trwają i wikłają się przyjaźnie. Nie jestem wielkim zwolennikiem pisarstwa Wata, ale na pewno jest to człowiek dużej kultury, erudycji i inteligencji, frapujących i celnych sądów i diagnoz, jak np. ta dotycząca literatury polskiej: „Nie gawęda – ale persyflaż i pastisz, między jednym a drugim, to teren literatury polskiej. A sprawa języka polskiego – tajemniczość”. Przejmujący jest cały blok bardzo osobistych listów do syna i do żony i wstrząsający list ostatni, który pozostał w brulionie, napisany przed samobójczą śmiercią (o miłości, cierpieniu i śmierci – „NIE RATOWAĆ”).

Część druga zawiera listy do Wata, m.in. Marii i Józefa Czapskich, Jarosława Iwaszkiewicza, Konstantego Jeleńskiego, Jerzego Giedroycia (spory i konflikty między nimi), Czesława Miłosza (skomplikowane stosunki między nimi – ten blok zawiera czterdzieści trzy długie listy!), osobiste listy żony i syna. Te dwa tomy prezentują obraz biografii intelektualnej pisarza i fragment obrazu epoki; całość świetnie uzupełniają przypisy Aliny Kowalczykowej. Co i ile zostanie po obecnych pokoleniach, kiedy już prawie nie pisze się listów?

M.W.

Aleksander Wat, *Korespondencja*, część pierwsza i druga, wybrała, opracowała, przypisami i posłowiem opatrzyła Alina Kowalczykowa, *Pisma zebrane*, tom 4, Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2005

*

Na ile się orientuję, John Steinbeck, gdy mówi się o pisarzach amerykańskich XX wieku, jest zawsze tym trzecim – po Faulknerze i Hemingwayu.

Nie ma jednak takich możliwości, żeby można było rangę pisarstwa wyznaczyć jakimiś wiarygodnymi i obiektywnymi kryteriami. Ilość napisanych stron, liczba nakładów książek na całym świecie czy prac krytycznych? To jeszcze niczego nie stanowi. Dotyczy to także tzw. list bestsellerów. Tak się dobrze złożyło, że wszyscy trzej zostali laureatami Nagrody Nobla.

Ten problem intrygował autora biografii Steinbecka. Jay Parini próbuje wyjaśnić tę kwestię, którą nazywa „fenomenem Steinbecka”. „Fenomen Steinbecka, podobnie jak w wypadku innych tego rodzaju zjawisk, sprowadza się w istocie do szeregu pytań, tajemnic i zagadek. Na przykład dlaczego Steinbeck jest tematem zaledwie piętnastu czy dwudziestu książek i artykułów naukowych rocznie, podczas gdy współcześni mu autorzy i niejako koledzy, laureaci Nagrody Nobla, Faulkner i Hemingway, analizowani są w stu dwudziestu czy stu trzydziestu pozycjach rocznie? Dlaczego jest tak, że dzieło tego ogromnie popularnego autora znika ze stron antologii szybciej niż dzieła Hemingwaya, Faulknera, Fitzgeralda i innych wielkich postaci tradycyjnego kanonu literackiego? Dlaczego Steinbeck nie doczekał się dogłębnej analizy naukowej, tak jak autorzy jemu równi?” Podtytuł biografii *Lekceważony noblista* jest może jakąś wskazówką dla biografa i jego czytelnika, ale i tak w końcu pozostaje nam intymna więź z jakąś powieścią, czy takim a nie innym autorem i jego miejsce w naszym życiu duchowym. Też mam swoją klasyfikację amerykańskich pisarzy, bo ich rola w światowej literaturze jest nie do przecenienia.

John Steinbeck. Lekceważony noblista pozwala nam dosyć dokładnie prześledzić drogę życiową i pisarską autora *Tortilli Flat*, chociaż w tym przypadku można bez kwestii powiedzieć, że była to jedna łącząca się ze sobą droga. Pisanie było dla Steinbecka życiową koniecznością, było psychicznym przymusem, nawykiem i normą postępowania. Dość wcześnie odkrył w sobie powołanie pisarskie i pozostał mu wierny do końca, lecz nie dowierzał swojemu talentowi i przez całe swoje intensywnie twórcze życie pracował nad nim, do każdej książki przygotowywał się sumiennie, co potwierdzają jego „dzienniki robocze”, które prowadził przy pisaniu każdej książki. Ale trudno osiągnięty sukces nie dodawał mu skrzydeł. Pisze Parini: „Było w tym coś z autodestrukcji, co kłóciło się z tą jego stroną, która pchała go naprzód w zawodzie, z tą ambicją, która tak wyraźnie uzewnętrznia się w listach. Sukcesu zarazem pragnął i bał się; dążył do niego, a kiedy ten się pojawiał, robił, co tylko mógł, żeby go zniszczyć”. Był szczęśliwy, kiedy pisał. Te kilka godzin codziennej pracy przy biurku były najjaśniejszymi momentami dnia.

A przecież nieobce były mu inne uroki życia, które traktował również sumiennie, jak pisanie – pasja ogrodnicza, wyprawy morskie, alkohol. Jeżeli chodzi o alkohol w życiu Steinbecka, to bardzo cenna i słuszna jest powściągliwość biografą w tym temacie. Alkohol dawał odprężenie po napięciu twórczym, ale dość szybko zrozumiał, że pogłębia on jego skłonności depresyjne. Steinbeck pił tyle, ile trzeba – pisarza powinno się (jeżeli powinno) rozliczać z książek, a nie pustych butelek, które po sobie zostawił...

Biografia, czyli życie Johna Steinbecka, może budzić sympatię i wymusza sięgnięcie do jego książek ponownie, teraz już czytanych z pewnym wtajemniczeniem w ich powstawanie i warsztat pisarski ich autora. Oczywiście, biografie nie przynoszą ostatecznych odpowiedzi ani niczego nie rozstrzygają, są jednak dobrym przybliżeniem postaci. Trzeba je czytać nie jako opis czyjegoś życia, ale jako przypisy do tego życia.

„Był to człowiek, który łączył głębokie poczucie własnej wartości z nadzwyczajną wrażliwością i brakiem wiary w siebie; nie umiał, jak nikt nie umie, uciec od swej przeszłości, a w jego świadomości stale mu groził oskarżający palec Olive Steinbeck (toksycznej matki – A.J.). Jedną z konsekwencji takiego stanu rzeczy był fakt, że często nie ufał swojemu talentowi i zdolności wykuwania własnego losu (...) często był targany wątpliwościami, zawsze pewny, że z Parnasu może spaść w każdej chwili. Cokolwiek udało się napisać, traktował jak cud, jak szczęście, jak dar niebios. (...) Gdy po tylu porażkach wreszcie pod koniec lat trzydziestych przyszedł sukces, podejrzewał, że to jest chwilowa odmiana losu, i przygotowywał się do jeszcze cięższej walki.” Biografia Pariniego w ciekawy sposób próbuje przybliżyć pisarza, dla którego pisanie było i przeklętym, i szczęśliwym darem, dzięki któremu Steinbeck mógł uważać swoje życie za szczęśliwe, mimo wszystko szczęśliwe i spełnione.

A.J.

Jay Parini, *John Steinbeck. Lekceważony noblista*, przekład Jan Maciej Głogoczewski, Wydawnictwo Książkowe „Twój Styl”, seria „Biografie”, Warszawa 2005.

*

Karolina Lanckorońska (1898–2002) to jedna z tych wspaniałych, szlachetnych postaci, z którymi chce się obcować. Wywodząca się ze starego i znako-

mitego rodu, córka wielkiego ochmistrza na dworze habsburskim, spokrewniona z Rzewuskimi, wszystko, czym rozporządzała, przeznaczyła dla Polski. Dobrze do niej pasuje przesłanie, które było ważne dla wielu wybitnych ludzi: „do końca nie zawieść, honoru nie stracić, wiary nie zgubić”.

Paweł Kądziela zebrał jej rozproszone po różnych czasopismach szkice wspomnieniowe o rodzinnym Rozdole, o ciekawych wydarzeniach historycznych (np. pogrzebie Franciszka Józefa I czy wyborze papieża Pawła VI), a przede wszystkim o takich postaciach, które znała i które wywarły na nią duży wpływ, jak między innymi księżę metropolita kardynał Adam Sapieha, Jacek Malczewski, ksiądz prałat Walerian Meysztowicz, Leon Piniński, Kazimierz, Stanisławowie, Henryk, Stefan i Jan Badeniowie, Andrzej Potocki czy Róża Raczyńska z d. Potocka (cóż to za niesamowita postać, jaka biografia! – ale ten wykrzyknik można by umieścić chyba przy każdym z tych nazwisk). Jakaż siła życia, woli, charakteru jest w każdej z tych postaci, jak są bogato wewnętrznie wyposażeni. Lanckorońska jest w swoich wspomnieniach bardzo rzeczowa, lapidarna, a nawet sucha, ale nie sposób się nie wzruszyć, gdy czyta się je z uwagą i z próbą utożsamienia się z tamtym odległym, ale duchowo fascynującym i bliskim światem.

K.M.

Karolina Lanckorońska, *Szkice wspomnień*, przedmowa Andrzej Biernacki, Biblioteka „WIEZI”, tom 183, Warszawa 2005

*

Ten tom to relacja z życia i dziękczynienie za dar, świadectwo humanisty opisującego bliskie miejsca i ludzi, swoje namiętności i pasje. Kim jestem? – pyta Sławińska i w serii tekstów stara się sformułować odpowiedź, zarysowując formację i styl tej generacji ukształtowanej w latach II Rzeczypospolitej i siebie na tym tle, a właściwie w środku tego świata.

Nie jest to historyczne świadectwo, a raczej *memorie inutili*, „swobodne przebiegi myśli i pióra”, dywagacje, włóczęga po tematach, bilanse różnych zysków i strat. Jest przedstawicielem tej generacji, której formacja i styl ukształtowały się w latach II Rzeczypospolitej: Gimnazjum im. Orzeszkowej w Wilnie, teatr, religia, książki („lektura była naszą drogą”, mówi), osobowości wileńskie – Zdziechowski, Elzenberg, Kridl, także Srebrny i Czeżowski, przy-

mierze z Ostrobramską Panią, Uniwersytet Stefana Batorego wskrzeszony w 1919 roku przez Naczelnika Państwa Józefa Piłsudskiego. „Wymóg pełnej i surowej prawdy w sądach o ludziach (i o sobie), potępienie kłamstwa i hipokryzji, pogoni za pieniądzem i honorami” – tak została ukształtowana. „Cokolwiek robić warto, warto robić dobrze” – to jej dewiza, jak też wezwanie Zygmunta Krasińskiego: „Bądź tą przegraną, której cel daleki./Ta, która w końcu wygrywa – na wieki”. Jej pasje to: podróże, teatr, przyjaźnie (domy przyjaciół zastępowały jej dom rodzinny, którego nigdy nie miała).

Jej trzy najważniejsze miejsca to: Wilno – najmilejsze miasto, Toruń, gdzie trafiła po wojnie do wspaniałego uniwersytetu, w grono takich osób jak m.in. Konrad Górski, Makowiecki, Kucharski, Srebrny, Elzenberg, Czeżowski, Zgorzelski, Hutnikiewicz, Abramowiczówna, a także krążący w tej toruńskiej orbicie – Horzyca, czy Herbert („Usytuowanie Uniwersytetu Toruńskiego: naprzeciw więzienia i tuż koło kościoła NMP, dało asumpt do dowcipu: «trójkąt wychowawczy»”, plus jeszcze pobliski teatr, w którym rządził Horzyca), a od 1950 roku – Lublin i KUL.

Piękne, bogate życie Ireny Sławińskiej. Spotykała się i była zaprzyjaźniona m.in. z Karolem Wojtyłą/Janem Pawłem II, Miłoszem, Malewską, spotkała się z T.S. Eliotem, który pożegnał ją słowami: „Niech Bóg Pani błogosławi. Pani i jej pracy nad dojrzewaniem młodzieży”. Teraz mamy jej książki.

K.M.

Irena Sławińska, *Szlakami moich wód*, seria „Mistrzowie”, tom II, Norbertinum, Lublin 2004

*

„Wacław Borowy był spośród naszych historyków literatury najsubtelniejszym” – tak w artykule nekrologowym napisał Kleiner, a prezentowana monografia potwierdza sens tych słów. Takich subtelnych badaczy i oceniaczy dzieł literackich, którzy mają pełną świadomość podstaw swojego sądu, dzisiaj nie ma. Borowy w swojej pracy kierował się zdaniem Norwida: „Zadanie krytyka jest wszystko postawić na właściwym miejscu i otworzyć okno – pozostawiając resztę światu i czasowi”. Rozumiał możliwość rzeczowych, obiektywnych wyników w historii literatury, ale i w krytyce – z wielką trafnością wykazał warunki i granice obiektywizmu krytycznego. Jego opisy były precyzyjne, a analizy subtelne.

Tom otwierają rozbudowane nekrologi autorstwa m.in. Konrada Górskiego, Juliusza Kleina i Marii Czapskiej. Następny dział przedstawia Borowego jako historyka i teoretyka literatury (tu m.in. tekst Zofii Szmydtowej), a kolejny jako „zatajonego artystę”. Artystyczna forma studiów Borowego jest bodaj ich cechą najwybitniejszą (był laureatem Złotego Wawrzynu Polskiej Akademii Literatury); jego literackość, jak napisał Michał Głowiński, przejawiała się „w ironii, precyzji i elegancji dyskursu, w dowcipie, w kompozycji eseju wreszcie. Nie jest więc nigdy – jak często bywało – estetyzującym dodatkiem. Stanowi sprawę samej istoty pisarstwa krytycznego Borowego”.

Dla Borowego głównymi pisarzami byli: Mickiewicz, Norwid i Żeromski, a z literatury angielskiej, którą interesował się szczególnie: Szekspir, Conrad, Chesterton i T.S. Eliot, którego propagował w Polsce. Głośna jest jego antologia *Od Kochanowskiego do Staffa*, swoista synteza poezji polskiej. Ważne są jego studia o poezji polskiej XVIII wieku. Okres heroiczny stanowią lata jego pracy w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego podczas okupacji. O jego formacji i formacie świadczą zawsze eleganckie i merytoryczne polemiki (np. z Kridlem w *Szkole krytyków*, czy z nieszczęsnym Żółkiewskim).

M.W.

Zatajony artysta. O Wacławie Borowym (1890–1950), wybór szkiców i wspomnień Andrzej Biernacki, seria „Mistrzowie”, tom III, Norbertinum, Lublin 2005

*

Po atlasie roślin biblijnych – atlas biblijnych kamieni szlachetnych i ozdobnych. Kamienie (skały i minerały) – ich piękno i stałość są znakami Bożej obecności w świecie. Ich rzadkie rodzaje są bardzo cenne i poszukiwane, mają bogate symboliczne znaczenia, łączą się z cechami rodów i ludzi. Skały i minerały występują w tekstach biblijnych około czterysta razy – są obecne od Księgi Rodzaju aż do Apokalipsy. Święty Piotr mówi: „Przybliżając się do Tego, który jest żywym kamieniem, odrzuconym wprawdzie przez ludzi, ale u Boga «wybranym i drogocennym», wy również, niby żywe kamienie, jesteście budowani jako duchowa świątynia (...) To bowiem zawiera się w Piśmie: «Oto kładę na Syjonie kamień węgielny, wybrany, drogocenny, a kto wierzy w niego, na pewno nie zostanie zawiedziony». Wam zatem, którzy wierzycie, cześć! Dla tych zaś, co nie wierzą, «właśnie ten kamień, który odrzucili budowniczo-

wie, stał się głowicą węgla i kamieniem obrazu i skałą potknięcia się». Ci, nieposłuszni słowu, upadają, do czego zresztą są przeznaczeni" (1 P 2,4-8).

W niemal wszystkich kulturach starożytnych kamienie miały znaczenie kultowe. U Izraelitów panował zwyczaj upamiętniania miejsca i ważnego wydarzenia w sposób trwały za pomocą kamieni; z nieociosanych kamieni budowali ołtarze. Kamień, skała i opoka są w Biblii symbolem Boga, w Nowym Testamencie są symbolem Chrystusa i Kościoła (kamienie są martwe, ale Bóg może z nich wzbudzić „dzieci Abrahama”).

Kamienie wskazują na zadanie („nasze święte zadanie”), które jest do wykonania. A przecież kamienie odgrywały wielką rolę w rozwoju kultury materialnej – na całej przestrzeni historii dziejów człowieka minerały i skały były podstawą jego egzystencji (narzędzie i broń), miały wpływ na rozwój różnych dziedzin sztuki. Mistycy byli przekonani, że mury i ściany Jeruzalem Niebieskiego są zbudowane z drogocennych kamieni.

Na pięknych fotografiach oglądamy ich czarodziejskie kształty i jakby nieziemskie barwy. Są twarde i trwałe, mocne. Widzimy meteoryty – kamienie pochodzące z nieba, klejnoty – drogocenne kamienie szlachetne i ozdobne, na przykład rubiny, topazy, szmaragdy, szafiry, granaty, opale, agaty, chryzolity, onyksy i jaspisy, i perły symbolizujące Chrystusa i dziewictwo Najświętszej Marii Panny i diamenty (gr. *adamos*), które są symbolem siły, światła i czystości, stałości, niezachwianej wiary i prawości i którymi brzydzi się diabeł i nienawidzi ich.

A w języku mamy na przykład kamień na kamieniu, kamień węgielny i kamień obrazu, kamienie młyńskie i kamień milowy, kamień graniczny i kamień grobowy, kamienie białe i czarne. Ile świetnych wierszy i przejmujących fragmentów prozy powstało w związku z kamieniem czy kamieniami. Piękny jest ten świat, bo powstał z Bożej miłości i dobroci.

M.W.

Wiesław Heflik, Andrzej Mrozek, Lucyna Natkaniec-Nowak, Barbara Szczepanowicz, *Atlas biblijnych kamieni szlachetnych i ozdobnych. Pochodzenie, miejsce w Biblii i symbolika*, konsultacja teologiczna o. Tomasz Dąbek OSB, Wydawnictwo WAM, Kraków 2005

*

Ta książka jest kolejnym świadectwem wielkości i fenomenu pontyfikatu Jana Pawła II. Pielgrzymowanie tego papieża było czymś niezwykłym i cu-

downym w dziejach świata, a w historii XX wieku jednym z najważniejszych wydarzeń (Nowa ewangelizacja). Ten *Leksykon* zawiera cały katalog pielgrzymek z podaniem celu, przebiegu, charakterystyki i najważniejszego przesłania każdej z nich, a także opisy geograficzne odwiedzanych miejsc oraz mapy z zaznaczoną trasą.

Opisane zostały wszystkie 104 podróże apostołskie Jana Pawła II do ponad 130. krajów i około 900. miejscowości (w wielu przebywał kilka razy). Łącznie papież przemierzył w tych podróżach ok. 1 700 000 kilometrów, a więc ponad trzykrotną odległość między Ziemią a Księżycem, co odpowiada prawie 30-krotnemu okrążeniu Ziemi wokół równika. W ciągu najdłuższej pielgrzymki na Daleki Wschód i do Oceanii papież przebył prawie 50 tysięcy kilometrów. Poza Włochami spędził łącznie 588 dni, a przecież odbył jeszcze około 145 podróży na terenie Włoch. W czasie podróży zagranicznych wygłosił ponad 2 400 przemówień. Wszystkie miejsca pobytu Jana Pawła II stawały się w danym dniu najważniejszym centrum pielgrzymkowym świata, w Mszach Świętych brały udział miliony ludzi. Ten wielki wysiłek fizyczny, duchowy i intelektualny podejmował Jan Paweł II z miłości do Boga i do ludzi, którym niósł Boże Słowo.

Autorami tego wspaniałego leksykonu-świadcstwa są pracownicy i współpracownicy Zakładu Geografii i Gospodarki Przestrzennej Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie.

M.W.

Leksykon pielgrzymek Jana Pawła II, praca zbiorowa pod redakcją Antoniego Jackowskiego i Izabeli Soljan, Wydawnictwo WAM, Kraków 2005

*

Nowy album Białego Kruka – *Oplątek ze świętym* stał się wydarzeniem z powodu zdjęcia Jana Pawła II wykonanego przez Adama Bujaka w czasie pierwszego spotkania opłatkowego papieża z Polakami dnia 6 stycznia 1979 roku: na okładce i na wiernej kopii oryginalnego diapozytywu widać wyraźnie świetlistą aurę, która otacza Ojca Świętego. Nie jest to żadna sztuczka techniczna czy nieostrość – ostrość jest bardzo dobra. Jest to jakaś nadzwyczajna (inni powiedzą, że przypadkowa) rejestracja *mandorli* (włoskie słowo oznaczające migdał) – aureoli w kształcie owalnym, otaczającej postać osoby

świętej (w sztuce średniowiecznej). Proszę uważnie przypatrzeć się oczom, twarzy i dłoniom papieża na tej fotografii.

W środku piękne kolorowe fotografie Adama Bujaka, a także Arturo Mari z oplatkowych spotkań Jana Pawła II z wiernymi oraz wygłaszane przy tych okazjach wybrane teksty papieża, które mają niesamowite ładunki i które są jak działająca łaska „dla nas, wędrowców na drogach czasu”.

M.W.

Oplatek ze świętym, słowo Jan Paweł II, fotografie Adam Bujak, koncepcja, wybór i grafika Leszek Sosnowski, Biały Kruk, Kraków 2005

*

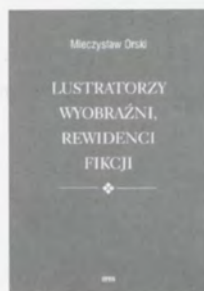
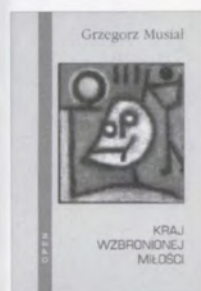
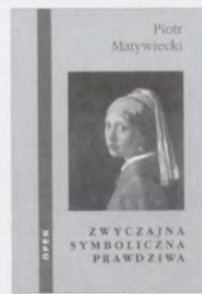
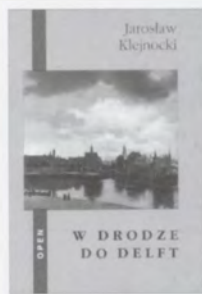
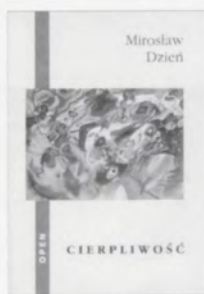
Co można przez trzy dni zobaczyć w Toruniu – jednym z najstarszych i najpiękniejszych miast na Pomorzu i w Polsce, znanym na całym świecie z powodu Kopernika i obecnym – w tej klasie obok Krakowa i Zamościa – na Liście Światowego Dziedzictwa UNESCO. W tym mieście, lokowanym na prawie chełmińskim już w 1233 roku, zbudowanym przez Krzyżaków i Prusaków, żyje średniowieczny duch natchniony wszystkimi wiekami następnymi, aż do współczesności.

Krótki przewodnik przedstawia wizytówkę miasta, wprowadza w jego bogatą historię, a potem informuje, jak poruszać się w jego realiach współczesnych. Podane są plany zwiedzania i trasy, a na nich opisy zabytków i ważnych miejsc, informacje i ciekawostki. Tekst uzupełniają liczne fotografie. Ponadto obok kalendarza imprez kulturalnych, spisu muzeów, galerii, bibliotek i kin mamy tu spis hoteli, restauracji, pubów i dyskotek, kawiarni i winiarni. W sam raz tyle, ile potrzeba informacji na taki pierwszy, krótki pobyt, który może się stać wprowadzeniem do tego pięknego i wyjątkowego miasta.

M.W.

Janusz Umiński, Toruń w 3 dni, Sport i Turystyka – MUZA SA, Warszawa 2005

BIBLIOTEKA KWARTALNIKA ARTYSTYCZNEGO



- Grzegorz Musiał, *Al fine*, Gdańsk 1997
 Mirosław Dzień, *Cierpliwość*, Warszawa 1998
 Michał Głowiński, *Czarne sezony*, Warszawa 1998
 Jarosław Klejnocki, *W drodze do Delft*, Warszawa 1998
 Piotr Matywiecki, *Zwyczajna symboliczna prawdziwa*, Warszawa 1998
 Krzysztof Myszkowski, *Funebre*, Warszawa 1998
 Bożena Keff, *Nie jest gotowy*, Warszawa 2000
 Maria Danilewicz Zielińska, *Biurko Konopnickiej*, Warszawa 2000
 Janina Kościalkowska, *Bih me!*, Warszawa 2000
 Grzegorz Musiał, *Dziennik z Iowa*, Warszawa 2000
 Grzegorz Musiał, *Kraj wzbronionej miłości*, Warszawa 2001
 Jerzy Andrzejewski, *Dziennik paryski*, Warszawa 2003
 Mieczysław Orski, *Lustratorzy wyobraźni, rewidenci fikcji*, Warszawa 2003
 Tadeusz Nowakowski, *Obóz Wszystkich Świętych*, Warszawa 2003



ISSN 1232-2105

01



9 771232 210604

ISSN 1232-2105
nr indeksu 36294

cena 10 zł (VAT 0%)